

ZŁUDY POLEXITU
Dlaczego TK
przegra z TSUE

OPORNOŚĆ STADNA
Czy szczepienia
będą obowiązkowe

TERLIKOWSKI
O czym milczą
kościelne komunikaty

WOLNA KUBA
Bunt przeciw
dyktaturze

TOKIO 2020
Igrzyska
na miarę czasów

Kraków 25 lipca 2021 nr 30 (3759)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

GRZEGORZ KASDEPKE Humor ćwicz od dziecka





yjsć

ANDRUSZEWSKI
BIEŃCZYK
BŁAŻEJOWSKA
BOBKOWSKI
BRAVO
CHRZANOWSKI
GIERAK-ONOS
HUELLE
JAGIELSKI
KAMIŃSKI
KANIA
KOZIOŁEK
KUBARSKA
KUCZOK
MAGNASON
MARKOWSKI
MILCZAREK
NAPIÓRKOWSKI
OLECH
OLSZEWSKI
PIENIĄŻEK
PRZEWROCKA
RITTENHOUSE
ROBIŃSKI
STASIUK
SZCZEPAŃSKI
SZUMAŃSKA

TYGODNIK
POWSZECHNY

Albatros



ANDRUSZEWSKA
BIEŃCZYK
BŁAŻEJOWSKA
BOBKOWSKI
BRAVO
CHRZANOWSKI
GIERAK-ONOSZKO
HUELLE
JAGIELSKI
KAMIŃSKI
KANIA
KOZIOŁEK
KUBARSKA
KUCZOK
MAGNASON
MARKOWSKI
MILCZAREK
NAPIÓRKOWSKI
OLECH
OLSZEWSKI
PIENIĄŻEK
PRZEWROCKA-ADERET
RITTENHOUSE
ROBIŃSKI
STASIUK
SZCZEPAŃSKI
SZUMAŃSKA
TUBYLEWICZ
TUROWICZ
WICHA
WIŚNIEWSKA
ŻYŁA

KS. ADAM

Boniecki: Zaszczep się

JAK MÓWI MOJA ZNAJOMA, CO WARTO POWIEDZIEĆ raz, warto powiedzieć i po raz drugi. O antyszczepionkowcach pisał w marcu 2018 r. na tych łamach nasz redakcyjny kolega Łukasz Lamża. Potem wydał książkę („Światy równoległe”) o tym, czego nas uczą płaskoziemcy, homeopaci i różdżkarze oraz inni pseudonaukowcy, z antyszczepionkowcami na czele. Wszystko, co poniżej, czerpię z tej książki z nadzieją, że zachęcę do jej przeczytania, a przy okazji kilka myśli Lamży przemycę pod Wasze strzechy.

Teza wyjściowa książki jest taka, że opór przeciwko szczepieniom to coś znacznie bardziej skomplikowanego niż konflikt niewiedzy z wiedzą, a antyszczepionkowcy to nie „idioci” ani „oszuści”. O ich postawie decydują nie tylko niewiedza czy nieporozumienie, ale także niepokój, lęki i nadzieje, brak zaufania do instytucji publicznych i nauki, rozczarowanie przy zderzeniu z „brudną codziennością” lokalnej przychodni, daleką od warunków, w jakich powstają raporty medyczne dla „The Lancet”. Co zaś do wiedzy i niewiedzy, to w ciągu minuty można wypowiedzieć dziesięć nieprawdziwych zdań, które będą intuicyjnie zrozumiałe dla publiczności, a ich rozpracowanie wymagałoby wielu godzin i sięgnięcia do specjalistycznej wiedzy z wielu dziedzin. Lamża ilustruje to, wyjaśniając bezzasadność zdania: „szczepionki są trujące, bo zawierają rtęć” i wiązania szczepionek z autyzmem. Nie miejsce tu, by analizować różnice między rtęcią pierwiastkową a tiomersalem, którego zresztą od wielu lat niemal się nie stosuje, ani by opowiadać historię artykułu Andrew Wakefielda, od którego się zaczęła afera pod tytułem „szczepionki a autyzm”.

Lamży nie trzeba tłumaczyć, czym są NOP (niepożądane odczyny poszczepienne), bo sam doświadczył tego przy szczepieniu jednego ze swoich dzieci. Wtedy postanowił to zgłosić. Opisuje: „Przyjmująca zgłoszenie pielęgniarka – ta sama,



która szczepiła – najpierw odparła odruchowo, że »to raczej nie ma związku«, po czym – gdy delikatnie zasugerowałem, że nie jej to oceniać, a wyłowieniem związków przyczynowych z korelacji niech już się zajmują statystycy – zbyła mnie lekceważącym: »Dobra, dobra, zgłoszę«. Podejrzewam, że ten konkretny NOP nie trafił do statystyk”. Lamża doskonale wie, że szczepienie powinno być poprzedzone kwalifikacyjnym

badaniem lekarskim. Wie także, jak to wygląda w praktyce. Sam się spotkał z brakiem takiego badania. Ostatecznie jednak je wymusił w ostatnim momencie, gdy pielęgniarka sięgała do lodówki. Takie doświadczenia nie budują zaufania do szczepień.

A jednocześnie, jako filozof i pracownik Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, na zjawisko paranoi patrzy z dystansem i zrozumieniem. Łukasz Lamża pyta, dlaczego właściwie tysiące rodziców nie chcą szczepić swoich dzieci, i nie kwituje tego – jak często bywa – epitetem, ale z szacunkiem stara się ich zrozumieć. Uznaje, że w tych teoriach kryje się znacznie więcej treści, niż to pokazują media głównego nurtu. Uważa, że „nawet jeśli jest to treść dogłębnie fałszywa, warto dobrze ją poznać. Stara się merytorycznie wyjaśniać nieporozumienia, a nade wszystko dąży pytanie: dlaczego istnieją te wszystkie pseudonauki, nierzadko powodujące ludzkie cierpienie?

Czy ze szczepieniem przeciw COVID-19 wiąże się jakieś ryzyko? Oczywiście, nikt temu nie przeczy. Nawet jeśli prawdopodobieństwo NOP jest statystycznie niewspółmiernie niższe niż prawdopodobieństwo katastrofy samochodu, pociągu, samolotu, do których wsiadamy, czy nawet wypadku podczas przejścia przez ulicę, to ostatecznie nikt nie może być pewien, w których procentach się znajdzie. A jednak wsiadamy do samochodu, pociągu, samolotu i ryzykujemy przechodzenie przez ulicę.

© P



TYGODNIK POWSZECHNY

87 km na 87. urodziny!

Idź, biegnij albo jedź – na urodziny Redaktora Seniora

Daj w prezencie Solenizantowi kilometry i spalone kalorie.

Wygraj zdrowie, dobre samopoczucie i książki z osobistą dedykacją od ks. Adama!

To już ostatni moment na zapisy!

Szczegóły na powszech.net/87

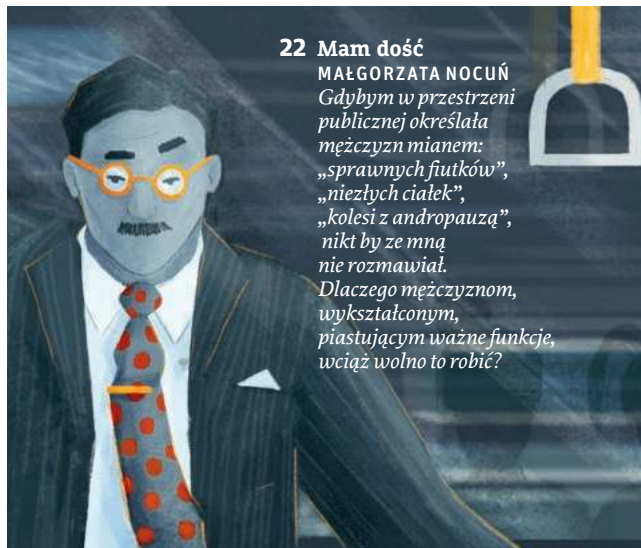
PARTNER:

DATASPORT

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
 FOT. GRAŻYNA MAKARA DLA FTP

22 Mam dość

MAŁGORZATA NOCUŃ
Gdybym w przestrzeni publicznej określała mężczyzn mianem: „sprawnych fiutków”, „niezłych ciałek”, „kolesi z andropauzą”, nikt by ze mną nie rozmawiał. Dlaczego mężczyznom, wykształconym, piastującym ważne funkcje, wciąż wolno to robić?



46 Wolni tylko w czterech ścianach

JOANNA SZYNDLER
Na Kubie wybuchły największe od wielu lat demonstracje przeciwko dyktaturze. Ludzie są głodni i sfrustrowani – i mają coraz mniej do stracenia.



32 Trzęsienie ziemi w kawałkach

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Ezopowy język dokumentów informujących o karach nakładanych na kolejnych polskich biskupów wiele mówi o mentalności decydentów Kościoła. Do głębokiej zmiany bardzo nam daleko.

60 Ni pies, ni ryba

JAGODA NAWROCKA

Ze względu na wieczną młodość i unikalne cechy regeneracyjne aksolotl to jeden z najczęściej hodowanych w laboratoriach i badanych płazów. Kontrastuje to z losem populacji, które wciąż żyją na wolności.



64 Opowieści spod stołu

ROZMOWA Z GRZEGORZEM KASDEPKEM, PISARZEM:

Książki przestały być elementem życia grzecznego dziecka. Są czytane głównie przez intelektualnych chuliganów, którzy po umoralniającą lekturę po prostu nie sięgną.



78 Igrzyska prawdziwych wartości

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Odlóżmy na bok gładkie słowa. Kroj się, dosłownie i w przenośni, najbardziej sterylna olimpiada w historii.

6 W złej sprawie
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Mam dość
MAŁGORZATA NOCUŃ

26 Dwunasta runda
MARIUSZ SEPIOŁO:
Kiedyś czuł się wolny, skacząc ze spadochronem. Teraz wolność znajduje na ringu bokserkim. Siedząc na wózku

29 Władcy przestrzeni
MAREK RABIJ *o budowlanej gorączce trawiącej polskie miasta*

■ ■ **WIARA**

32 Trzęsienie ziemi w kawałkach
TOMASZ P. TERLIKOWSKI

36 Wstań, żyj
MARCIN CHODUŃ: *We wspólnocie Cenacolo odnajdują drogę. Przez pracę i modlitwę*

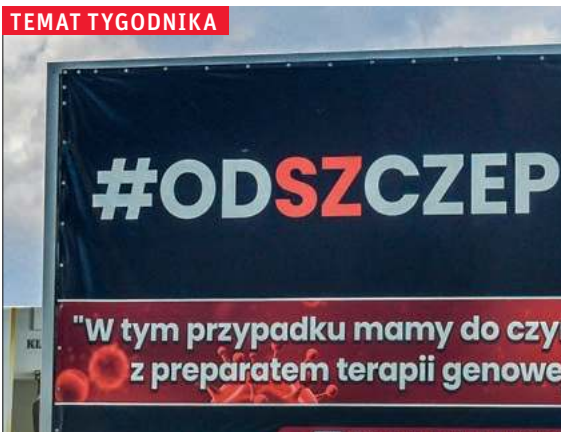
39 Bez znieczulenia
ANNA GARYCKA Z PARYŻA
o książce opisującej nadużycia seksualne założycieli znanych wspólnot charyzmatycznych

■ ■ **ŚWIAT**

42 Przekleństwo wiecznego powrotu
KRZYSZTOF STRACHOTA:
Afganistan znów spychany jest w ponury chaos

46 Wolni tylko w czterech ścianach
JOANNA SZYNDLER

TEMAT TYGODNIKA



12 Oporność stadna

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Aktywny antyszczepionkowiec, bezradny wójt, bierny pleban. I zależniony, a czasem podejrzliwy obywatel. Ze szczepieniami na Podhalu jest jak wszędzie, tylko trochę bardziej.

17 Niezszeptionych nikt nie dyskryminuje

ROZMOWA Z PROF. WŁODZIMIERZEM WRÓBLEM,
PRAWNIKIEM

Kiedy w Polsce zaczynamy mówić o poświęceniu się dla innych, spotykamy się zwykle z przychylnością. Być może przypominając, że szczepimy się dla innych, osiągnęlibyśmy lepszy efekt.

■ **FELIETONY** ■

31 JACEK PODSIADŁO **41** WOJCIECH BONOWICZ

58 HANNA KRALL **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: GRZEGORZ KASDEPKE
FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ dla „TP”

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

50 Halo, tu młodość!

SZYMON ŁUCYK Z PERPIGNAN WE FRANCJI: *W lipcowy weekend spotkali się sympatycy francuskiej radykalnej prawicy i ich lewicowi przeciwnicy. Jak widzą świat dwudziestolatkowie z różnych stron barykady?*

■ ■ **HISTORIA**

55 Była sobie wioska
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
o spacyfikowanej w czasie okupacji miejscowości Szarajówka w lasach lubelskich

■ ■ **NAUKA**

60 Ni pies, ni ryba
JAGODA NAWROCKA

63 Zwycięzca bierze wszystko
ŁUKASZ KWIATEK: *Czy dobór płciowy najsilniej działa na samców w tych populacjach, w których niewiele jest samic?*

■ ■ **KULTURA**

64 Opowieści spod stołu
ROZMOWA Z GRZEGORZEM KASDEPKEM, PISARZEM

70 Operacja Straż Nocna
MAGDALENA ŁANUSZKA
Nie zachowały się pasy płótna odcięte z obrazu Rembrandta. Dziś w malarza wcieliła się sztuczna inteligencja

74 Cmentarzysko waleńi
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Wieloryb z Lorino”

76 Amerykański sen
LEKTOR *o książce Ewy Winnickiej „Greenpoint. Kroniki Małej Polski”*

■ ■ **ZMYSŁY**

78 Igrzyska prawdziwych wartości
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **#DOM [Podkast Powszechny]**

Tycpaństwa i mikronacje możemy czytać jak książkę, oglądać jak film. One też uczą nas nowej perspektywy i zmuszają do zastanowienia: czym jest państwo? Czym jest wolność? – mówi reporter **MACIEJ GRZENKOWICZ**. Zaprasza **KRZYSZTOF STORY** powszech.net/podkast

➔ **Tajga płonie**

Na Syberii płonie ponad milion hektarów lasu. Pożary wybuchały tu pod koniec lata – w tym roku zaczęły się już w maju – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** w serwisie specjalnym ROSYJSKA RULETKA Tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



W ZŁEJ SPRAWIE

Polexitu nie będzie. W każdym razie nie z powodu sporu o niezawisłość sędziów – już prędzej z powodu zakazu produkcji samochodów spalinowych i znacznych podwyżek opłat za paliwa i ciepło.

PAWEŁ BRAVO

OBRADY GREMIUM, KTÓRE PEŁNI ROLĘ TRYBUNAŁU Konstytucyjnego, oraz wydany przezeń wyrok na temat tego, czy Polska musi stosować się do poleceń Trybunału Sprawiedliwości UE, w zamierzeniu miały być pokazem suwerenności. Nawet termin rozprawy przesunięto tak, by zbiegł się dokładnie z wyrokiem unijnego sądu w pokrewnej sprawie dotyczącej prawomocności wprowadzonego w ramach „reformy” systemu dyscyplinarnego sędziów i tzw. ustawy kagańcowej. Kwitowanie jednak tego prawniczego skandalu jako etapu wychodzenia Polski z Unii zaciera istotę naszych problemów z członkostwem w UE

i możliwych źródeł wzrostu nastrojów antyunijnych.

Owszem, polskie władze robią wszystko, by zachwiać obecnością Polski we wspólnotowym systemie ochrony prawnej, by sprawić, że polskie sądy przestaną być traktowane jako wiarogodne przez swoje odpowiedniki w innych krajach. To faktycznie byłoby koszmarem dla wielu polskich obywateli mających z podmiotami z Unii rozszczenia, np. związane z umowami czy spory rodzinne. Ale to jeszcze nie to samo, co wyjście z Unii. Dotychczasowa praktyka wskazuje, że po stronie unijnej nie ma wcale determinacji, by szybko stawiać sprawę na ostrzu noża.

*Pikieta
„Nie dla Polexitu”
przed Sądem
Rejonowym
we Wrocławiu,
19 lipca 2021 r.*

W trwającym od 2016 r. sporze między Warszawą a Brukselą więcej było przeciągania spraw w nieskończoność, naginania proceduralnych ram, politycznych kalkulacji niż otwartych, jednoznacznych gestów. Już kilka razy wydawało się, że zderzenie czołowe pisowskiej władzy z Komisją jest nieuniknione, po czym wszystko płało się w gąszczu częściowych ustępstw i przełożonych decyzji. Być może to się teraz zmieni, od kiedy w rękach instytucji unijnych znalazł się mechanizm zawieszania wypłat w razie obaw o stan praworządności. Tego jednak nie wiemy, nic tu nie działa automatycznie, będzie przedmiotem przeciągania liny między instytucjami i na pewno potrwa.

Samo kwestionowanie jakichś działań instytucji unijnych, kiedy próbują rozszerzać swoje prerogatywy, nie jest niczym w Unii nowym, z zasady destrukcyjnym, ani nie jest tożsame z żadnym „exitem”. Sęk w tym, że obóz rządzący wszczynając kompetencyjny spór niekonsekwentnie, urządzając spektakle na użytek własnego twardego elektoratu, broniąc przy tym pozycji, które nie są do obrony.

Polexitu jednak nie będzie. W każdym razie nie z powodu sporu o niezawisłość sędziów – już prędzej z powodu zakazu produkcji samochodów spalinowych i znacznych podwyżek opłat za paliwa i ciepło. Nie wiadomo, czy Niemcom uda się przeforować najbardziej radykalne rozwiązania z właśnie zaprezentowanego pakietu „Fit for 55” (czyli tego, co się dotąd zwało Zielonym Ładem). Nawet w łonie Komisji Europejskiej tuż po jego prezentacji pojawiły się pierwsze oznaki pęknięć. O te zapisy będzie się teraz toczyć zażarta i długa walka. Polska, nawet uznawana za pełnoprawnego członka rodziny, i tak nie miałaby przy tym decydującego głosu, bardzo dużo np. zależy od kalkulacji przedwyborczych we Francji. Ale wchodząc w niepotrzebny, krótkowzroczny konflikt o suwerenność w złej sprawie, relegujemy się na jeszcze dalszą orbitę wpływu, ryzykując np. tym, że kiedy zaczną się negocjacje na temat pieniędzy, które mogą załagodzić skutki drakońskich zakazów klimatycznych, dostaniemy mniej, niż byłoby do wzięcia. A wtedy benzyna po osiem złotych może być trudnym testem naszej europejskiej tożsamości.

©P

Mury nie runą

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



TA INFORMACJA PRZESZŁA PRAKTYCZNIE bez echa, niemal nie wychodząc poza grono bezpośrednio zainteresowanych. Kto wie, może ze względu na mało zgrabne, a już na pewno niemedialne słowo – „deinstytucjonalizacja”? Proces od dawna zapowiadany przez rząd jako konieczny do przeprowadzenia, a teraz *de facto* odłożony do urzędniczych szuflad. Na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Przetłumaczmy to brzydkie słowo na „d” z urzędniczego na ludzki: chodzi o to, by setki tysięcy ludzi mogło żyć na równych prawach z resztą społeczeństwa. By niemogący już funkcjonować samodzielnie senior, który nie ma wsparcia rodziny, nie musiał trafić z automatu do trzyosobowego pokoju w domu pomocy społecznej. By cywilizacyjną normą poza wszelką dyskusją stała się sytuacja, w której pobity przez rodziców 10-latek trafia do rodziny zastępczej, a nie do domu dziecka. By placówka całodobowa nie była jedynym rozwiązaniem w przypadku osoby w kryzysie bezdomności albo kryzysie psychicznym. I by alternatywą dla tych form wsparcia były narzędzia bardziej nowoczesne – jak choćby mieszkalnictwo wspomagane.

Właśnie nad tym, jak to wszystko zrobić, pracowały przez kilkanaście miesięcy dziesiątki ekspertów, urzędników i liderów polskiego ruchu pozarządowego. Narady toczyły się pod kierownictwem Pawła Wdówicka, sekretarza stanu w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej. Tym większe było zdziwienie pracujących przez ponad rok *pro bono* fachowców, gdy resort rodziny opublikował dokument niemający wiele wspólnego z ich ustaleniami. Miejscami do bólu niekonkretny, w innych fragmentach rażąco nieambitny (wyznaczenie jako daty granicznej roku 2050 na „pełne zagwarantowanie świadczenia usług w środowisku lokalnym” i „praktyczne wdrożenie idei niezależnego życia dla każdej osoby z niepełnosprawnościami” brzmi jak ponury żart).

Dokumentu „Strategia rozwoju usług społecznych” nie można jeszcze spisywać na straty – dopiero co skończył się jednak etap jego prekonsultacji. Ale kierunek, jaki obrała – wbrew swojemu wiceministrowi – szefowa resortu rodziny Marlena Małag, nie pozostawia raczej złudzeń. Mury tysięcy polskich placówek całodobowych pozostaną w najbliższym czasie nietknięte.

©P

Pandemia COVID-19: Polska bez tarczy

RACJONALNE ARGUMENTY czy możliwość wygrania hulajnogi nie wpływają na wahających się. Skuteczny będzie dopiero strach, kiedy zacznie się czwarta fala – oceniają eksperci, patrząc ze zgrozą na wyhamowującą akcję szczepień. Po pierwszej dawce zgłasza się już mniej niż 50 tys. osób dziennie, a 26 proc. badanych, jak podał niedawno CBOS, nie ma zamiaru się szczepić. Minister zdrowia Adam Niedzielski stwierdził niedawno, że grupa chętnych wyczerpie się na poziomie ok. 45 proc. populacji: bariera ochronna przed wariantem Delta pozostaje więc daleko za horyzontem.

Tymczasem czwarta fala się zbliża: wzrosty zakażeń ogarniają coraz bliższe nam kraje i w ciągu kilku tygodni na epidemiologicznych mapach trzeba będzie „zaciemnić” także teren Polski. Cały świat patrzy na

eksperyment brytyjski. Rząd Borisa Johnsona uznał – mimo ok. 50 tys. nowych zakażeń dziennie – że poziom wyszczepienia społeczeństwa (68 proc. przynajmniej 1 dawką, 53 proc. dwiema) pozwala na zniesienie niemal wszystkich restrykcji sanitarnych.

W Polsce w pełni zaszczepiło się 43 proc. populacji, a tylko pełny cykl zapewnia ochronę przeciw wariantowi Delta. Zakaża on nawet trzykrotnie skuteczniej niż wariant pierwotny i potrafi przenosić się drogą powietrzno-kropelkową. Oznacza to np. – ostrzega immunolog dr Paweł Grzesiowski – że powietrzem w pomieszczeniu, w którym przebywał zakażony, można się zakażać przynajmniej przez godzinę. M.in. dlatego w populacjach nieuodpornionych Delta powoduje błyskawiczny wzrost liczby infekcji (w Wlk. Brytanii dotyczy to głównie młodych dorosłych oraz dzieci). W zbliżającej się fali najbardziej wystawieni na atak będą najstarsi Polacy: w tej grupie od tygodni wskaźnik zaszczepionych nie przekroczył 60 proc.

©P MACIEJ MÜLLER

Abramsy dla polskiej armii

MOŻNA SIĘ ZASTANAWIAĆ, czy przypadkowo wybrano moment, w którym wicepremier odpowiedzialny m.in. za obronność i szef MON ogłosili, że producent z USA dostarczy 250 czołgów dla Wojska Polskiego. Kilka nacieki wcześniej pojawił się „lex TVN” – projekt ustawy, która może zmusić amerykańskiego właściciela do odsprzedaży krytycznej wobec rządu telewizji – uprawnione jest więc pytanie, czy ogłoszenie kontraktu właśnie teraz nie jest elementem jakiejś gry.

Nie zmienia to jednak faktu, że kontrakt nie spadł z nieba: wiosną br. media branżowe donosiły o rozmowach z pięcioma światowymi koncernami, a rządowy program zakupu nowych czołgów trwa od 2017 r. Armia ich potrzebuje w miejsce kilkuset wozów typu T-72, które są dużo starsze niż ich załogi, a wybór amerykańskich Abramsów wydaje się racjonalny – zarówno z punktu widzenia militarnego (kupimy najnowszą wersję; podobną wybrał w kwietniu br. Tajwan), jak też politycznego. Kolejny kluczowy kontrakt zbrojeniowy z USA to także inwestycja w relacje z głównym sojusznikiem, budowanie sieci powiązań. Gdyby szukać analogii historycznej: kiedyś Niemcy Zachodnie, wtedy frontowy kraj NATO, podobnie inwestowały w sojusz z USA (różnica jest jednak taka, że RFN była gotowa kupować nawet sprzęt wątpliwej jakości, jak niesławny samolot F-104, przez pilotów zwany „producentem wdów”).

Abramsy trafią do 18. Dywizji: jednostki formowanej od 2019 r., która – z punktu widzenia potencjalnego agresora – stoi mu na drodze do Warszawy.

© P. WOJCIECH PIĘCIAK

Brak wody: nowy program, stare rozwiązania

TRWAJĄ KONSULTACJE nowego Programu Przeciwdziałania Niedoborowi Wody przygotowanego przez Ministerstwo Infrastruktury. Nowego tylko z nazwy, bo dokument za 5,1 mln zł w lwiej części jest kopią ogłoszonego dwa lata temu programu, który kosztował nas 16 mln zł. Powtarza się analiza zasobów wodnych i 84 proc. proponowanych inwestycji.

Gorzej, że program powiela wizję gospodarki wodnej starszą niż dokument sprzed dwóch lat. W założeniach czytamy o małej i naturalnej retencji, przebudowie sieci melioracji i renaturyzacji rzek, ale w budżecie projektu mowa nadal o 113 dużych zbiornikach i kolejnych stopniach wodnych. Z 14 mld zł na walkę z suszą do roku 2027 ponad połowa to wydatki na zaledwie cztery inwestycje: trzy wielkie zbiorniki oraz wielokrotnie już oprotestowywany stopień wodny Wisła-Siarzewo. W skuteczność rozwiązań wątpią sami ich autorzy: „Zbudowanie pewnej liczby obiektów zapewniających dodatkową retencję nie oznacza automatycznie unikniętych strat z powodu suszy. (...) oprócz dostępności zasobów wodnych wymagana jest cała infrastruktura nawadniająca (...)”.

© P. KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

CNOTY NIEWIEŚCIE

O „ugruntowaniu dziewcząt do cnót niewieścich” mówił „Naszemu Dziennikowi” doradca ministra edukacji dr Paweł Skrzydlewski, narzekając, że „dziś obserwujemy w kulturze bardzo niebezpieczne zjawisko moralne, także religijne, pewnego zepsucia duchowego kobiety polegającego na rozbudzeniu w kobiecie pychy, która się przejawia próżnością, zainteresowaniem wyłącznie sobą, egotyzmem, zwalczaniem obiektywnego porządku na rzecz widzenia siebie”.

WZÓR CNÓT NIEWIEŚCICH

O pysze, która się przejawia próżnością, nie można oczywiście mówić komentując wystąpienie marszałkini Sejmu Elżbiety Witek podczas wiece w Otyniu, wypominającej przeciwnikom PiS, że korzystają m.in. z 500 plus: „Bierzecie, bierzecie. Bez żadnych skrupułów bierzecie i narzekacie. Proszę państwa, to jest mało honorowe, bo jakbym się nie zgadzała z decyzjami rządu, to nigdy od takiego rządu nic bym nie wzięła”.

WZÓR CNÓT MĘSKICH

„Ks. Boniecki to nie jest Kościół katolicki czy chrześcijański, to jest jakiś Kościół neoprotestancki. Bo to nic wspólnego z 10 przykazaniami Bożymi nie ma” – powiedział z kolei sam min. Przemysław Czarnek Radiu Wrocław, bez żadnych skrupułów mijając się z ósmym przykazaniem.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Niepokój w Sofii, radość w Kiszyniowie

PIOTR OLEKSY



W MOŁDAWII SPODZIEWANY PRZEŁOM, w Bułgarii rosnąca niepewność: tak można podsumować wynik przedterminowych wyborów parlamentarnych, które odbyły się w tych krajach 11 lipca. W obu przypadkach obywatele walczyli o odzyskanie państw zawłaszczonych przez oligarchów.

Mołdawianie oddali pełnię władzy Partii Działania i Aktywności (PAS), której faktyczną liderką jest Maia Sandu – prezydentka od listopada 2020 r. Po raz pierwszy w historii tego kraju jedno ugrupowanie proeuropejskie będzie sprawować samodzielne rządy. PAS wprowadziła 63 deputowanych do 101-osobowego parlamentu. Sandu i jej otoczenie zapowiadają rewolucję moralną w życiu publicznym, co będzie wymagać poważnych zmian kadrowych, przede wszystkim w wymiarze sprawiedliwości i służbach mundurowych. Budzi to wielką radość i nadzieję w Mołdawianach. Pytania, czy do tej rewolucji wystarczy ludzi, kompetencji, jedności i silnej woli w szeregach partii rządzącej, wywołują również uzasadnione obawy. Rządy PAS są bowiem postrzegane przez wielu w kategoriach ostatniej szansy dla kraju.

Z kolei bułgarskie wybory wygrała partia Jest Taki Naród, stworzona kilka miesięcy temu przez Sławiego Trifonowa – muzyka i showmana bez politycznego doświadczenia. Kilka dziesiątych procenta za nią znalazła się partia GERB wieloletniego premiera Bojko Borisowa. Zaskakując nawet niektórych ze swoich towarzyszy, Trifonow ogłosił po wyborach, że nie będzie szukał porozumienia z pozostałymi ugrupowaniami, które wyrosły na fali masowych protestów z lata ubiegłego roku. Zaproponuje autorski jednopartyjny rząd, na czele którego chciałby postawić cenionego ekonomistę i członka kilku poprzednich gabinetów. Trudno postrzegać to jako szansę na systemową zmianę w tamtejszej polityce. Trifonow skupił na sobie uwagę Bułgarów, którzy takiej zmiany pragnęli, tymczasem jego działania zdają się zmierzać w stronę obrony *status quo*. ©



Niemcy: powódź określi kampanię wyborczą

ZNISZCZENIA SĄ NIEWYOBRAŻALNE. Po deszczach o intensywności nienotowanej na przestrzeni ostatnich stu lat w zachodnich regionach Niemiec wylały dopływy Renu. Niektóre miasteczka i wsie w powiecie Ahrweiler (w górach Eifel) wyglądają tak, jakby miały tam miejsce działania wojenne. Zginęło co najmniej 160 osób (w tym ponad 100 w powiecie Ahrweiler), a kilkaset uważa się za zaginione. Media donoszą o kolejnych dramatach; np. w miasteczku Sinzig zginęło 12 pensjonariuszy domu opieki dla upośledzonych umysłowo. Politycy głównych partii zgodnie od-

wiedzą poszkodowanych i obiecują szybką pomoc, choć ze strony części opozycji pojawia się krytyka, że władze nie były przygotowane albo że mogły sprawniej reagować.

Powodzie wprowadzają nową dynamikę do kampanii przed wyborami do Bundestagu, które odbędą się 26 września. Już wcześniej zmiany klimatu stanowiły – obok pandemii – jej główny wątek. Teraz kraj odczuwa konkretne ich skutki. Politycznie to szansa zwłaszcza dla Zielonych, których program jest w kwestii klimatu najbardziej radykalny.

Tymczasem pada nadal. Wprawdzie w zachodnich regionach pogoda się poprawia, ale poziom wody wzrósł niebezpiecznie na Łbie i Dunaju. Na zdjęciu: miasteczko Schuld w górach Eifel, 15 lipca 2021 r.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI z Lipska

RPA: wojna o Zumę

ZAMIERZONYM I DAWNO ZAPLANOWANYM sabotażem, a nawet próbą przewrotu nazwał prezydent RPA Cyril Ramaphosa rozruchy i grabieże, które wybuchły po tym, jak do więzienia trafił były prezydent Jacob Zuma (rządził w latach 2009-18), skazany na 15 miesięcy za obrazę sądu. W rozruchach zginęło ponad 200 osób, a straty materialne (m.in. spalzone sklepy, galerie handlowe, hurtownie i kilkunastu paraliż dwóch prowincji: KwaZulu/Natal z portowym Durbanem oraz Gauteng z Johannesburgiem i stołeczną Pretorią) szacuje się na miliardy dolarów.

„Wiemy, kim są winowajcy” – mówi Ramaphosa. Nie wymienia nazwisk, ale wskazuje na Zumę, obarczając go winą za korupcję, jaka zapanowała pod jego rządami (procesy dopiero przed nim) i na ludzi z jego otoczenia. Uwięzienie swojego patrona współpra-

cownicy byłego prezydenta uznali za ostatnie ostrzeżenie, a wywołując antyrządowe wystąpienia, chcieli zmusić Ramaphosę i jego frakcję w rządzącym Afrykańskim Kongresie Narodowym, by odstąpił od rozprawy ze skorumpowanymi dygnitarzami ancien regime'u. Rozruchy wywołali w prowincji KwaZulu/Natal, ojczyźnie Zulusów, rodaków Zumy, stanowiących jedną piątą blisko 60-milionowej ludności kraju, by zastraszyć Ramaphosę widmem narodowościowego konfliktu i frakcyjnej wojny o władzę. Ale polityczne protesty wymknęły się spod kontroli i przetrwały w trwające prawie tydzień grabieże.

RPA to wciąż najbogatszy kraj Afryki, ale przepaść między bogatą elitą, mogącą sobie pozwolić na wszystko, a biedotą, która nie ma nic do stracenia, jest głębsza niż gdziekolwiek na świecie.

© © WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w cyklu **Strona Świata** na stronie internetowej „TP”

Skąd się wziął Trump

CZY WŁADIMIR PUTIN specjalnie spotkał się z szefami rosyjskiego wywiadu i najważniejszymi ministrami, aby nakazać wspieranie Donalda Trumpa – w tym czasie głównego kandydata w prawyborach Republikanów – w wyścigu do Białego Domu? Według brytyjskiego dziennika „The Guardian”, który dotarł do poufnych dokumentów Kremla, tak właśnie było, a na dekrety inicjującym całą operację widnieją podpis prezydenta Rosji. O sprawie od miesięcy mają wiedzieć zachodnie agencje wywiadowcze; Kreml zaprzecza.

Oficjalnie tematem zwołanego 22 stycznia 2016 r. posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej miała być sytuacja w Mołdawii. Jednak obecni na nim szefowie GRU (wywiadu wojskowego), FSB (kontrwywiadu) i Służby Wywiadu Zagranicznego, a także ówczesny premier Dmitrij Miedwiediew i szef MSZ Siergiej Ławrow dyskutowali o dokumencie przedłożonym przez kremlowskie biuro analiz. Trump był według niego z punktu widzenia Rosji „najbardziej obiecującym kandydatem”. Jako „impulsywna, niestabilna psychicznie i nie zrównoważona osoba, cierpiąca na kompleks niższości”, pomogłaby w Białym Domu w realizacji strategicznych interesów Rosji, m.in. w pogłębianiu podziałów w USA i osłabianiu ich międzynarodowej pozycji – czytamy w dokumencie. Analiza z Kremla zawiera informację, że rosyjskie służby mają kompromitujący Trumpa materiał, pozyskany podczas jego wizyt biznesowo-towarzystwskich w Moskwie. Analitycy sugerują też, że w celu jego wsparcia Rosja może wykorzystać spoliaryzowane media w USA i niechęć wielu Amerykanów do establishmentu.

Efektem spotkania na Kremlu miało być powołanie grupy roboczej; w jej skład weszli szefowie służb wywiadowczych, a Putin dał im tydzień na zaproponowanie konkretnych działań. Według „Guardiana” wydarzenia, które potem nastąpiły – m.in. atak hakerów z GRU na serwery Partii Demokratycznej i wyciek maili Hillary Clinton – pokrywają się z tonem i treścią dokumentu.

© © ŻYM / THEGUARDIAN.COM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ODKRYCIE

Ponad 160 nieoznaczonych grobów znaleziono przy b. katolickiej szkole z internatem na wyspie Penelakut na zachód od Vancouver. To już czwarte tego typu odkrycie w ostatnich miesiącach. W Kanadzie działało 139 przymusowych szkół dla rdzennych mieszkańców, 60 proc. z nich prowadził Kościół katolicki.

KARA

Biskup La Crosse w USA odwołał z urzędu kontrowersyjnego proboszcza Jamesa Altmana i zakazał mu aktywności publicznej. Ksiądz słynie z wypowiedzi negujących zagrożenie pandemiczne, porównuje szczepienia do eksperymentów medycznych w obozach nazistowskich. Jest popularny w kręgach konserwatywnych, uważa m.in., że katolikowi nie wolno głosować na Demokratów.



ADAM WARSZAWA / PAP

HISTORIA

Gdańscy dominikanie otwari wystawę upamiętniającą 800 lat obecności swojego zakonu w Polsce. Opowiada ona historię klasztoru od fundacji, przez dzieje w czasie reformacji, po kasatę w XIX w. i powrót po 1945 r. Na zdjęciu przywilej wielkiego mistrza krzyżackiego Anno von Sangershausen dla konwentu w Toruniu.

LATO

„Potrzebujemy ekologii serca, na którą składają się odpoczynek, kontemplacja i współczucie. Wykorzystajmy do tego okres letni!” – powiedział Franciszek w rozważaniu przed modlitwą „Anioł Pański” 18 lipca.

Papież uderza w tradycjonalizm



PIOTR SIKORA

FRANCISZEK OGŁOSIŁ DOKUMENT „TRADITIONIS custodes”, w którym radykalnie ograniczył możliwość odprawiania tzw. mszy trydenckiej, znosząc rozporządzenie Benedykta XVI, które pozwalało na taką celebrację praktycznie każdemu księdzu. Odtąd mszę w przedsoborowej formie będzie można sprawować tylko za pozwoleniem biskupa miejsca, i to nie w kościołach parafialnych. Nie będzie też można tworzyć nowych tradycjonalistycznych grup wiernych.

Franciszek motywuje swoją decyzję troską o jedność Kościoła. Wskazuje, że wiele grup tradycjonalistycznych kwestionuje prawomocność posoborowej liturgii Kościoła i tworzy swoisty „Kościół w Kościele”.

Rzeczywiście, od czasu Benedykta XVI środowiska tradycjonalistyczne prężnie się rozwijały, także na poziomie teologicznym. W Kościele powstał silny konserwatywny nurt, krytykujący, nieraz bardzo ostro, posoborowe reformy, a w szczególności kierunek, w jakim Franciszek prowadzi Kościół (zdarzały się nawet głosy kwestionujące przywództwo obecnego papieża).

Papieską decyzję można więc – na poziomie kościelnej polityki – zrozumieć.

Niestety, jest ona sprzeczna z wizją Kościoła, jaką sam Franciszek rozwija w swoich doktrynalnych dokumentach: wspólnoty zdecentralizowanej, gdzie ceni się oddolne inicjatywy wiernych, a rolą autorytetów jest nie tyle wymuszanie posłuszeństwa i zastępowanie sumień, co cierpliwe towarzyszenie, także błądzącym.

Po co zakazy, skoro sam Franciszek pochwała różnorodność, w której każda i każdy przynosi „bogactwo swoich własnych wierzeń i przekonań, każda i każdy z własnym głosem” („Fratelli tutti” 8), oraz uznaje, że „prawdziwe pojednanie nie ucieka od konfliktu, lecz jest osiąganym w konflikcie, przezwyciężając go poprzez dialog” (FT 244)?

Jak pogodzić politykę prawnych ograniczeń z wyrażoną w modlitwie wiarą: „Prosimy Boga o umocnienie jedności w Kościele, jedności wzbogaconej różnicami, pojednanymi dzięki działaniu Ducha Świętego” (FT 280)? © P

Kryzys niemieckiego chrześcijaństwa w liczbach

Z DWÓCH NAJWIĘKSZYCH niemieckich Kościołów – katolickiego i luterńskiego – wystąpiło w 2020 r. ponad 440 tys. wiernych. Tyle osób zaprzestało płacenia na swój Kościół podatku, co w Niemczech jest równoznaczne z apostazją.

Po odejściu w ub.r. 221,3 tys. wiernych, liczba katolików spadła do 2,19 mln, co stanowi 26,7 proc. ogółu ludności (w 2019 r.: 27,2 proc.). W dwóch poprzednich latach Kościół katolicki także tracił ponad 200 tys. członków. Znacząco spadł stopień uczestnictwa w mszach (5,9 proc. katolików, w 2019 r.: 9,1 proc.) oraz korzystanie z innych sakramentów, ale trzeba to wiązać przede wszystkim z obostrzeniami sanitarnymi. Zmniejszyła się także liczba parafii (o 78, obecnie funkcjonuje ich 9858) i księży (o 418, do 12 565).

Przewodniczący episkopatu bp Georg Bätzing przyznał, że do odzyskania zaufania potrzebne jest zmierzenie się z problemem molestowania seksualnego nieletnich, a także zajęcie się kwestią podziału władzy. Biskup Augsburga Bertram Meier zauważył natomiast: „ostatnio ludzie coraz częściej pytają o sens życia, Kościół mógłby więc coś zaoferować w tym zakresie”. © P MAM

Watykan przeciw terapii

STOLICA APOSTOLSKA dystansuje się od praktyki „leczenia z homoseksualizmu” (tzw. terapii konwersyjnej bądź reparatywnej), którą uznaje za „błędną co do metody i celów” – pisze tygodnik katolicki „Vida Nueva”, powołując się na notatkę watykańskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa przekazaną hiszpańskim biskupom.

Kongregacja zabroniła biskupom i księżom wspierania i promowania stowarzyszenia Verdad y Libertad, które prowadzi „terapię” osób homoseksualnych. Stowarzyszenie to działało w seminariach duchownych, zakonach, ruchach katolickich i parafiach, rekrutując chętnych na „wyleczenie” z homoseksualizmu. Korzystało z pomocy spowiedników, kierowników duchowych i psychologów. Ale już od 2019 r. do Watykanu docierały informacje o szkodach psychicznych, jakich doznawały osoby poddawane „terapii”.

Nota Kongregacji jest pierwszym tak jasnym i zdecydowanym odcięciem się Watykanu od terapii konwersyjnych, wspieranych przez wielu duchownych.

© P EDWARD AUGUSTYN



BACKGRID USA / FORUM

Canneńskie palmy i pazury

KORONAWIRUS jednak nie zabił prawdziwego kina, jakkolwiek sama branża ciężko go przechorowała. Z miejsca, które od 74 lat uchodzi za stolicę sztuki filmowej, dobiegały przez ostatnie dwa tygodnie optymistyczne doniesienia. Przede wszystkim celebrowano – być może przedwcześnie – festiwal życia.

Już rozpoczęcie, czyli brawurowy musical „Annette” Leosa Caraksa, nagrodzony później za reżyserię, dawało przedsmak filmowego rozbuchania. Po raz pierwszy w historii tego festiwalu widzowie ponad stu polskich kin mogli obejrzeć film otwarcia w tym samym czasie, co publiczność w pałacu przy bulwarze Croisette. Był to ładny gest powitalny zarówno w stronę rodzimych kinomanów, jak i wobec tych, którzy zdążyli od kina odwyknąć.

Po raz pierwszy przewodniczącym canneńskiego jury był czarnoskóry reżyser. Werdykt sygnowany przez Spike’a Lee również zapisze się w annałach: Złota Palma dla Julii Ducournau za film „Titane” (na zdjęciu) to dopiero drugi przypadek, kiedy najbardziej prestiżowy laur trafił w ręce kobiety (pierwsza była Jane Campion i jej „Fortepian” w 1993 r.). Opowieść o dziewczynie z płytką w głowie, określana jako „upojny melanz krwi, smaru i benzyny”, chwalona za kontrolowane szaleństwo i feministyczny pazur, wkrótce będzie mieć polską premierę na hybrydowym festiwalu Nowe Horyzonty. Podobnie zresztą jak „Bohater” Asghara Farhadiego (Grand Prix), „Memoria” Apichatponga Weerasethakula (Nagroda Jury) czy „Drive My Car” Ryūsuke Hamaguchiego (najlepszy scenariusz) według opowiadania Murakamiego.

Nagrodę za oryginalność w sekcji Un Certain Regard otrzymała islandzko-szwedzko-polska koprodukcja „The Lamb” Valdimara Jóhannssona, a w ramach Cannes Classics pokazano zrekonstruowane cyfrowo „Podwójne życie Weroniki”. Równe 30 lat temu to właśnie Krzysztof Kieślowski opuszczał Cannes z ważnymi nagrodami.

© ANITA PIOTROWSKA

KULTURA W SKRÓCIE

NAGRODA DLA RAKA
„Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” Radka Raka zwyciężyła w dorocznym, organizowanym od prawie 50 lat, plebiscycie Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction zajmującego się promocją europejskiej fantastyki na świecie. Oprócz Nagrody Zajdla i nominacji do Nagrody Literackiej Gdynia, Rak ma już na koncie jedno z najważniejszych polskich wyróżnień literackich – Nike.

NOBLISTKI WE WROCŁAWIU
Na zorganizowanej we wrocławskim Narodowym Forum Muzyki debacie spotkały się dwie laureatki Literackiej Nagrody Nobla: Olga Tokarczuk i Swietłana Aleksijewicz. Pisarki rozmawiały przede wszystkim o sytuacji kobiet w Polsce i Białorusi. Nagranie dostępne jest na oficjalnej stronie Wrocławia na Facebooku.

BIBLIOTEKI W PANDEMII
W ubiegłym roku biblioteki straciły prawie 18 proc. czytelników, ich liczba spadła poniżej 5 mln – wynika z najnowszych danych GUS. Możliwość świadczenia usług w formie online spowodowała jednak, że ponad połowa bibliotek nie ograniczyła dostępności do swoich zbiorów w czasie pandemii. Chętniej wypożyczaliśmy e-booki i audiobooki, a także zamawialiśmy skany wybranych artykułów prasowych.



KRZYSZTOF STRACHOTA, autor tekstu działu Świat, będzie gościem Macieja Zakrockiego w audycji Popołudnie Radia TOK FM w środę o godz. 15.40
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Borgi: tajemnicze DNA z niegościnnych miejsc

ŚWIAT PEŁEN JEST materiału genetycznego znajdującego poza organizmami żywymi. Mamy na przykład wirusy – tych przedstawiać nie trzeba. Są też wiroidy – gołe fragmenty RNA, potrafiące infekować rośliny. Teraz dołączają do nich borge. Nazwane tak za rasą obcych z serialu *science fiction* „Star Trek”, zostały odkryte w mrocznych, beztlenowych środowiskach, takich jak głębokie warstwy gleby czy jeziornych wód.

Każdy borg to długi kawałek DNA, zawierający funkcjonalne geny oraz fragmenty wskazujące, że mogłyby się on samodzielnie kopiować. Podejrzewa się, że mogą to być pozostałości wirusów infekujących archeony – starożytne bakterie, wśród których są m.in. mikroorganizmy potrafiące żywić się metanem. Czy borge pełnią w mikroekosystemach istotną rolę (np. regulując przemianę metanu i innych biogenów) – to się dopiero okaże. Po raz kolejny jednak uświadamiamy sobie, jak wciąż niewiele wiemy o biologii i genetyce najmniejszych mieszkańców Ziemi.

© SZYMON DROBNIK

Superprzeciwciało

W „NATURE” Tyler Starr i współpracownicy opisali immunoglobulinę, która wiąże wiele wariantów wirusa SARS-CoV-2, a nawet inne koronawirusy. Superprzeciwciało S2H97 zostało wybrane spośród 12 innych wyizolowanych od osób, które przeszły infekcję. Wszystkie atakują fragment kluczowego dla infekcji ludzkich komórek białka S. Ta molekula podlega wielu zmianom i mutacjom, a to niesie ryzyko oporności wirusa na dotychczasowe terapie. Niedawno w związku z nowymi wariantami wirusa jeden z leków – przeciwciało Bamlanivimab – stracił rekomendację amerykańskiej Agencji Żywności i Leków. Ale nowo odkryte przeciwciało atakuje wcześniej niedostrzegany fragment białka wirusa, wspólny dla wielu wariantów. Odkrycie S2H97, które okazało się również skuteczne w prewencji infekcji u chomików, daje szansę na powstanie uniwersalnej szczepionki na różne warianty i rodzaje koronawirusów – także przyszłe.

© BARTOSZ KABAŁA

OPORNOŚĆ STADNA

Aktywny antyszczepionkowiec, bezradny wójt, bierny pleban. I zalękniony, a czasem podejrzliwy obywatel. Ze szczepieniami na Podhalu jest jak wszędzie, tylko trochę bardziej.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ZOFIA (IMIĘ ZMIENIONE), BUS RELACJI
Nowy Targ–Szaflary: – Będą nas teraz szczepić jak świnię, co roku, zobaczy pan. I nie wiadomo, co to z tego dla zdrowia wyniknie.

Jędrak (imię zmienione), ławka na przystanku w Czarnym Dunajcu: – Znamy spadek z rusztowania, wzięli go do szpitala. Diagnoza: nie połamane żebra, a covid! Jak to możliwe?

Jan, budowlaniec, parking przed delikatesami w Białym Dunajcu: – Jak to jest, że minister już dziś wie, kiedy będzie czwarta fala?

Paulina, fryzjerka, ten sam parking: – Nikt mnie na szczepienie nie namówi. Nie chcę dzieci osierocić.

Mieszkańcy południa Polski nie chcą się szczepić. Podhale, głównie wiejskie tereny powiatów nowotarskiego i tatrzańskiego, to nie jedyne rejony z niskim wskaźnikiem uodpornionych. Ale to stąd jeszcze w zeszłym tygodniu pochodziły trzy najgorsze pod tym względem polskie gminy. Poniżej granicy 15 proc. w pełni zaszczepionych mieszka w gminach: Czarny Dunajec, Lipnica Wielka (to już nie Podhale, lecz sąsiednia Orawa), Biały Dunajec i Szaflary. Co prawda wskaźniki nie obejmują mieszkańców

pracujących od poniedziałku do piątku za granicą – system nie widzi np. wielu lipniczan, którzy zaszczepili się w Austrii – ale to nie tłumaczy w pełni podtatrzańskich nizin odporności.

Tymczasem rząd zapowiedział, że ewentualne jesienne lokalne lockdowny będą zależeć od wskaźnika osób zaszczepionych. Górali połączył więc lęk – przed ponownym zamknięciem. Tyle że nic z tego wspólnego strachu nie wynika. Bo zwolennicy mówią: „szczepmy się, inaczej nas zamkną”. A przeciwnicy: „I tak nas zamkną, więc brońmy się choć przed zastrzykiem”.

Szaflary: zdrowo myślące Podhale

Zofia ma podejrzenie – szczepionka wywołuje tycie. Niby dowodów brak, ale po zastrzyku zaczęła przybierać na wadze.

O stosunek do szczepień nie trzeba jej nawet zagadywać – na peronie dworca autobusowego w Nowym Targu sprawę skutków ubocznych górali omawiają na głos.

– Ja się zaszczepiłam, ale właściwie to pod przymusem. By móc wyjechać do Niemiec, gdzie zarabiam – mówi, gdy siedzimy już w busie do Szaflar. W cza-



MACIEK JONEK DLA „TP”

sie kwadransa podróży, której kres to popularne terminy z nieprzebranymi tłumami ludzi wystających w upale po bilet, usłyszę m.in. zdanie o ludziach szczepionych jak świnię. A od kilkorga pozostałych pasażerów, że boją się ponownego zamknięcia podhalańskiej turystyki.

– Szkoda, że nie dzwoni pan do nas z pytaniem: „Kiedy ruszacie z najgłębszym odwiertem geotermalnym na świecie?” – słyszę od wójta Szaflar Rafała Szkaradzińskiego, który od razu na zadane



Baseny termalne Gorący Potok w Szaflarach, 16 lipca 2021 r.

samemu sobie pytanie odpowiada: – Ru-
szamy w tym roku, i jest to ważniejszy
temat niż grupa antyszczepionkowców.

Ale po chwili sam wójt przyznaje:
siła lokalnych ruchów „anty” to jedna
z przyczyn słabych wskaźników. – Są lu-
dzie, którzy chcą mi zaszkodzić, wska-
zując na mnie jako na tego złego, który
namawia do szczepienia – mówi Szka-
radziński.

„W imieniu Wojewody Małopolskiego
oraz własnym zwracam się z prośbą do

mieszkańców o podjęcie słusznej decy-
zji i poddanie się szczepieniu przeciwko
COVID-19” – napisał wójt pod koniec
czerwca. Tyle że kontrlist opublikowała
Polska Akcja Banerowa, która zainicjo-
wała kampanię „Od(sz)czep się”. „Czy
urząd Gminy Szaflary na czele z wójtem
przeprowadził badania kliniczne szcze-
pionek?” – pytał w imieniu PAB jej współ-
założyciel, mieszkaniec Szaflar Sebastian
Śmietana (gdy pytam Śmietanę o akcję,
otrzymuję sążniste maile z cytatami, m.in.

epidemiologa Zbigniewa Hałata, który od
miesiący – głównie w Radiu Maryja i TV
Trwam – dowodzi, iż szczepionki to me-
dyczny eksperyment). Na razie to PAB tra-
fia lepiej w społeczne emocje.

– Nie chcę ponownego zamknięcia
Podhala. Czy jeśli to nastąpi, osoby, które
krzyczą przeciw szczepionkom, wezmą
odpowiedzialność za to, że inni potracą
biznesy? – pyta wójt Szkaradziński.

Sam przeżył covidową śmierć w ro-
dzinie. Podobnych przypadków było →

→ tu zresztą więcej. Zmarł np. proboszcz parafii w Zaskalu, jednym z siedmiu sołectw gminy. Wcześniej wypowiadał się przeciw noszeniu maseczek.

Ale i ten przypadek nie przekonuje większości mieszkańców Szaflar. Fora lokalnych mediów zalane są antyszczepionkową opowieścią. „Czytając te komentarze – pisze uspokojony internauta na stronie Podhale24.pl – odnoszę wrażenie, że jest tu jeden rządowy troll, a reszta to zdrowo myślące Podhale”.

Strzykawka do połowy pusta

– Nasze statystyki są mylące. Odsetek zaszczepionych jest zbliżony do innych krajów europejskich, tyle że my mamy niekorzystną strukturę grupy osób niechronionych. Szczepimy za mało seniorów, czego zgubne skutki możemy odczuć wkrótce – mówi Paweł Grzesiowski, lekarz i ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19.

Według niego dotychczasowa kampania na rzecz szczepień jest nieskuteczna. Ponad połowa społeczeństwa, która przyjęła już przynajmniej jedną dawkę, to i tak ludzie przekonani do idei nabywania odporności. – Pozostali boją się skutków ubocznych, dlatego kampania powinna odwoływać się właśnie do ich poczucia bezpieczeństwa, a niekoniecznie skupiać się na loterii i rozdawaniu rajstop – ironizuje Grzesiowski.

Z kolei według Rafała Halika, epidemiologa z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH, cechą tej kampanii jest centralizacja. – Tymczasem wiele problemów ma, jak na Podhalu, swoją lokalną specyfikę – mówi ekspert. Według niego w akcję nie włączyli się jak dotąd w wielu miejscach liderzy: samorządowcy czy księża.

Potwierdza się to na Podhalu. Wójtowie, nawet jeśli publikują listy do mieszkańców, są zwykle bezradni. Inni w lokalnych akcjach nie widzą sensu (od jednego z wójtów usłyszałem, że skoro państwo

Złośliwcy mówią, że
szczepienia się na Podhalu
nie przyjęły. Dokładnie tak
samo jak podatki, prawo
budowlane czy ustawa
antyprzemocowa.

jest w tej mierze tak aktywne, to po co jego przekaz miałaby powielać gmina).

Księża? Wielu prywatnie jest „za”, spora część przyjęła dwie dawki. Ale wychylać się z odezwaniami do mieszkańców nie chcą, ograniczają się do odczytywania podsuniętych im przez samorząd apeli.

– Jest to tak tradycyjnie religijna społeczność, że gdyby księża odważyli się mówić o szczepieniach w kościołach, myślę, że jakiś odzew by był – uważa Anna Orzechowska, kardiolożka ze szpitala w Zakopanem, która kierowała najdłużej działającym na Podhalu oddziałem covidowym; prywatnie osoba praktykująca. – W okresach fal pandemii w wiejskich kościołach było dużo ludzi bez maseczek i nikt nie zwracał na to uwagi. W mieście księża apelowali o dystans, liczyli wiernych. Choć nie słyszałam kazania o korzyściach płynących ze szczepień. Myślę, że niektórzy księża nie chcą się narażać lokalnym społecznościom.

Ale to nie jedyny powód ostrożności. Krakowska archidiecezja – w odróżnieniu choćby od warszawskiej, gdzie abp Kazimierz Nycz wezwał do nabywania odporności – była w tej sprawie nad wyraz powściągliwa. Na jej stronie próżno było szukać apelu w tej sprawie – nawet w zakładce „Dekrety Metropolity Krakowskiego oraz informacje Kurii na czas stanu epidemicznego”.

Być może sygnałem zmiany są wydania ostatniej niedzieli: w sześciu podtatzańskich gminach zorganizowano – przy współpracy wojewody i archidiecezji – akcję „Niedziela szczepień na Podhalu”, w ramach której można się było zaszczepić przy parafii.

– Ciekawy jest styk wiary, religijności z podejściem do pandemii – mówi Paweł Grzesiowski. – Rozróżniam tu dwa nurty. Pierwszy akcentuje piąte przykazanie, odnosząc je także do maseczek czy szczepień. Drugi to postawa „Bóg

dał, Bóg wzięł”. Tu szczepienie bywa nawet interpretowane jako ingerencja w Boską wolę. Ten nurt musi być dość silny, skoro księża czy siostry zakonne, z którymi rozmawiam przy okazji szczepień, swoją decyzję utrzymują w tajemnicy.

Czarny Dunajec: zero autorytetów, zero!

Jędrak ma pewność – szczepionka służy wytepieniu ludności kraju.

Spotykam go na przystanku autobusowym w Czarnym Dunajcu. Na oko po trzydziestce, szczupły. Pod dyskretnym, choć wyraźnym wpływem, w ustach papieros. – Teraz każde schorzenie to jest covid – mówi, opowiadając historię znajomego, który spadł z rusztowania. – Wódka to jedyne skuteczne szczepienie, na wszystko. Chociaż ma czasami skutki uboczne. U mnie była sprawa rodowa i karna, za znieważenie policjanta – uśmiecha się porozumiewawczo.

Gmina Czarny Dunajec pod względem odsetka zaszczepionych zsunęła się ostatnio na ostatnie miejsce w Polsce. Sekretarz gminy Michał Jarończyk podaje dwa powody. Pierwszy jest formalny: to kilka tysięcy mieszkańców przebywających i pracujących za granicą, których system nie widzi. – Gdyby nie ta okoliczność – mówi sekretarz – nadal byłoby słabo, choć pewnie nie byłibyśmy w samym ogniu.

Przyczyna druga, psychologiczna. – Wiosenna fala nas akurat oszczędziła. Może dlatego, że wielu mieszkańców chorowało jesienią.

– Były przypadki śmiertelne? – pytam sekretarza gminy.

– Były. Rok 2020 zamknęliśmy niemal zerowym przyrostem naturalnym, a zawsze dużo więcej się u nas rodziło, niż umierało. Zmarły 222 osoby, a rok wcześniej 175, podobnie jak w latach poprzednich.

– Ludzie zapomnieli o jesieni?

– Wielu pomyślało: przechorowaliśmy, to jesteśmy odporni.

„Ciemny Dunajec” – mówią złośliwie o gminie na Podhalu ci, którzy są za szczepieniami. Teresa Anna Pasich, szefowa miejscowego ośrodka zdrowia, od tego określenia się odznękuje, choć za główną przyczynę słabych wskaźników uznaje brak edukacji.

– Nawet ci, którzy przychodzą, boją się, że będą po szczepionce chorować albo umierać – mówi. Jest akurat czwar-



MARIUSZ SEPIŃSKI opowie o niepełnosprawnych bokserach (s.26) Piotrowi Zubkowi w środę 21 lipca

o godzinie 7.40 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można odsłuchać też w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

tek, czyli jeden z dwóch dni szczepień w ośrodku. Godzina dziesiąta, czyli sam początek przyjmowania; na korytarzu czeka jedna pacjentka. – Zakrzepica generalnie króluje, jest tak mocno obecna w umysłach. Choć ja się z nią jako skutkiem ubocznym szczepionki nie spotkałam. Wczoraj była pani, która mi się zwierzyła, że nastoletniej córki chyba nie zaaszczepi, bo to źle wpływa na dojrzewanie.

– Podobne lęki są w całej Polsce. Jest jakaś podhalańska specyfika? – pytam.

– Jest tu chyba jeszcze mniej zaufania – odpowiada lekarka. – I zero autorytetów, zero! Jak ludzie chorują, to pomoc wzywają już w naprawdę ciężkim stanie.

Mikroklimat

Złośliwcy mówią, że szczepienia się na Podhalu nie przyjęły. Dokładnie tak samo jak podatki, prawo budowlane czy ustawa antyprzemocowa w Zakopanem. I jak maseczki.

– W sklepach w Trstenie [czyli Trzcianie, pierwszej słowackiej wsi po przekroczeniu granicy w Chyżnem, na Orawie – red.] ludzie karnie stosują się do zasad – mówią Sylwia i Tomek, małżeństwo z Warszawy wypoczywające na Podhalu. – Maseczki noszą pracownicy sklepów, Słowacy oraz robiący zakupy klienci z Polski.

Po zakupieniu słowackich czekolad, piw i kofoli w drodze powrotnej turyści

– Czy my są na Podhalu mądrzejsi, czy głupszy, to się okaże za rok, albo i dziesięć lat – mówi fryzjerka z Białego Dunajca.

zatrzymali się jeszcze w sklepie po polskiej stronie. – I wszyscy, zgodnie z obowiązkiem, który nie został przecież zniesiony, założyliśmy maseczki – kontynuują. – Szybko poczuliśmy dziwne spojrzenia pozostałych klientów, maseczki nie miał poza nami nikt, nawet ekspedientki! Podobne sceny powtórzyły się w Zakopanem, Chocholowie, Białce i Bukowinie Tatrzańskiej.

Takie podejście do ochrony i profilaktyki nie dziwiłoby, gdyby region nie został wcześniej dotknięty przez epidemię. Tymczasem jej przebieg nie był tu wcale łagodniejszy. – Umierały po dwie osoby z rodziny, ojciec z synem czy małżeństwo – mówi Anna Orzechowska. – Na koronawirusa zmarł wicestarosta tatrzański. Mieliliśmy dwa oddziały covidowe, zdarzyło się, że mąż umarł na jednym, a żona oglądała z drugiego jego pogrzeb za pośrednictwem internetu.

Specyfika kulturowa? Zdaniem Pawła Grzesiowskiego jest nią jeszcze mniejsze niż w innych częściach kraju zaufanie do służby zdrowia – wskazują na to według eksperta nie tylko dane dotyczące szczepień, ale też liczby wykonywanych testów. Grzesiowski: – Scharakteryzowałbym tę specyfikę tak: „Jeśli lekarz, gabinet, zastrzyk, to tylko w ostateczności”.

Choć Anna Orzechowska uważa, że i tak wiele zmieniło się pod tym względem na lepsze. – Pracuję w szpitalu 27 lat, na początku górale unikali kontaktu z lekarzem, trafiali bardzo późno np. z zawałem czy udarem – mówi zakopiańska kardiolożka. – Na przestrzeni lat uległo to zmianie, przynajmniej jeśli chodzi o stany nagłe. Bo już z profilaktyką jest gorzej: dużo alkoholu, papierosów, otyłości, niezdrowego odżywiania.

– Jeśli idzie o kulturową specyfikę, wolę być ostrożny, by nie popaść w powielanie stereotypów – mówi z kolei Rafał Halik. – Jest natomiast coś, z czego nie zdajemy sobie sprawy, a co rzeczywiście stanowi regionalną specyfikę. Podhale jest fatalnie skomunikowane, co w połączeniu ze stosunkowo małą liczbą punktów szczepień utrudnia działanie. Dodatkowo region ma relatywnie wysoki odsetek osób 65 plus, które nie są mobilne – o wykluczeniu transportowym na tych terenach mówiło się jeszcze przed epidemią.

→

Ośrodek zdrowia i punkt szczepień w Białym Dunajcu, 16 lipca 2021 r.



MACIEK JONEK DLA „TP”

Biały Dunajec: w lipcu chętnych brak

→ Jan, budowlaniec, ma pytanie: – Ile tych covidów jest? Jo uważam, że jest jeden, i jakby go byli nie ruszali, to byłby został on, i byłoby wszystko. A oni co chwila wymyślają, jakiś angielski, indyjski, jakiś znowu jak huragan się nazywa... O, Delta!

Jana – podobnie jak Zofii – też nie trzeba specjalnie o epidemię zagadywać. W delikatesach Metro Market w Białym Dunajcu, kupując chleb i wódkę, wymienia z ekspedientką porozumiewawczy żart (tak, ten sam – o alkoholu jako szczepionce – który usłyszałem na przystanku w Czarnym Dunajcu).

Więc teraz Jan – wielki, barczysty, w okolicach sześćdziesiątki – poproszony już o oficjalną wypowiedź na parkingu przed sklepem, dzieli się pytaniami i przemyśleniami: – To jak to jest, że minister zna termin czwartej fali? To on jest jasnowidz, Bóg czy kto? Mówią, że wirus aktywny. Aktywni to są oni w rządzie, jak zbierają od ludzi pieniądze.

– Czy ja covid przechodził, to nie wiem, bo się nie badałem i się badać nie będę. O przypadkach zachorowań też nie słyszałem. A pracujemy w trzydziestu chłopów na budowie, jemy przy jednym stole. Dlatego ja się szczepił nie będę i moje dzieci też nie będą. Znam przypadki, że zdrowi ludzie przyjęli szczepionkę i tracili wzrok – dodaje Jan, opierając się o płot przy parkingu.

Dołącza do nas Paulina, fryzjerka. Uważa, że przez szczepionkę mogłaby osierocić dzieci. – A covida się nie boję, bo już go przeszedłem, i to dwa razy – mówi. – Czy my są na Podhalu mądrzejsi, czy głupszy, to się okaże za rok, albo i dziesięć lat.

Kierowniczkę miejscowego ośrodka zdrowia, pediatrę Małgorzatę Szczerbę, pytam o dotychczasowe fale w Białym Dunajcu. – Szło jak domino, dom po domu – odpowiada. – Jednego dnia trzy osoby wysłałem do szpitala z jednej ulicy. W tym panią w podeszłym wieku, która potem zmarła. Jej rodzina zadzwoniła do mnie z pretensjami z powodu tego szpitala, bo gdyby nie to, „ludzie nie wiedzieliby, że to covid”. Pretensji było więcej,

np. młoda kobieta miała mi za złe, że wysłałem ją na test i tym samym na kwarantannę, podczas gdy ona chciała iść do pracy.

– Dlaczego górale bardziej wierzą plotkom niż pani?

– Nie wiem. Ale to się nie zaczęło od pandemii. Z roku na rok wzrasta liczba tych, którzy odmawiają obowiązkowego szczepienia dzieci. W tym roku po raz pierwszy na szczepienia przeciw błonicy i tężcowi nie zgłosiła się ponad połowa 18-latków, którzy już sami decydują!

W Białym Dunajcu, jeszcze bardziej niż w całej Polsce, głównym problemem są słabe statystyki w grupach ryzyka: zaszczepiony w gminie jest mniej niż co trzeci mieszkaniec 65 plus. I lepiej już raczej nie będzie: – W styczniu, gdy szczepionek było mało, ludzie chcieli się za ten zastrzyk pozabijać – opowiada Małgorzata Szczerba. – Teraz nie ma chętnych.

Fala nadciąga

Czego może oczekiwać cieszące się dziś z najazdu turystów Podhale?

Paweł Grzesiowski: – Lokalnych lockdownów. Jeśli zaszczepionych jest 15 procent, a nie 40, jak na innych terenach, a dodatkowo mamy w związku z ruchem turystycznym znacznie większe zagęszczenie ludności, to ryzyko musi być większe.

Rafał Halik: – Modele matematyczne pokazują, że problem z wariantem Delta możemy mieć już w sierpniu. I wiele wskazuje na to, że będą dwie dynamiki epidemii.

Pierwsza w miastach, z dużą liczbą zakażeń, ale niskim wskaźnikiem hospitalizacji oraz zgonów. A druga na wsi, gdzie może się odbyć powtórka z jesieni zeszłego roku. Ten drugi przypadek może także dotyczyć wiejskich gmin Podhala. Zwłaszcza że 15 sierpnia do słabych wskaźników zaszczepienia i dużej liczby turystów dojdą obchodzone tu zawsze tłumnie uroczystości związane z kościelnym świętem.

Anna Orzechowska: – Obawiam się o szpitala na Podhalu. Naprawdę boję się tej jesieni.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Współpraca: Bartek Dobroch



*Akcja billboardowa ruchów
antyszczepionkowych na drogach Podhala,
Ustup k. Zakopanego, 16 lipca 2021 r.*

Nieszczepionych nikt nie dyskryminuje

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL, PRAWNIK:

Kiedy w Polsce zaczynamy mówić o poświęceniu się dla innych, spotykamy się zwykle z przychylnością. Być może przypominając, że szczepimy się dla innych, osiągnęlibyśmy lepszy efekt.

MARCIN ŻYŁA: Czy można wprowadzić obowiązkowe szczepienia przeciwko COVID-19?

WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Można. Związane z nimi ograniczenie prywatności nie rodzi szczególnych niebezpieczeństw. Nie jest też nadmierną ingerencją w sferę nietykalności cielesnej. W takim duchu wypowiadał się już Europejski Trybunał Praw Człowieka.

A czy się powinno?

Tu trzeba by się zastanowić nad efektywnością przymusu. Każda ingerencja w sferę wolności powinna być usprawiedliwiona.

To jak usprawiedliwiłby Pan tę ingerencję?

W przypadku koronawirusa zagrożenie śmiercią i poważnymi powikłaniami jest bardzo duże. Pandemia podkopuje też inne interesy naszej wspólnoty – myślę o zamykaniu gospodarki albo przeciążeniu systemu ochrony zdrowia i wdrożeniu umieralności, także na inne choroby. To uzasadnia podjęcie kroków, w których jednostka musi zrezygnować z części swojej autonomii i wolności na rzecz innych.

Inna sprawa, że wprowadzenie obowiązku szczepień to jeden z wielu możliwych sposobów walki z pandemią. Być może niewykorzystany jest potencjał innych metod. Tym bardziej że gdy coś jest obowiązkowe, ludzie mogą się temu częściej przeciwstawiać albo utożsamiać ten obowiązek z państwem, którego nie lubią. Mądra władza musi się zastanowić, czy decydując się na to rozwiązanie, nie wyleje dziecka z kąpielą.

To w jaki sposób można opowiadać o szczepieniach np. na Podhalu, o którym piszemy w tym numerze „Tygodnika”? Są tu gminy, gdzie poziom wyszczepienia ledwie przekracza 13 proc.

Akurat Podhale nie kojarzy się z regionem, w którym neguje się potrzebę solidarności społecznej. Zresztą w ogóle w Polsce, kiedy zaczniemy mówić o poświęceniu się dla innych, raczej spotykamy się z przychylnością. Być może właśnie wykorzystując tę wrażliwość, która

– wciąż w to wierzę – charakteryzuje nas jako wspólnotę, przypominając, że szczepienie wykonujemy dla innych (rodziny, sąsiadów, mieszkańców naszej miejscowości), osiągnęlibyśmy lepszy efekt.

Do tego jednak trzeba przemyślanej polityki. Podobnie potrzeba jej do przekazania wiedzy o istocie wirusa, który może mutować, zagnieżdżać się w różnych środowiskach i miejscach, jeżeli będzie miał możliwość transferu.

Szczepienia to kolejny przykład sporu – po dyskusjach o różnych wątkach tzw. wojny kulturowej czy klótni o uchodźców – w którym mierzymy się z lękami. Uzasadnionymi czy nie – to już inna sprawa. Ale na pewno odczuwanymi. Czy państwo ma możliwość, aby te lęki jakoś „objąć”?

Trzeba rozmawiać – to jedyny sposób rozładowania lęku. Zwłaszcza takiego, który ma źródło nawet nie w niewiedzy, lecz w niepewności. Tymczasem udział Polaków w rozmowie o sprawach publicznych jest niewielki.

Przekaz, który byłby najskuteczniejszy, powinien być oparty na idei solidarności społecznej, dbałości jednych o drugich. Kłopot w tym, że od kilku lat sprawowanie władzy przez rząd faktycznie polega na generowaniu strachów i podziałów, mówieniu radykalnym językiem o niektórych grupach społecznych. Trudno, żeby ci sami politycy nagle zamienili się w gołąbki solidarności społecznej. Nikt im nie uwierzy.

Od początku pandemii komunikaty płynące ze strony państwa przypominają nam, że jest ono aparatem przymusu. Ale jest przecież także podstawą wspólnoty. Czy da się o nią zadbać?

To już pytanie o profesjonalizm polityków. To do nich należy tłumaczenie, dlaczego powinniśmy coś robić – w sensie odpowiedzialności moralnej czy społecznej. Takich polityków nam jednak brakuje.

Mało tego: w państwie funkcjonują inne struktury, które oddziałują na naszą świadomość zbiorowego obowiązku. Potężną, ogromną wspólnotą jest Kościół katolicki. Szkoda, że płynące od niego komunikaty są tak niejednoznaczne. Cieszymy się, że jakiś biskup – wreszcie, po tylu miesiącach – zapowiedział, że będzie zachęcał do szczepień. ➔



MACIEK JONEK DLA „TP”

→ A to przecież powinno było nastąpić już dawno temu.

Wszystko to generuje uczucie niepewności. Ludzie zasadniczo są zdystansowani do państwa, państwo zachęca do szczepień, a proboszcz nie mówi o tym nic. Może więc szczepienia nie są warte takiego zachodu? Zwykle przecież to w kościele najczęściej słyszymy o obowiązkach moralnych. Mamy teraz uwierzyć, że państwo stało się bardziej etyczne od Kościoła?

Jest też kwestia strategii. Może należałoby się zastanowić nad sensem utrzymywania obowiązku noszenia maseczek w sklepach? Dziś jest to przepis masowo naruszany. Jeśli wariant Delta okaże się groźny, łatwiej byłoby wprowadzić taki obowiązek na nowo, niż powiedzieć obywatelom: „OK, to od teraz zaczynamy traktować prawo poważnie”.

Pandemia jest trudna także w tym sensie, że wymaga zrozumienia dość skomplikowanych mechanizmów biologicznych. Dopiero gromadzimy wiedzę na temat wirusa. Na początku nawet od specjalistów mogliśmy słyszeć rozbieżne komunikaty na temat sensowności pewnych zachowań. Było to obiektywne – nie umieliśmy czegoś wytłumaczyć, bo wielu rzeczy nie wiedzieliśmy. Ale przecież teraz możemy już w sposób w miarę pewny mówić o tym, co jest konieczne, a co nie, aby chronić się przed wirusem.

W kilku krajach Europy przeprowadzono kiedyś badania bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Okazało się, że tam, gdzie nadmiernie stosowano reguły ograniczenia prędkości – np. znak nakazujący zmniejszyć prędkość stawiano na wiele set metrów przed miejscem, w którym rzeczywiście występowało zagrożenie – ludzie przestawali zwracać na nie uwagę. Tam natomiast, gdzie znaki stawiano z rozwagą i większym zaufaniem do kierowców, okazywało się, że jeżdżą oni bezpiecznie.

Podobny mechanizm działa w zakresie reguł sanitarnych. Widzimy, że jest ich dużo, podejrzewamy że są przesadzone – nawet specjalistom trudno uzasadnić, że to na wszelki wypadek – gdy zaś przyjdzie realne zagrożenie, przestaniemy zwracać na nie uwagę.

Trzeba rozmawiać
– to jedyny sposób
rozładowania lęku.
Zwłaszcza takiego,
który ma źródło nawet
nie w niewiedzy,
lecz w niepewności.

Interwencja państwa powinna być ostatecznością?

To po pierwsze. Po drugie, musi jej towarzyszyć jednoznaczny i prosty przekaz.

Ale wprowadzenie obowiązkowych szczepień przeciw covidowi – to byłaby interwencja państwa razy sto.

Tak, ale proszę zwrócić uwagę na to, o czym już dyskutuje się we Francji i Grecji. Rozważa się obowiązkowość szczepień wśród grup, które są najbardziej narażone na transmisję – np. w służbach medycznych. Rozwiązanie nie musi polegać na tym, że będziemy się przymusowo szczepili wszyscy.

Prezydent Emmanuel Macron zapowiedział, że we Francji szczepienia nie będą obowiązkowe, ale osoby niezaszczepione nie będą mogły wejść do kawiarni, centrum handlowego czy placówki medycznej ani podróżować na długich trasach. W efekcie już 1,5 mln Francuzów zapisało się na szczepienia. Władza wysłała komunikat: nie musicie się szczepić, ale jeśli tego nie zrobicie, bardzo utrudnimy wam życie.

Z drugiej strony, w Polsce impulsem do podjęcia szczepień, zwłaszcza przez ludzi młodych, była informacja, że nie wjadą do Chorwacji bez szczepienia. To wystarczyło, żeby wielu ruszyło do punktów szczepień. I nie było dyskusji o segregacji.

Inny przykład. Przez długie miesiące nasze domy pomocy społecznej były odizolowane od świata. Teraz jest już możliwość bezpiecznych odwiedzin w tych domach przez osoby zaszczepione. I to nie jest tak, że wymyślamy kary dla tych, którzy nie chcą się szczepić – realizujemy po prostu głęboką potrzebę tych, którzy od dawna czekają na odwiedzin. Nazy-

wanie tego dyskryminacją osób nieszczepionych to aberracja.

To, że są ludzie, którzy nie chcą się szczepić, nie może powodować, że zaszczepieni byliby ograniczeni w swoich prawach. Tym bardziej że szczepionka jest powszechna – szczepić się może każdy, i to za darmo.

Przeciwnicy szczepień mówią, że ograniczana jest ich wolność.

Nie jest?

Jest! Ale znajdziemy przecież wiele sytuacji, w których nasza wolność jest ograniczana – przypomnijmy sobie, ile było buntu, gdy wprowadzono obowiązek stosowania pasów bezpieczeństwa przez wszystkich w samochodzie. W przypadku pandemii chodzi o coś innego – coś od siebie musimy dać innym. I to coś, co staje się warunkiem funkcjonowania życia społecznego. Nic w tym nadzwyczajnego, że w takich warunkach często trzeba to poświęcenie realizować w znacznie większym zakresie niż wówczas, gdy jest bezpiecznie.

A czy nieszczepieni są dyskryminowani?

Kiedy dobro i potrzeby ludzi można realizować w bezpieczny sposób, a ktoś się nie zgadza na te reguły gry – to nie jest żadna dyskryminacja. Jest to po prostu dostosowanie realizacji pewnych potrzeb – choćby potrzeby uczestniczenia w koncercie czy zjedzenia kolacji w restauracji – w taki sposób, by mogło się to odbywać bezpiecznie dla wszystkich.

To tak, jakby powiedzieć, że ktoś, kto nie potrafi prowadzić samochodu, jest dyskryminowany, ponieważ nie został dopuszczony do ruchu drogowego.

Rozmawiamy o starciu dwóch wartości – dobra wspólnego i wolności jednostki. W obszarze idei już od stuleci akcent pada na tę drugą. Wobec takiego dylematu stajemy głównie w sytuacjach ekstremalnych – wojny, katastrof i zarazy.

To „Tygodnik” pisał niedawno o tym, że jako społeczeństwo nie przeżyliśmy w związku z covidem żałoby. Politycy nie lubią pokazywać, że przegrywają w walce z epidemią. Nie odbyła się więc żadna publiczna debata o tej największej w Europie liczbie osób, które zmarły w Polsce w minionym roku. W sytuacji

takich traum – jedną z nich była np. powódź w 1997 r., gdy zalewało Wrocław – ludzie się mobilizują i nie mają problemu z tym, żeby przyjąć na siebie zobowiązania, nawet prawne, do pomocy innym. Ale do naszej świadomości nie dotarła informacja o tym, co się rzeczywiście wydarzyło.

Państwu wciąż brakuje strategii. Ze swojej młodości pamiętam, jak propagowano akcję krwiodawstwa, czyli dobrowolnego działania nakierowanego na ratowanie życia. Był czas, gdy dostawało się zwolnienie z pracy na jeden albo i dwa dni. Jeden z członków mojej rodziny, który chciał się zaszczepić przeciwko covidowi, miał następnego dnia dużo obowiązków w pracy. Mówił, że nie może sobie pozwolić na szczepienie, bo nie wie, jak się będzie czuł. Naprawdę nie stać nas na to, aby każdy zaszczepiony dostawał dwa dni zwolnienia?

A czy ryzyko niepożądanych odczynów poszczepiennych, a nawet śmierci – np. w wyniku skierowania na szczepienie osoby z przeciwwskazaniami – choćby u jednej osoby nie powinno być, co do zasady, argumentem obalającym postulat obowiązkowych szczepień?

Spójrzmy na to inaczej. Na rynek wprowadzana jest gigantyczna liczba nowych farmaceutyków. Zachęcamy ludzi do ich brania. Podajemy leki dzieciom, często nie pytając ich o wiedzę i zgodę. W wielu



JAKUB WŁODEK / AGENCJA GAZETA

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL jest kierownikiem Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz sędzią Sądu Najwyższego. W 2020 r. Fundacja Court Watch Polska wyróżniła go tytułem Obywatelskiego Sędziego Roku.

zawodach wymagamy działań, podejmowania badań czy prowadzenia diagnostyk, które również, w jakimś procencie, mogą stanowić niebezpieczeństwo dla zdrowia. Pamiętam czasy, kiedy wprowadzono na masową skalę rentgen płuc jako technikę diagnostyczną. To przecież też jest ingerencja w ludzki organizm – nawet większa niż szczepionka.

Wyda się nam czasem, że świat, który tworzymy, jest absolutnie bezpieczny. Ale tak nie jest. Mamy system badań technicznych pojazdów, a i tak zdarzają się wypadki, nawet wtedy, gdy kierowcy jeżdżą bezpiecznie. Istotne, że zagrożenie,

z którym się teraz mierzymy, jest znacznie bardziej prawdopodobne – a niekiedy wręcz pewne – niż ryzyko powikłań po szczepionce. Ba, statystycznie można wykaazać, ile osób umrze, jeśli nie będziemy się szczepić.

Czy pandemia zmieni nasze myślenie o wolności jednostki?

Niechętnie uczestniczę w debatach, w których ten problem ukazywany jest jako zero-jedynkowy. Czyli albo wolność, albo komunitaryzm bądź dyktatura większości nad jednostką. Takie ustawianie debaty jest lenistwem umysłowym. Świat, w którym funkcjonujemy, jest skomplikowany i wymaga daleko idących rozróżnień.

A wracając do pytania: już się zmieniliśmy. I zmienimy się jeszcze bardziej. Po pandemii będziemy w pewnym stopniu – mam taką nadzieję – ograniczali swoją wolność dla dobra innych. Oczywiście na określonych warunkach. Dyskusja powinna się toczyć wokół stopnia takiego poświęcenia. Ostatnie miesiące uświadomiły nam z całą mocą, że coś, co rozgrywało się we Wrocławiu podczas powodzi, może się stać udziałem każdego obywatela tego państwa. Na masową skalę musieliśmy sobie odpowiedzieć na pytanie: czy ja od siebie mam dać coś innym? I czy w takim razie można mnie do tego zmusić? Ale zgoda na szczepionkę nie ma nic wspólnego z pełną rezygnacją z naszej autonomii.

© © Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błaziejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szumer-Bryś

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOZA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Dziedzictwo



SZAMPAN JUŻ SIĘ CHŁODZIŁ – A MOŻE BYŁ to zabrany jeszcze z Egiptu bukłak wina? W każdym razie córkom Celofchada wydawało się, że nie pozostaje nic, tylko świętować. Machla, Noa, Chogla, Milka i Tirca odważyły się stanąć przed Mojżeszem, arcykapłanem Eleazarem (jego ojca Aarona już nie było wśród żywych) oraz dowódcami izraelskich plemion i upomnieć się o ojcowiznę. Ich urodzony w egipskiej niewoli tata umarł na pustyni. Ziemia w Izraelu będzie niedługo przydzielana zgodnie ze spisem potomków ocalałych z Egiptu – ale spisano tylko mężczyzn! Celofchad nie pozostawił męskiego potomka. Czy w związku z tym ma zagać jego imię w Izraelu, czy może jednak dział ziemi przewidziany dla jego potomków mógłby stać się schedą jego córek? Prawo mówi, że dziedziczą tylko synowie, ale co zrobić, gdy synów nie staje? Mojżesz pyta Najwyższego i słyszy w odpowiedzi, że prośba dziewczyn jest zasadna. Nic, tylko odrząbić kobiecie sukces.

„Hola, hola, moście panny!” – rozlega się dziewięć rozdziałów później głos „zatroskanych” krewniaków. Apelacja od wyroku jest uargumentowana tak: jeśli którakolwiek z dziedziczących córek wyjdzie za mąż za członka innego plemienia, „jej” kawałek ziemi stanie się własnością tegoż plemienia i umniejszy to stan posiadania Manassytów, do których zaliczał się Celofchad. Ostatecznie skromna zdobycz kobiet zostaje umniejszona: Machla, Noa, Chogla, Milka i Tirca – a po nich wszystkie niemające brata dziewczyny – muszą wyjść za mąż za członków szczepu swojego ojca.

Echo zażalenia zgłoszonego przez kuzynów naszych heroïn pobrzmiwa w głosie Admona, prominentnego jerozolimskiego sędziego. W ostatnim rozdziale traktatu Talmudu, dotyczącego głównie kontraktów małżeńskich, jest m.in. mowa o sytuacji, gdy zmarły pozostawił dzieci płci obojga. Jeśli ojcowizna jest znaczna, dziedziczą ją synowie i utrzymują z niej córki (oczywiście tylko do czasu „sprzedania” siostr za mąż), zaś gdy zbyt mała, by wyżywić całą czeredę – utrzymuje się z niej córki, a synowie mają sobie radzić sami. Admon tak prezentuje swoje zdanie: „Ponieważ jestem mężczyzną, mam na tym tracić?”. No tak: prawo powinno zawsze dawać fory facetom! Na szczęście większość rabinów nie podziela jego stanowiska.

Odważyła się Machla, Noa, Chogla, Milka i Tirca, z powodzeniem próbujących wyszarpać dla siebie kawałek danego przez Boga mężczyznom tortu, jest budująca. Z drugiej strony: czy aby na pewno ich historia ma stanowić pociechę dla znajdujących się w podobnej sytuacji kobiet? Imię Celofchada nie zaginie w jego klanie, tak jak nie zostanie utracony powiązany z nim dział ziemi w Izraelu. Może to jednak ku pokrzepieniu serc tych, którzy mają tylko córki? ©

O. WACŁAW

Oszajca: Brawa dla kierowcy



PAWEŁ APOSTOŁ PISAŁ DO KOŚCIOŁA EFE-SKIEGO: „Błagam was ja, więzień w Panu, abyście postępowali w sposób godny powołania, jakim zostaliście wezwani. Z całą pokorą, delikatnością i cierpliwością znosić jedni drugich w miłości. Starajcie się zachować jedność Ducha, złączeni więzią pokoju. Jedno jest Ciało i jeden Duch, jak jedna jest nadzieja waszego powołania, do której zostaliście wezwani. Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest, jeden Bóg i Ojciec wszystkich. On jest ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich”.

To ostatnie zdanie zestawmy z podobnym, wziętym z tekstu mszalnego: „Przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie”, a otrzymamy: przez człowieka, z człowiekiem i w człowieku jest Bóg, który jest ponad wszystkim, we wszystkim i przez wszystko. Słowem, nie ma możliwości spotkać Boga, omijając ludzi. Więcej: omijając rzeczywistość taką, jaka się dzieje tu i teraz. Stąd pobożność, która odrywa się od realiów codzienności, będzie słusznie podejrzewana o sprowadzanie człowieka na manowce pobożnego egoizmu. Jeśli pod tym kątem popatrzymy np. na cud rozmnożenia chleba, zobaczymy, że aby stało się coś nadzwyczajnego – jak to się mówi, nadprzyrodzonego – koniecznie trzeba zwykłego, ludzkiego działania. Wystarczy, że „jest tutaj chłopiec, który ma pięć jęczmiennych chlebów i dwie ryby”, choć wydaje się, że „cóż to jest dla tak wielu?”. Okazuje się, że ta znikoma ilość pożywienia wystarczy, żeby zaspokoić głód tysięcy ludzi.

Owszem, stało się tak dzięki Jezusowi, dzięki działaniu właściwemu Synowi Bożemu, ale nietrudno się domyśleć, że przy współpracy ludzi. Dzięki temu, że apostołowie wiedzieli, kogo należy powiadomić o zaistniałej potrzebie, a usadzając ludzi na trawie, podjęli, jak by nie było, nielogiczne polecenie Jezusa – niemożliwe stało się możliwe. W tym wielkim cudzie stał się też pewnie mały cud. Trudno bowiem przypuszczać, że wśród tych tysięcy nie było nikogo, kto miałby ze sobą jakiś prowiant i nie podzielił się z innymi. Tak więc ten powszedni chleb stał się chlebem cudownym. W ten sposób boskie splątało się z ludzkim.

Papież Franciszek powiedział: „Tutaj w Watykanie są bardzo różni ludzie: księża, kardynałowie, siostry zakonne, którzy pracują, bardzo wielu świeckich. A dzisiaj chciałbym podziękować jednej osobie świeckiej, która dzisiaj przechodzi na emeryturę – Renzo Ceci. Zaczął pracować w wieku 14 lat. Przyjeżdżał na rowerze. Dzisiaj jest kierowcą papieża. Brawa dla Renzo i dla jego wierności. Jest on jednym z tych ludzi, którzy rozwijają Kościół swoją pracą, swoją życzliwością i swoją modlitwą. Dziękuję mu bardzo i jednocześnie przy tej okazji dziękuję wszystkim świeckim, którzy pracują z nami w Watykanie”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Miłosierdzie i kult

– Po co żyjesz?
– Żeby żyć!

MISTRZ ECKHART



Życie umożliwia jedynie
ciągła i nieznośna
niepewność, niewiedza,
co zdarzy się dalej.

FAXE Z OTHERHORDU



CHCIAŁBYM NA MOMENT wrócić do wydarzenia z Ewangelii, które liturgia przywołała kilka tygodni temu. Oto Jezus – powoławszy Mateusza na ucznia – idzie z nim do jego domu. Mateusz wystawia ucztę, na którą „przyszło wielu celników i grzeszników i zasiadło z Jezusem i z Jego uczniami”. Budzi to opór i krytykę faryzeuszy oraz pytanie: „Dlaczego wasz Nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?”.

W wersji Mateusza Jezus odpowiada: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Idźcie i starajcie się zrozumieć, co znaczy: Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary. Bo nie przyszłem, aby powołać sprawiedliwych, ale grzeszników” (zob. Mt 9, 9-13).

Wyłącznie Mateuszowy jest cytat z proroka Ozeasza (dosł.): „Chcę miłosierdzia, nie ofiary” (Oz 6, 6). Dlaczego Jezus przywołuje akurat ten tekst?

Otóż chyba dlatego, że trafnie odczytuje myśli swoich adversarzy i jasno rozoznaje główny motyw ich lęku. Wchodząc do domu Mateusza i zajmując miejsce przy stole z celnikami i grzesznikami, zaciąga na siebie ich nieczystość. To zaś oznacza, że nie może – jako nieczysty – wejść do Świątyni i złożyć Bogu ofiary. Nie może uczestniczyć w świątynnym kulcie.

Cóż, kiedy najwyraźniej On sam nie rozpacza z tego powodu. Przeciwnie,

pokazuje – przy pomocy Ozeasza – iż prawdziwy kult dokonuje się w tym momencie w domu Mateusza. Niedawny celnik właśnie doznaje uzdrowienia – doświadcza Bożej łaski, która czyni go nowym człowiekiem.

Prawdziwy kult jest zawsze spotkaniem Boga z człowiekiem. Bóg pozostaje w nieustannej dyspozycji ku takim spotkaniom – nie dlatego przecież, że pragnie naszych ofiar. Nie! On pragnie nas obdarowywać. Szuka ludzi, którzy przyjdą do Niego nie tyle z pełnymi rękami (i samozadowoleniem), ile raczej z pełną pokorą otwartością, by przyjąć Jego miłosierdzie. Taki właśnie okazał się Mateusz. Tacy – być może – okaza się za chwilę jego koledzy. I to jest to, co Bóg wybiera. Oraz to, czemu Jezus właśnie posługuje.

I jeszcze jedna myśl: Pan Jezus mówi o uzdrowieniu; swoją misję porównuje do misji lekarskiej: chce uzdrowić chorego Mateusza. Uzdrawienie dokonuje się – i to jest ważne – przez powołanie. Jezus pomaga tym, „którzy się źle mają”, powołując ich.

Nie tylko rozgrzeszając. Zdrowie, które im oferuje, nie polega jedynie na usunięciu grzechu i na bezgrzeszności. Zdrowy jest dopiero ten, kto podejmuje działanie ku dobru, kto odczytał złeczone mu przez Pana zadanie, zachwyił się faktem, że Bóg mu zaufał (jemu – celnikowi/złodziejowi i grzesznikowi), i czyni dobro. Tak leczy Bóg. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (25 VII – 1 VIII)

17. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 42-44;

Ps 145; Ef 4, 1-6; J 6, 1-15;

Poniedziałek: Wj 32, 15-24. 30-34;

Ps 106; Mt 13, 31-35;

Wtorek: Wj 33, 7-11; 34, 5-9. 28;

Ps 103; Mt 13, 36-43;

Środa: Wj 34, 29-35; Ps 99; Mt 13, 44-46;

Czwartek: 1 J 4, 7-16;

Ps 34; J 11, 19-27 lub Łk 10, 38-42;

Piątek: Kpł 23, 1. 4-11. 15-16. 27. 34b-37;

Ps 81; Mt 13, 54-58;

Sobota: Kpł 25, 1. 8-17; Ps 67; Mt 14, 1-12;

18. niedziela zwykła: Wj 16, 2-4. 12-15;

Ps 78; Ef 4, 17. 20-24; J 6, 24-35.

Wybrał PIOTR SIKORA



MAM DOŚĆ

Gdybym w przestrzeni publicznej określała mężczyzn mianem: „sprawnych fiutków”, „niezłych ciałek”, „kolesi z andropauzą”, nikt by ze mną nie rozmawiał. Dlaczego mężczyznom, wykształconym, piastującym ważne funkcje, wciąż wolno to robić?

TEKST MAŁGORZATA NOCUIŃ | ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ

PROFESOR UNIWERSYTETU PRZEPRA-
sza mnie, że długo nie odpisywał na
maila.

– Może przydałaby się panu profeso-
rowi asystentka? Albo asystent? – pytam.

– Po co mi asystent? Lepsza jedna
szparka sekretarka niż dziesięciu asy-
stentów.

Milknę. Wmawiam sobie, że musiałam
się przesłyszeć. Po spotkaniu upewniam
się, że nie. Słowa o „szparce sekretarce”
padły.

Przemoc słowna jest jednym z przeja-
wów przemocy seksualnej. Często mie-
ści się w definicji molestowania seksu-
alnego. Kobieta, wobec której jej użyto,
czuje się winna, „brudna”. Zastanawia
się, czy nie sprowokowała sprawcy.
Albo udaje (jak ja), że „to musiała być po-
myłka”. Przecież mężczyzna o takim do-
robku i takiej reputacji nie mógł się w ten
sposób wyśłowić. Kobieta zagryza więc
zęby i stara się zapomnieć, co ją spotkało.

Bo słysząc słowa o „szparce sekretarce”,
to my, kobiety się wstydzimy. Czujemy
się zażenowane. Upokorzone. Spusz-
czamy głowy i milkniemy.

Ten tekst jest głosem w imieniu kobiet,
które zetknęły się ze słowną przemocą,
a dotyczy ona prawie każdej dziewczynki
i kobiety. Przemoc powinno się karać. Na-
wet jeśli karą będzie jedynie towarzyski
ostracyzm. My, kobiety, chcemy też prze-
stać się za mężczyzn wstydzić.

On tak tylko powiedział

Rzeczywistość najlepiej ilustrują przy-
kłady. Podam ich jeszcze kilka. Choć

– niestety – mogłabym sypać nimi jak
z rękawa.

Biorę udział w spotkaniu środowiska
ekspertów zajmujących się polityką mię-
dzynarodową. To „poważni” ludzie, z ty-
tułami naukowymi i na wysokich sta-
nowiskach. Ustalamy skład paneli dys-
kusyjnych. Jak zwykle zasiąść w nich
mają sami mężczyźni. Ten musi i tam-
ten musi, bo są mądrzy, doświadczeni,
fajnie mówią – przekonują ich koledzy
po fachu. Męska solidarność. Zwracam
uwagę, że jest także sporo kobiet-eksper-
tek, a ich obserwacje (często terenowe,
nie zza biurka) wzbogacą dyskusję. Jed-
nen z mężczyzn mówi o kobietach per
„baby”. Zgadza się ze mną. „Jakieś baby
muszą wystąpić”, bo w przeciwnym ra-
zie „znów się zaczyna awantury”. Więc
dla świętego spokoju niech choć jedna
(na trzech albo czterech mężczyzn) znaj-
dzie się za stołem prezydialnym. Pada na-
zwisko jednej z pań, znanej z ciętych ri-
post. „Ona ma klimakterium” – oburza
się dyrektor jednej z największych kulta-
ralnych instytucji w Polsce. „Dlatego tak
się zachowuje” – dodaje. Państwowa pla-
cówka, której szefuje, zajmuje się sztuką,
polskim dziedzictwem kulturalnym i dia-
logiem międzynarodowym. Na twarzach
panów uśmiechy. Ten język dobrze do
nich przemawia.

Jedna z telewizji zaprasza mnie do dys-
kusji na temat Białorusi. Trwa pandemia,
program nagrywamy przy pomocy plat-
formy internetowej. Prowadzącym jest
mężczyzna, ekspertów trzech i jedna eks-
pertka, ja.

– Chcę się upewnić, czy jesteśmy już na
wizji? – pyta były dyplomata z wielolet-
nim stażem pracy.

– Nie – informuje prowadzący.

– To ja wam coś opowiem – zapo-
wiada dyplomata. – Łukaszenka miał
kiedyś romans z taką aktorką [pada na-
zwisko kobiety – MN]. Jak się mu znu-
dziła, „przekazał ją” synowi. Zagadną-
łem go o nią. Powiedziałem: „Wiem,
że pan prezydent jest jedyną osobą na
Białorusi, która ma prawo wypowiadać
komplementy pod adresem tej damy”.
Ze zrozumieniem wałnął mnie swoją
wielką łapą w plecy. „*Mołodiec*” – powie-
dział.

Po chwili dyplomata zwraca się do
mnie: – Małgosiu, przepraszam za ten
seksistowski żarcik.

W autorytarnym państwie (a jest nim
Białoruś) kobieta angażuje się w romans
z dyktatorem nie zawsze z własnej woli.
I nie jest to relacja przyjemna. Często
wręcz przemocowa. Kobieta jest seksual-
nym towarem. Czymś w rodzaju ubrań
z second handu. Dlatego „zużyta” ko-
chanek Łukaszenka „przekazuje” synowi.
Albo zamyka w areszcie domowym. Tak
jak dwie dekady temu uwięził i ubezwła-
snowolnił swoją żonę. Dyplomata powi-
nien o tym wiedzieć.

Kolejny dyplomata, wykładowca, wie-
loletni dyrektor placówek kulturalnych
w Europie Wschodniej, pisze publiczny
post na Facebooku. Utyskuje, że leży wła-
śnie w szpitalu i zdany jest na opiekę „nie-
ładnych polskich pielęgniarzek”. Chce,
żeby zajmowały się nim „pielęgniarki” →

→ ze Wschodu”. Są młodsze i o wiele atrakcyjniejsze.

Profesor jednej z krakowskich uczelni zaprasza na doroczną imprezę swoich pracowników (mężczyzn). Mówi: „No i weźcie panowie ze sobą żony, żeby było na czym siedzieć”.

Pewien polityk umawia się na wywiad z dziennikarką. Na spotkanie doprasza asystenta. „Wie pani, lubię trójkąty” – rzuca do dziennikarki.

Moja koleżanka marząca o specjalizacji z kardiologii słyszy od profesora medycyny: „Kobieta chirurg jest jak świnka morska. Ani świnka, ani morska”. Rezygnuje z marzeń. Wybiera kardiologię.

Autorami wszystkich przytoczonych wypowiedzi są mężczyźni wykształceni, sprawujący funkcje publiczne albo piastujący wysokie stanowiska. Nasza intelektualna elita. To należy podkreślić. Bo wiem oburzając się na podobne wypowiedzi, zawsze słyszałam (od mężczyzn, ale też od kobiet) takie tłumaczenie: „Wiesz, on nie rozumie, że to obraźliwe”; „On tak tylko powiedział...”; „On tak tylko zażartował, przecież wiesz, że szanuje kobiety”. Albo próbowano mnie obarczyć winą za powstały dysonans: „No co ty, nie masz poczucia humoru?”.

One są takie kochane

Mężczyznom, posługującym się seksistowskim językiem, starałam się tłumaczyć, że język definiuje nasze poglądy. Mówi o wizji świata, której holdujemy. Słowa mają ogromną moc. Uskrzydłają albo ranią. Wiele z nich w nas zapada. Długo je analizujemy i przeżywamy. U osób o słabszej konstrukcji psychicznej przemoc słowna może wywołać długi kryzys. Te tłumaczenia często na niewiele się zdawały, bowiem wciąż w życiu publicznym mamy do czynienia z nadreprezentacją mężczyzn. To sprawia, że seksistowski język jest powszechny. Jak na znanym rysunku Marty Frej. Studio telewizyjne, dyskusja na temat aborcji. Wśród ekspertów sami mężczyźni. Podpis: „To kto dziś zabierze głos w imieniu kobiet?”. Prof. Wiktor Osiatyński odmawiał udziału w takich spotkaniach. Dziś mało który mężczyzna ma z tym problem.

Kobieta traktowana jest często jak „ozdoba” paneli dyskusyjnych. Panowie witają się i dzielą refleksjami na temat ostatnio przeczytanych książek oraz tekstów. Padają znane nazwiska, ważne po-

jęcia. Pytają się nawzajem: „A o czym dziś zamierzasz mówić?”; „A czy ten problem poruszysz?”; „A jakie mogę ci zadać pytanie?”. W końcu zwracają się do ekspertki: „O, jak pani ładnie wygląda. Piękna bluzeczka”. Wielu z nich (nie tylko starszej daty) całuje kobietę w rękę.

Kilkanaście dni temu, podczas imprezy kończącej coroczny poznański festiwal teatralny Malta, zagrał zespół jazzowy. Jego lider przedstawił muzyków z imienia i nazwiska, skrzypaczki – jedynie z imienia. Padło: „pani Ania, pani Kasia”. Publiczność się oburzyła. Muzyk, zamiast przeprosić, zaczął się tłumaczyć. Powiedział: „Przecież one są takie kochane”. Kiedy publiczność zaczęła bucząć, zwrócił się z pytaniem: „O co wam w ogóle chodzi?”. Incydent ten opisali na swoich profilach na Facebooku aktorzy Teatru Polskiego w Poznaniu. Retorycznie pytali: „Czy ktoś w ogóle o tym napisał?”.

Chciałabym temu panu udzielić odpowiedzi na pytanie: „O co nam w ogóle chodzi?”. Temat języka używanego wobec kobiet jest mi niezwykle bliski. Język ten frustruje mnie i moje koleżanki, sprawia, że czujemy sztywność ram patriarchalnej kultury. To nie zawsze jest język seksistowski, ale często słyszymy słowa dezawuuujące nasze osiągnięcia. Każda z nas, kilka razy w życiu, została potraktowana nie jak „ekspertka”, tylko jak „baba”, która się w dodatku „awanturuje”, albo jak „pani Kasia”. Nie liczyła się nasza wiedza, tytuł naukowy, odbyte podróże, napisane teksty i książki. Miałyśmy po prostu gdzieś wystąpić „w ładnej bluzeczce”. Wymagano, byśmy kulturalnie usiadły, stosownie się wysławiały i zachowywały.

Oczywiście, jest wielu mężczyzn, którzy traktują kobiety w sposób równościowy. Dobrze się z nimi dyskutuje i współpracuje, ale – niestety – normą jest podejście wyższościowe. Normą jest też przemoc słowna, która prowadzi do „unieważnienia uczuć kobiety”. To znaczy nasze emocje są uważane za nieodpowiednie, złe, „nie na miejscu”, wręcz „nienormalne”. Mężczyźni chcą, abyśmy myślały i czuły w narzucony przez nich sposób.

Ważne są także gesty. Mowa ciała. Londyńskie metro pewien czas temu wprowadziło zakaz siedzenia z szeroko postawionymi nogami. W wagonach pojawiły się stosowne naklejki (przekreślony symbol mężczyzny przybierającego taką pozę).

W grupach na Facebooku, zrzeszających ekspertki zajmujące się polityką międzynarodową, zawrzało. „W punkt. Taka naklejka powinna znaleźć się w każdej sali konferencyjnej” – pisały kobiety. Bo mężczyźni (w przewodzie) tak właśnie siedzą. Dominują nie tylko słowem, ale i ciałem.

Jedna z ekspertek zajmujących się problematyką wschodnią w następujący sposób wspomina każde ze swoich publicznych wystąpień: – Przygotowuję się jak do bitwy. Żadnych sukienek, butów na obcasie. Ubieram się po męsku i po męsku się zachowuję. Przybieram pozę podobną do męskiej. Nigdy nie siadam z nogą założoną na nogę. Żadnych small talków. Uśmiechów. Nie daję się sprowokować. Osadzić w roli „panienki”. Jeśli całują w rękę, co także jest próbą dominacji i podporządkowania, odwzajemniam. Dla mnie liczy się tylko merytoryczna dyskusja. W środowisku mam już opinię „niezrównoważonej”.

Inna kobieta, która wielokrotnie doświadczyła seksistowskich uwag, zaczęła odmawiać publicznych występów. Wykonuje swoją pracę po cichu. Konfrontacja z mężczyznami jest dla niej źródłem ogromnego stresu (ból brzucha, mdłości, drżenia rąk). Woli jej uniknąć.

Końskie zaloty

Dr hab. Iwona Chmura-Rutkowska, pedagogka i socjolożka, wykładowczyni Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, uważa, że kluczową kwestią jest nazwanie wprost problemu: – Opisane wyżej kobiety doświadczyły przemocy, która w specjalistycznym języku nazywa się „przemocą ze względu na płeć”. Poprzez stworzenie atmosfery poniżenia naruszono ich godność. Pogardliwe określenia, seksistowskie żarty, wulgarne komentarze są rodzajem naruszenia psychologicznej granicy, ale też sygnalizują dużo szerszy problem związany z nierównością i przemocą ze względu na płeć. Źródłem seksistowskiego języka pogardy, czyli szczególnego rodzaju przemocy werbalnej, jest przekonanie mężczyzn o ich przewadze nad kobietami. Każda przemoc karmi się nierównością. Ta również.

Z obserwacji i badań dr hab. Chmury-Rutkowskiej wynika, że naruszanie granic psychologicznych jest wciąż powszechne. Socjolożka jest zdania, że język pogardy stanowi prelude do innych form przemocy.

Zdaniem dr. Mariusza Makowskiego, psychoterapeuty, wykładowcy Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, kiedy osoba szanowana i na tzw. stanowisku posługuje się językiem seksistowskim, zachodzi u odbiorcy sytuacja dysonansu poznawczego: – Gdyby ktoś stał z boku, cicho przysłuchując się przytaczanym tu wypowiedziom mężczyzn, i zdecydował się zapytać: „A dlaczego użył pan seksistowskiego języka?”, mężczyzna odparłby zapewne: „Ależ to był taki żart!”. Jeśli był to „żart”, to czy jego adresatka jest pozbawiona humoru? Dlaczego zamiast się śmiać, czuje się dotknięta, a często wręcz winna? Miała miejsce przemoc, ale akcent zostaje przeniesiony na kobietę. Jakby to z nią coś było nie tak i dlatego te żarty nie śmieszą.

Zdaniem Makowskiego w opisanych przypadkach kobieta zostaje postawiona w sytuacji tragicznego wyboru: – Musi albo unieważnić siebie, czyli zlekceważyć swoje uczucia: wstyd, zażenowanie, upokorzenie, albo unieważnić mężczyznę, który te słowa wypowiedział, czyli zanegować to, co on sobą reprezentuje: jego wiedzę, tytuł naukowy, dorobek. Czy mężczyźni, którzy posługują się podobnym językiem, są świadomi konsekwencji swojego zachowania? Badania dowodzą, że u pewnej grupy mężczyzn władza łączy się z poczuciem seksualnej atrakcyjności. Mężczyzna wykorzystuje więc sytuację, w której może władzy użyć – mówi psychoterapeuta.

Z tą diagnozą zgadza się dr hab. Chmura-Rutkowska: – Źródłem satysfakcji dla osób przemocowych jest poczucie wyższości, wynikające z przekonania, że ze względu na posiadane cechy należą do kategorii lepszych w opozycji do innych i gorszych. Motywacją wielu seksistowsko zachowujących się mężczyzn nie zawsze jest chęć zadania bólu czy poniżenia, ale podtrzymanie dominującej pozycji i bycie „męskim”.

Poznańska socjolożka uważa, że seksistowski język jest powszechny. Pogardliwe określenia dotyczące kobiet wybrzmiewają podczas rozmów w domu i w pracy. Są obecne w plotkach, przekleństwach, w mediach tradycyjnych i społecznościowych, słowach piosenek, grach komputerowych, na blogach.

Ekspertka zwraca uwagę, że w Polsce co trzecia dziewczynka przed 15. rokiem życia doświadczyła jakiejś formy seksualnego wykorzystania lub nadużycia. Aż

Londyńskie metro
wprowadziło zakaz
siedzenia z szeroko
rozstawionymi nogami.
Bo mężczyźni (w przewodzie)
tak właśnie siedzą.
**Dominują nie tylko słowem,
ale i ciałem.**

90 proc. kobiet przyznaje, że było molestowanych seksualnie. Z jej badań wynika, że 60 proc. dziewcząt, każdego dnia, słyszy seksistowski język ze strony swoich kolegów i koleżanek.

– Wiele form werbalnej przemocy chłopców i mężczyzn wobec dziewcząt i kobiet traktowanych jest jako normalne i dopuszczalne zachowanie. To przecież tylko „końskie zaloty” czy „ostry podryw”. Na wiele form poniżania kobiet – takich jak wulgarne dowcipy, komentarze na temat ich wyglądu, deprecjonujące opinie na temat „babskich” cech, poniżające wizerunki w mediach – istnieje społeczne przyzwolenie. Zazwyczaj nie budzą one żadnego sprzeciwu. Dziewczeta uczą się, że najważniejszym atutem kobiet jest ciało i uroda, a seksistowskie komentarze należy traktować jako formę okazywania uznania. Trening uległości do bycia miłą i grzeczną powoduje, że kobiety stają się bezbronne w sytuacji naruszenia ich granic psychologicznych i same stosują język pogardy wobec siebie oraz innych kobiet – mówi dr hab. Chmura-Rutkowska.

Złość piękności szkodzi

Pytam dr. Makowskiego, jak on (jako mężczyzna) poczułby się, gdyby w relacji służbowej kobieta wystosowała pod jego adresem seksistowski komentarz. Na przykład: „Jesteś dobrym pracownikiem, ale wy, faceci, myślicie tylko o jednym”. – Poczułbym złość, gniew – odpowiada. – Może nawet na usta cisnąłby się jakiś wulgaryzm.

Wiele kobiet, z którymi rozmawiałam na temat przemocy werbalnej, wymienia inne uczucie. To poczucie winy. A jeśli już czują gniew, tłumią go.

– W procesie wychowywania czyni dziewczynki i one same mają być ładne.

Natomiast chłopcy mają być skuteczni, to, co robią, ma być „dobre”, „wartościowe”. Uczucie złości dziewczynki często jest unieważniane przez najbliższe otoczenie: rodzinę, przedszkole, szkołę – wyjaśnia Makowski. – Kiedy czują irytację, mówi się im: „histeryzujesz” albo „nie ma się o co złościć”, czyli „to, co czujesz, jest nieprawdziwe”. Wypowiadany wielokrotnie komunikat wytwarza w mózgu neuronalny szlak reagowania. Kolejny raz, kiedy dziewczynka czuje gniew, dezawuuje ten przekaz. Jest przecież nauczona, że za ów gniew sama siebie powinna ukarać.

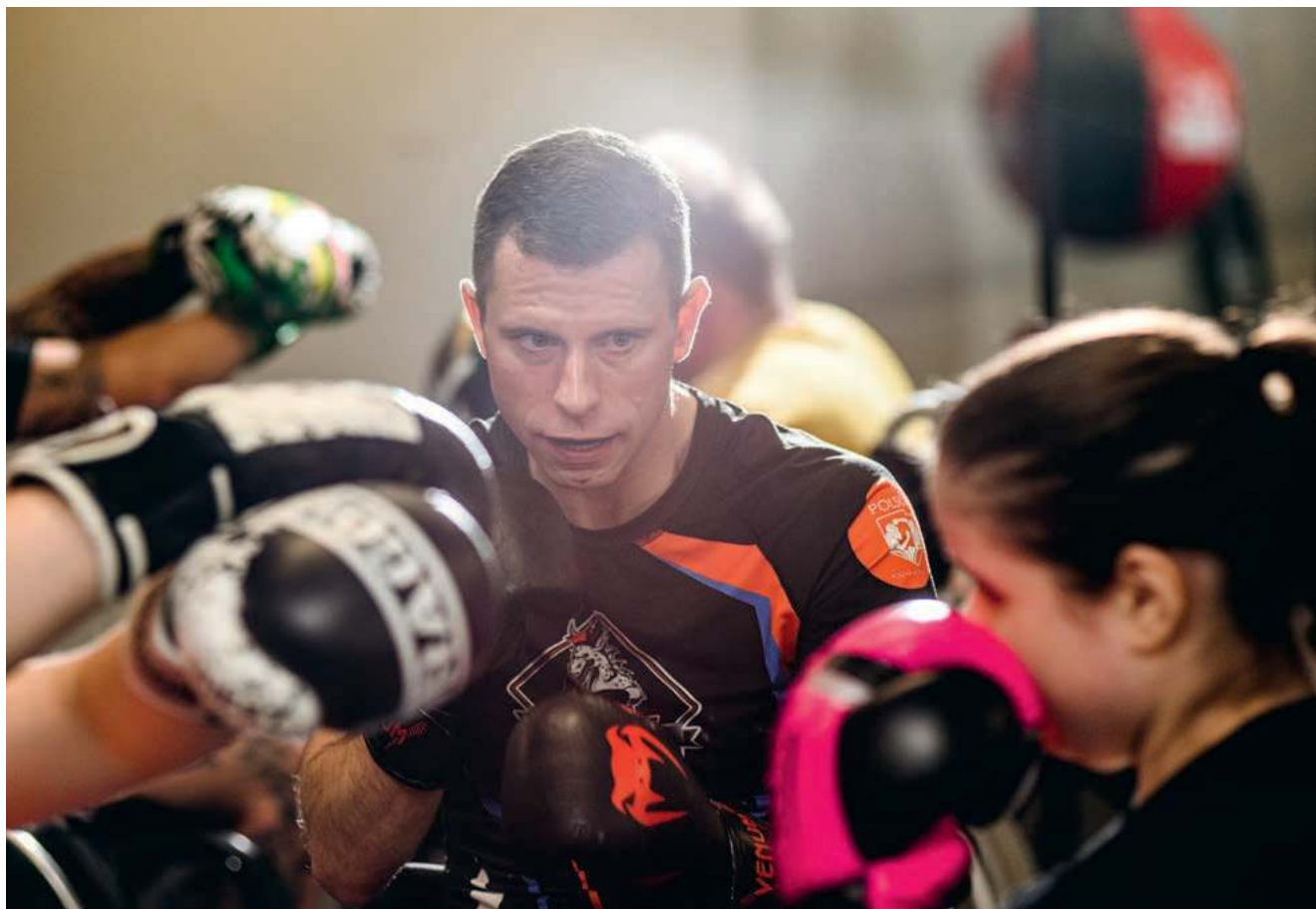
– „Złość piękności szkodzi”? Kobiety nie mogą się złościć? – pytam dr. Makowskiego.

– Tak – odpowiada. – Dziewczynki kształtuje przekaz narcystyczny: twoją wartością jest uroda, upiększanie świata innym, w tym mężczyznom. Kiedy się złości, nie jesteś taka piękna. Co więcej, złościąc się, określasz swoje granice, masz dostęp do swojej siły, a to niektórym mężczyznom się nie podoba, tak jakby chcieli mieć na siłę monopol. I znów pojawia się dylemat: czy zyskać akceptację otoczenia, czy wyrazić swoje emocje.

Wśród osób umawiających gości do audycji radiowych i telewizyjnych krąży pewna anegdota. Kiedy z propozycją wzięcia udziału w programie zwracają się do mężczyzny, słyszą w odpowiedzi: „Gdzie i o której godzinie?”, natomiast kobiety pytają: „A na jaki temat?”. Mężczyźni cechują pewnością siebie, często podsycana używanym przez nich nieodpowiednim językiem. Kobiety (jak opisana w tym tekście ekspertka) kiedy wiedzą, że w spotkaniu publicznym weźmie udział zbyt wielu mężczyzn, często rezygnują z zaproszenia. Czynienie z kobiet „pań Kaś”, czyli umniejszanie ich zawodowych osiągnięć i protekcyjny język, sprawia, że połowa populacji jest dyskryminowana w życiu publicznym. I być może to życie publiczne, w którym słychać wciąż te same argumenty i polemiki, na tym cierpi.

© MAŁGORZATA NOCUIŃ

Autorka jest dziennikarką „Tygodnika Powszechnego”. Specjalizuje się w tematyce krajów poradzieckich i problematyce społecznej. Autorka książki „Wczesne życie” oraz współautorka książek: „Białoruś. „Kartofle i dzinsy”; „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”; „Armenia. Karawany śmierci”.



JACEK TARAN

Łukasz Kosiara podczas treningu w sekcji Dragon Paraboxing. Kraków, 14 lipca 2021 r.

Dwunasta runda

MARIUSZ SEPIOŁO

Kiedyś czułeś wolny, skacząc ze spadochronem. Teraz wolność znajduje na ringu bokserskim. Siedząc na wózku.

W TRADYCYJNYM BOKSIE CIOS WYProwadza się z nóg. Powalająca przeciwnika siła pięści bierze się z pracy stóp, bioder, brzucha i ramion. W boksie na wózkach bije się z barków i brzucha. Siła ciosu zależy też od sprawności rąk. Niedowład jednej powoduje, że podwójną energię trzeba wkładać w drugą. W tradycyjnym boksie zawodnicy przemierzają się po ringu dynamicznie, a po mocnych ciosach padają na deski. W boksie na wózkach nokaut nie może skończyć się upadkiem: walka odbywa się w miejscu, wózki asekurowane są przez asystentów. Cała reszta wygląda tak samo: proste, sierpowe i haki, uni-

ki i gardy, krew i pot. Choć jest podobno jeszcze jedna ważna różnica. W boksie, zwłaszcza zawodowym, rywalizacja sportowa ustępuje czasem pragnieniu sławy. Kiedy stawką w walce stają się duże pieniądze, sportowe ideały przestają być ważne. W boksie na wózkach nie ma kontraktów, promotorów i czeków na miliony złotych. – Tutaj chodzi przede wszystkim o przełamanie własnych ograniczeń – mówi Łukasz Kosiara, jeden z pierwszych w Polsce pięściarzy na wózkach, trener, były żołnierz zawodowy i honorowy dawca krwi. – Ja przełamuję je na każdym treningu, trzy razy w tygodniu.

RUNDA 1 Służba

Zawsze chciał być żołnierzem. Wszystko temu podporządkowuje: buduje sprawne ciało, hartuje charakter. W służbie zasadniczej zawsze pierwszy do ćwiczeń, zawsze chętny do pracy. Wojskowy prymus. Potem ma kilka lat przerwy. Ciężka praca, żeby trochę zarobić. – Ale jeśli człowiek ma misję – mówi – to ona się o niego w końcu upomni.

O niego upomina się w 2012 r. To wtedy Łukasz postanawia, że armia zawodowa to dla niego jedyna droga życia.

Trafia do 6. batalionu logistycznego w Krakowie, podległego 6. brygadzie powietrzno-desantowej. Zostaje skoczkiem spadochronowym i w latach 2012-17 oddaje łącznie 22 skoki. – Kochałem skakać. Skoki dawały mi poczucie wolności – mówi Łukasz. W ten sposób spełnia swoje pierwsze marzenie. Nie uda mu się spełnić drugiego. – Chciałem jechać na misję. Bo uważam, że każdy żołnierz, który ma potrzebę prawdziwej służby, powinien sprawdzić się na takiej misji. Z różnych powodów się to nie udało – mówi. Oprócz wojska jest zwykłe ży-

cie. Poukładane, szczęśliwe. Mieszkanie służbowe, sport w wolnych chwilach (już wtedy amatorsko boksuje), narzeczona. Plany: ślub, dziecko, dom. Czasem krótki urlop, wypad na wycieczkę, poznać trochę Polski, zwiedzić trochę świata.

I wtedy przychodzi lipiec 2017, jeden z takich krótkich wypoczynków. – To było zaraz po kursie na prawo jazdy kategorii C, potrzebnym do wojska – mówi. – Skończyłem ten kurs i postanowiłem trochę odpocząć. Wziąłem narzeczoną i kilkoro przyjaciół. No i pojechaliśmy.

RUNDA 2 Wybuch

Plaża, z nieba żar, w wodzie chłód. – Wbiegłem do wody i skoczyłem – opowiada. – Dobiliśmy głową do mulistego dna. Głowa podeszła mi niemal pod klatkę piersiową.

Wybuchowe złamanie kręgosłupa szyjnego na wysokości kręgu C5 – taką późniejszą usłyszy diagnozę. „Złamania kompresyjne kręgosłupa uznaje się za najlepiej rokujące, ponieważ nie dochodzi do przemieszczenia się kręgów i z reguły brak jest ucisku na rdzeń kręgowy. Jeśli jednak siła jest duża, to trzony kręgów mogą ulec rozkawałkowaniu lub zmiążdżeniu i mogą uszkadzać rdzeń kręgowy” – wyjaśnia portal Poradnikzdrowie.pl.

Łukasz wyjaśnia to tak: – Proszę sobie wyobrazić dwie kości bardzo blisko siebie. W wyniku uderzenia uciskają na siebie tak, że jedna z nich po prostu wybuchła. Pozostawiając odłamki w rdzeniu kręgowym.

Pierwsze sekundy okazały się kluczowe. Bo najpierw Łukasz traci czucie rąk i nóg, a ciągle pozostaje pod wodą. – Miałem moment paniki, strachu przed utonięciem. Ale znajomi i narzeczona szybko zareagowali. Zobaczyli, że nie wypływam, wyciągnęli mnie na brzeg. Miałem szczęście, że zachowali się fachowo i mnie nie „dołamali”. To znaczy przy wyciąganiu nie zrobili mi jeszcze większej krzywdy. Zachowali się podrechnikowo.

Karetka, szpital, szybka diagnoza i dobra wiadomość, że możliwa jest operacja. Teraz liczą się godziny, może nawet minuty. Liczenie, jak w boksie po upadku na deski. – Najgorsze chwile w moim życiu – mówi o nich Łukasz.

RUNDA 3 Liczenie

– W przypadku takich urazów mówi się o „złoty dwunastu godzinach” – tłumaczy.

– Jeśli w krótkim czasie uda się odciążyć rdzeń kręgowy, istnieje szansa, że pewne funkcje zostaną przywrócone. Mówiąc w skrócie: zdrowe obwody nerwowe „przejmują” funkcje tych uszkodzonych. Dzięki temu jest szansa na odzyskanie większej sprawności. Minuty po diagnozie Łukasz pamięta ze szczegółami. – Lekarze zaczęli szukać odpowiedniego szpitala – opowiada. – Kilka odmówiło. Albo nie miały potrzebnej wstawki tytanowej, albo odpowiedniego zaplecza. Dopiero szpital św. Łukasza w Tarnowie postanowił podjąć się wykonania operacji. Okazuje się nawet, że specjalnie z urlopu do szpitala przyjedzie chirurg – specjalista w takich przypadkach. To wlewa w serca Łukasza i bliskich trochę nadziei. Jest szpital, jest lekarz, jest śmigłowiec LPR, żeby przewieźć Łukasza na miejsce. Helikopter ma lądować za półtorej godziny. Czas mija, śmigłowiec nie przylatuje. W końcu się pojawia – po trzech, czterech godzinach. Radość, ulga, teraz musi być dobrze. Wtedy pilot oznajmia: „Nigdzie nie lecimy”.

RUNDA 4 Tunel

– Szpital, w którym byłem, znajduje się koło bagien. Wyszła mgła i śmigłowiec nie mógł się wzbicić – opowiada. – Przyznam: rozplakałem się. Powiedziałem pilotowi, żeby nie zabierał mi nadziei. „Dobra – uśmiechnął się. – Spróbujemy”. Odpala helikopter, kręci śmigłami tak, że w końcu udaje mu się zrobić tunel powietrzny. Korytarz we mgle. – Polecieliśmy.

RUNDA 5 Poligon

Po operacji przez 21 dni leży na oddziale neurochirurgii. Najgorszych jest podobno pierwszych pięć. Nigdy ich nie zapomni – zapewnia. – Ktoś, kto tego nie przeżył, nie jest sobie w stanie wyobrazić, co to ból wywoływany przez uszkodzony rdzeń kręgowy. Leżysz w łóżku obok okna. Dmucha na ciebie lekki wiaterek. A ty czujesz, jakby cięli cię żyłkami. Po korytarzu idzie pielęgniarka, a tobie się wydaje, że ziemia się trzęsie. Ktoś przypadkiem szturchnie twoje łóżko – ty masz wrażenie, że wylatujesz w powietrze. A do tego nie można spać. Chciałem odpocząć, zamykałem oczy, a one automatycznie się otwierały. I tak przez pięć dni i pięć nocy – opowiada. Morfina i tra-

mal nie zawsze działają. Za to skutecznie odbierają racjonalne myślenie.

– Rozmawialiśmy z pielęgniarką. Podobno dwie godziny. Ja na koniec tej rozmowy podobno powiedziałem: „Ubieramy się i idziemy na kawę”. Wtedy ona zapytała, czy wiem, gdzie jestem. „Jasne, jestem w Krakowie na poligonie”. Wyjaśniła, że jestem w szpitalu po złamaniu kręgosłupa. Wtedy chyba najmocniej to do mnie dotarło. Załamałem się. Ale w końcu zasnąłem.

RUNDA 6 Dom

Nie pojechał na misję. Nie wziął udziału w walce partyzanckiej. Ale na intensywnej terapii też wiele zobaczył. – Leżąc na OIOM-ie, widziałem, jak ludzie przechodzą na tę drugą stronę. Zobaczyłem, jak bardzo życie jest kruche. Jak dosłownie przelatuje nam przez palce. To był dla mnie moment, żeby się zastanowić. Nauczyć się cieszyć życiem, bo po prostu nie każdy je ma. Czym można się cieszyć na intensywnej terapii po złamaniu kręgosłupa?

– Najdrobniejszymi rzeczami. Moja narzeczona jechała po ośmiu godzinach pracy z Krakowa do Tarnowa tylko po to, by czasem posiedzieć ze mną 15 minut i porozmawiać. Te rozmowy trzymały mnie przy życiu – mówi Łukasz. – Nie, nie rozmawialiśmy o tym, co będzie, jak to sobie wszystko ułożymy. Tylko najważniejsze: „Co u ciebie?”, „Co w domu?”, „Jak się dziś czujesz?”.

Potem neurologia, rehabilitacja. W ośrodkach w Mysłowicach i w Kamieniu Pomorskim. – Dzięki tym miejscom i ludziom, którzy tam pracują, udało mi się zrobić duży postęp – mówi. Odzyskał czucie i ruch w niektórych częściach rąk i nóg. Trudne są powroty: do domu, do życia. Wtedy wszystkiego trzeba uczyć się od nowa. Poruszania się po mieszkaniu, załatwiania potrzeb fizjologicznych, dbania o siebie i dom.

Powrót do domu to także moment, w którym trzeba sobie ułożyć sprawy zawodowe. – Jednostka zaproponowała mi, żebym został pracownikiem cywilnym. Przez jakiś czas nawet pracowałem – mówi. – Ale szybko okazało się, że nie będę mógł być dalej żołnierzem. Niestety, mam dysfunkcję pewnych mięśni, cierpię na niekontrolowane napięcie mięśniowe i bóle neuropatyczne. A to utrudnia funkcjonowanie. Czy z taką

→ stratą można się pogodzić? – Jeśli powiedziałbym, że tak, tobym skłamał. Było mi ciężko – przyznaje Łukasz. – Ale zrozumiałem: życie jest takie, że nie zawsze dostajemy to, co chcemy. Zrozumiałem też, że muszę znaleźć coś, co znowu da mi siłę, ten motor napędowy.

RUNDA 7

Ból

Łukasz: – Czasami przychodzi dzień, że wszystko jest OK. A czasami trudno zwlec się z łóżka. Ból neuropatyczny i spastyczność mięśniowa są takie, że czasem trzeba prosić o pomoc w prostych czynnościach. To nie jest łatwe i tego też trzeba się nauczyć. Był również ból psychiczny, żal, rozgoryczenie. Ale w takiej sytuacji człowiek ma tylko dwa wyjścia i na jedno musi się zdecydować. Albo tęsknisz za dawnym życiem i popadasz w depresję, albo odcinasz przeszłość grubą kreską i akceptujesz rzeczywistość. Wybrałem to drugie.

RUNDA 8

Nierówność

– Miałem to szczęście, że niedługo po wypadku zostałem zaproszony do pracy w pewnej fundacji, w której pomagałem osobom niepełnosprawnym – opowiada.

Ma pod opieką osobę na wózku, której podpowiada, jak zadbać o siebie, jak poruszać się po domu i po ulicach. W Krakowie sporo się zmieniło, infrastruktura dla osób niepełnosprawnych jest coraz lepsza, ale w wielu miejscach nadal jej brakuje.

– Poruszam się na wózku od kilku lat i trenuję boks, a nadal, jeśli tylko na drodze pojawia się lekka nierówność, od razu czuję, że mnie ściąga. To aspekt fizyczny. Drugie to praca nad głową. Kluczowe jest to, by wszystko sobie ułożyć. Pogodzić się z nową sytuacją. Bez tego nie da się zrobić żadnego postępu. Jak mnie się to udało? W moim przypadku jest trochę inaczej. Jestem żołnierzem. A to kształtuje charakter.

RUNDA 9

Mecz

Mógłby odpuścić, dać sobie spokój. Ale jego nadal ciągnie do wyczynu. Po rehabilitacji i oswojeniu się z wózkiem może sobie wybrać dowolną dyscyplinę: szermierkę, lekką atletykę, koszykówkę, nawet curling. W Polsce sport niepełnosprawnych stoi na całkiem wysokim

poziomie. Ale stawia sobie kolejną przeszkodę do przeskoczenia: wybiera paraboks. W 2019 r. poznaje Karola Wójcika, fizjoterapeutę i zapalonego kickboksera, który trenuje w Krakowie grupę młodych zawodników. Łukasz opowiada mu swoją historię. Karol od razu proponuje: przyjdź na trening, spróbuj.

– Wtedy myślałem: boks to tylko na nogach. Ale Karol szybko mi wszystko wytłumaczył. Wjechałem na ring, zacząłem boksować. Okazało się, że bardzo szybko powrócił mi ten automatyzm ruchów, który miałem przed wypadkiem.

Przekonuje się, że istnieje coś takiego, jak pamięć mięśniowa. Nawet jeśli część mięśni przestaje być sprawna. Znowu wyzwanie: pierwsza walka. I od razu na dużych zawodach.

– W ramach mistrzostw Czech dostaliśmy możliwość rozegrania towarzyskiego meczu Czechy – Polska, odbywającego się w Pradze. Pojechalśmy: Karol Wójcik, wolontariusz Sebastian i Paweł Kaleta, również poruszający się na wózku – opowiada Łukasz. – To było niesamowite. Na własne oczy zobaczyłem, jaką moc mogą mieć ciosy pięściami na wózku. Paweł w swojej walce całkowicie zdominował przeciwnika. Wydawało mi się, że jeszcze chwila i zmiecie go z ringu.

Łukasz swoją walkę przegrywa. Jego przeciwnik od 20 lat jeździ na handbike'u – rowerze napędzanym rękami – więc siłą fizyczną znacznie go przewyższa.

– Tak, to była oficjalna przegrana. Ale dla mnie to nie była porażka. To było moje zwycięstwo – mówi. – Po pierwsze: jestem po wyższym urazie kręgosłupa, więc moje ręce nie pracują tak, jak pracowały u przeciwnika. Po drugie: wygrałem z samym sobą. Trenowałem po 3–4 godziny dziennie. Wyszedłem do ringu. Walczyłem na pełnym gazie. Jest takie wytarte powiedzenie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Ale ja po tych Czechach naprawdę wróciłem silniejszy.

Także dzięki temu wystąpił na Grand Prix Małopolski i gali charytatywnej braci Collins, gdzie stoczył walki pokazowe promujące boks na wózkach.

– Jakiś czas temu dostaliśmy zaproszenie na galę Silesian MMA w Mysłowicach. Tam spotkaliśmy strongmana, Krzysztofa Radzikowskiego. I zrobiliśmy mu mały „test”. Poprosiliśmy, by asekurował wózek Pawła. Po kilku ciosach zadanych przez Pawła Krzysztof przyznał, że

takiej siły od osoby siedzącej na wózku się nie spodziewał.

RUNDA 10

Klub

W styczniu 2020 r. razem z Karolem Wójcikiem i Pawłem Kaletą zakładają stowarzyszenie Dragon Kraków Paraboxing. Na treningi, które prowadzą w hali przy ul. Focha zgłasza się coraz więcej chętnych. Starszych i młodszych obu płci. Z różnymi życiowymi historiami. Najmłodszy zawodnik w Dragonie ma 10 lat i podobno bardzo dobrze rokuje.

– Boks na wózkach to forma rehabilitacji. Nie tylko fizycznej. To też szansa na wyciągnięcie ludzi z domu, odnalezienie się na nowo w życiu społecznym – przekonuje Łukasz. Boks to dla niego sport w czystym wydaniu: rywalizacja, doskonalenie ciała. Widzi, jak bardzo sporty walki stają się ostatnio popularne. Docenia, że coraz więcej dzieciaków się do nich garnie. Widzi też drugą stronę medalu: celebrytów w „klatkach”, coraz bardziej wymyślne formy show, w którym liczy się bijatyka, nie sportowe ideały.

– Nasze sukcesy? To, że nasi podopieczni dzięki treningom stają się bardziej otwarci. Odważniejsi. To jest nasza satysfakcja – mówi Łukasz.

RUNDA 11

Auto

Naręczona, która razem z przyjaciółmi uratowała mu życie, została jego żoną. Kumple, rezerwiści z 6. BPD z grupy „Pomoc dla spadochroniarza” kibicują mu i w sporcie, i w życiu. Bo życie toczy się dalej.

Łukasz ma niedowład nóg, ale może ruszać prawą stopą. Ma też samochód z automatyczną skrzynią biegów. Więc od czasu do czasu zapala koguta z napisem „taxi” i rusza.

– Na początku trochę się obawiałem – mówi Łukasz. – Bo bardzo łatwo zrobić komuś krzywdę. Wykupiłem dwie godziny z instruktorem jazdy. Powiedział: „Niech pan jeździ”. To była kolejna przełamana bariera.

Auto dało mu znowu poczucie wolności, swobody. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo to jest w życiu ważne i jak bardzo tego nie doceniamy – mówi Łukasz. – Żeby od tak: odpalić silnik i jechać.



MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

Osiedle szeregowców w warszawskiej dzielnicy Wawer, 2020 r.

Władcy przestrzeni

MAREK RABIJ

Budowlana gorączka trawiąca polskie miasta pozbawia nas szansy na dostosowanie ich do potrzeb mieszkańców – a nie tylko interesu deweloperów.

OD POČZĄTKU ROKU DO KOŃCA KWIETNIA, jak podał niedawno GUS, wydano pozwolenia lub dokonano zgłoszenia budowy 111,5 tys. mieszkań. To aż o 46,4 proc. więcej niż w pierwszych czterech miesiącach 2020 r., który przecież też był dla budownictwa bardzo udany. Ubiegłoroczna gorączka mieszkaniowa zaowocowała w okresie stycznia–kwiecień br. oddaniem do eksploatacji 70,7 tys. lokali (wzrost o przeszło 30 proc. rok do roku). W centrach niemal wszystkich dużych miast znikają ostatnie skrawki niezagospodarowanego terenu.

Pomimo cen, które osiągnęły niewidziany dotychczas poziom, popyt na mieszkania nadal przewyższa podaż, a to może oznaczać, że zapowiadane od dawna pęknięcie bańki spekulacyjnej na krajowym rynku nieruchomości jeszcze długo nie nastąpi. W publicznej debacie o jej konsekwencjach przewija się wątek

drożyzny, która coraz bardziej wydłuża młodym Polakom ścieżkę do pierwszej hipoteki. Na marginesie kolejny raz wyładował za to problem bałaganu przestrzennego polskich miast, który obecna gorączka tylko powiększa, przy okazji pozbawiając nas ostatniej być może szansy na uczynienie miast miejscami bardziej przyjaznymi dla mieszkańców.

Urbanista na marginesie

Południowe obrzeża Krakowa. Przy wąskiej, długiej może na 700 m uliczce, którą wytyczono jeszcze w czasach, gdy ta część miasta była podmiejską wsią, deweloper stawia w zabudowie szeregowej 16 domków jednorodzinnych. Jakies 200 m dalej trwa budowa jeszcze dwóch apartamentowców wciśniętych niemal na siłę pomiędzy inne posesje. Każdy z domków, zwanych dumnie willą, będzie mieć – jak można wyczytać na stronie inwestora – po jednym miejscu parkingowym. Garaże

pod apartamentowcami pomieszczą łącznie 47 aut, a mieszkań jest w nich aż 61.

Minimalna liczba miejsc dla aut wyznaczona w przepisach lekceważy oczywiście fakt, że wiele gospodarstw domowych ma dziś po dwa i więcej samochodów. Już teraz niemal na całej długości tej podmiejskiej uliczki jeden pas blokuje pojazdy mieszkańców osiedla na kilkaset lokali, które powstało tu kilka lat temu, rzecz jasna również z niedostateczną liczbą miejsc parkingowych. Urzędnicy rozkładają ręce – z punktu widzenia prawa budowlanego nowym inwestycjom nie można nic zarzucić. A okoliczni mieszkańcy – dodają – powinni się cieszyć, że w ich rejonie obowiązuje miejscowy plan zagospodarowania, który wyklucza budowę wieżowców.

Według danych GUS w 2018 r. aż 153 gminy w Polsce nie miały uchwalonych żadnych planów miejscowych. W 100 innych średnia powierzchnia planu miejscowego nie przekracza 10 ha, a są i takie, gdzie plany obejmują łącznie niespełna hektar powierzchni – czyli dotyczą *de facto* wybranych działek. W skali kraju planem zagospodarowania przestrzennego objęto do tej pory jakieś 30 proc. powierzchni. W praktyce oznacza to, że aż 70 proc. obszaru Polski może być – i w rezultacie jest – zabudowywane wyłącznie na podstawie decyzji administracyjnych o warunkach zabudowy, które powinny pełnić jedynie funkcję uzupełniającą dla planów miejscowych.



→ W rezultacie – jak kwitują autorzy raportu Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk – gospodarzami ładu przestrzennego polskich miast od dawna nie są urbaniści. „Ten bardzo ważny z punktu widzenia interesu społecznego zawód został zmarginalizowany. Średnia wieku polskich urbanistów jest bliska wieku 70–80 lat” – podkreśla prezes Towarzystwa Urbanistów Polskich prof. Tadeusz Markowski w raporcie dla Instytutu Spraw Obywatelskich.

Miejsce specjalistów od planowania przestrzennego zajęli urzędnicy. Na każdym dziesięć inwestycji budowlanych w Polsce aż pięć przebiega obecnie poza rygorem planu zagospodarowania, wyłącznie na podstawie decyzji administracyjnej władz lokalnych, dla których często liczą się tylko wpływy podatkowe i perspektywa najbliższych wyborów samorządowych. Sądząc po chaotyczności ich decyzji, wydawanych coraz częściej nie tylko ze szkodą dla jakości życia mieszkańców, ale też z brakiem poszanowania dla zasobów przyrody i nie liczeniem się z zagrożeniem powodziowym oraz ze zmianami klimatycznymi, większość dużych miast nie ma dziś żadnej strategii przestrzennej, a jedynie dożalne interesy.

„Wuzetki” nagminnie dostają inwestycje w sposób oczywisty gwałcące współczynnik gęstości zabudowy (to parametr występujący w planach zagospodarowania, ale urzędnicy mogą i wręcz powinni się nim posługiwać przy wydawaniu decyzji), co owocuje inwestycjami potworkami w rodzaju bloku budowanego na dziedzińcu starej kamienicy lub osiedlem umieszczonym w brawurowy sposób przy samych torach kolejowych. Tak zwana betonoza nowych osiedli (obowiązkowo z przymiotnikiem „zielony” w nazwie) stała się zjawiskiem tak powszechnym, że nie budzi już złości mieszkańców, a najwyżej drwiny, choć jej konsekwencje odczuwa się dotkliwie już teraz przy każdej większej fali upałów czy burzy.

Jakby tego było mało, rząd w 2018 r. postanowił wspomóc deweloperów, uchwalając słynną ustawę „o ułatwieniach w przygotowaniu i realizacji inwestycji mieszkaniowych oraz inwestycji towarzyszących”, która w uzasadnionych przypadkach pozwala samorządom na wyłączenie wybranych inwestycji spod

Chaos przestrzenny wymusza na samorządach i władzy centralnej zbędne wydatki rządu 80 mld zł rocznie.

rygoru planów zagospodarowania. Inwestorzy mogą dzięki temu budować mieszkania na terenie przeznaczonym do tej pory na coś innego, budynki nie muszą nawiązywać wyglądem do okolicznych posesji, a w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców mogą mieć nawet 14 pięter.

O tym, która inwestycja zasługuje na takie względy, będą decydować radni. Jednym, do tego procedowanym nie dłużej niż 90 dni dokumentem.

Jak droga jest droga?

Mapa problemów spowodowanych lekomyślnym traktowaniem ładu przestrzennego nie kończy się jednak na centrach metropolii. Tu deweloperzy polują na rodzinę w postaci najcenniejszych działek. Puls inwestycji bije tymczasem głównie poza rogatkami, gdzie trwa wyścig o większe grunty. Działki za miastem to w większości tereny rolne, które trzeba dopiero przekwalifikować na budowlane, ale przy braku miejscowych planów i przychylności łaknących dochodów z podatków samorządów można tę operację przeprowadzić bez większych trudności.

Procedura odrolnienia gruntów w pierwotnym zamyśle służyć miała rolnikom, dziś jej beneficjentami są jednak przede wszystkim deweloperzy. Posiadacze działek rolnych nierzadko dostają propozycje zakupu wraz z sugestią, żeby nie martwili się formalnościami, bo o ich gładki przebieg zadba już, rzecz jasna w sposób nieformalny, kupujący. Odrolniona działka zyskuje od razu na wartości, co cieszy sprzedającego. Inwestorzy zyskują teren pod budowę, zazwyczaj i tak znacznie tańszy od gruntów w centrach miast. Przygniecenie drożyną na rynku nieruchomości klienci również wolą większe mieszkanie na obrzeżach od klitki w centrum.

Czy właśnie do tego sprowadza się widoczny dziś w danych statystycznych i opiewany czasem w mediach w buko-

licznym tonie trend do wyprowadzki „za miasto”? Raporty GUS pokazują, że w latach 2010–2019 współczynnik urbanizacji – procentowy udział mieszkańców miast w ogólnej liczbie ludności – spadł w całym kraju z 60,77 do 60,01 proc. Znamienne jednak, że poza Mazowszem proces ten zachodzi najszybciej w województwach mających stolicy w największych aglomeracjach. Współczynnik urbanizacji dla województwa śląskiego spadł w latach 2010–2019 z 77,83 do 76,6 proc. W Wielkopolsce skurczył się z 55,92 do 54 proc., a w województwie pomorskim – z 65,89 do 63,49 proc. Identyfikując, jedynie nieco płytszy trend widać także w województwach dolnośląskim i małopolskim. W rzeczywistości odpływ mieszkańców na wieś – a w praktyce poza rogatkami miast – może być jeszcze szybszy, jeśli uwzględnić średnią długość życia, która w miastach jest dziś wyższa o ponad rok.

W ten sposób dochodzimy do kolejnej bolączki nieplanowania przestrzennego, jakim jest niekontrolowane rozlewanie się miast. Mimo że nie należą one do najciaśniej zabudowanych (według GUS w ich granicach administracyjnych można było do 2018 r. osiedlić jeszcze co najmniej 60 mln osób), w otaczających je miejscowościach co roku powstają kolejne typowo miejskie osiedla. Nierzadko w szczerym polu, jak słynne już świdnickie Silver City, które wyrosło dosłownie pośrodku plantacji rzepaku.

Następnym, łatwym do przewidzenia etapem będzie oczekiwanie mieszkańców osiedla, że miasto jak najszybciej doprowadzi do niego wygodną asfaltową drogę, a może nawet komunikację miejską. W końcu oni także płacą podatki miastu. Tymczasem w przeciętnym polskim mieście wydatki na transport i gospodarkę komunalną przekraczają już 20 proc. budżetu i rosną wykładniczo wraz ze spadkiem gęstości zabudowy. Wspomniany raport „Studia nad chaosem przestrzennym” szacuje, że w centrum dużego miasta na każdego mieszkańca przypadają średnio dwa metry sieci kanalizacyjnej. Na peryferiach – już 14.

Łącznie – konkludują autorzy – chaos przestrzenny wymusza na samorządach i władzy centralnej zbędne wydatki w wysokości 84,3 mld zł rocznie. Dla porównania, subwencje oświatowe dla samorządów w tegorocznym budżecie nie sięgną nawet 53 mld zł. © MAREK RABII

JACEK

Podsiadło: Raz, dwa, tri, kazaczok!



STARAM SIĘ REGULARNIE PRZYPOMI-
nać, kto był kim w PRL-u, gdzie stało
ZOMO, kto był niezłomny, a kto nie
wiadomo. Wiem, że jako ostatni ży-
jący świadek tamtych dni powinienem
czynić to częściej, ale zdrowie już nie to.

Najsilniejsze powołanie odczuwam ku dawaniu świadec-
twa ostatniej dekadzie komunizmu, w którą wszedłem
jako nastolatek niezwykle wyczulony na przejawy jakiego-
kolwiek buntu w zniewolonym narodzie, a wyszedłem
jako stary byk wyczulony na wszelkie przejawy fanfaro-
nady i autokreacji w tym samym, choć jakże odpicowanym
narodzie. Niezauważane wówczas przez nikogo, a dzisiaj
słynne manifestacje niezależności i akty buntu były moż-
liwe dzięki pewnej cesze polskiej kultury narodowej, którą
najlepiej ucałił Jacek Kłeyff: „Jak gonili hitlerowca, to mu
opadały spodnie”.

Tak się bowiem złożyło, że w historii naszej wszelkie
systemy, na pozór wszechmocne armie hitlerizmu i ko-
munizmu, gestapo i ubecja nagle traciły swą moc i bez-
radnie poddawały się bohaterskim jednostkom, kiedy
tylko te odważały się samotnie i z gołymi rękami stawić
im czoła. Pod warunkiem, że były to jednostki polskie,
bo z innymi nacjami, bez pokazywania palcem, było cał-
kiem inaczej. Wystarczyło, że Gustlik pogroził Niemcowi
małym palcem, że zespół pop-rockowy nazwał się bardzo
głupio, np. „Mister Z’oob”, albo że sportowiec polski po-
kazał niepolskiej publiczności pre-fucka, a już spodnie
ciemnierzycieli ludzkości opadały im aż na kostki, szczęki
zaś na przyrodzenie.

O tym ostatnim geście będzie dzisiaj. Za sprawą Toma-
sza Sikory obejrzałem zwiastun filmu „Po złoto”, który To-
mek „udźwiękowił”. Filmu nie widziałem, piszę jeszcze
przed jego oficjalną premierą. I raczej nie zobaczę, gdyż za-
chęta do obejrzenia go zniechęciła mnie. W każdym razie
nie recenzuję tu ani filmu, ani nieznanego mi bliżej zycio-
rysu pana Władysława Kozakiewicza, recenzuję dwumi-
nutowy zwiastun.

„Pięćdziesiąt tysięcy Rusków gwizdzą na mnie, na Kozak-
iewiczza, na Polaka. Powiedziałem: sukinsynom pokażę.
No i pokazałem im tego wała, pocałujcie mnie w dupę”
– mówi na początku Kozakiewicz, po czym głos zabiera
anonimowy pan w okularach: „To był pierwszy człowiek,
który odważył się całej potędze sowieckiej, i to na jej wła-
snym terenie, pokazać tego wała”. Dobrze, że nie pierwszy
człowiek w kosmosie. I dobrze, że potęga sowiecka nie wie-
działa, że Kozakiewicz jej coś pokazuje. Jako szesnastolatek
oglądałem transmisje z igrzysk w Moskwie i pamiętam, jak
było. Ponadto nagrania filmowe z zawodami, które wygrał
Kozakiewicz, są dość łatwo dostępne. Każdy może zoba-
czyć i usłyszeć, że kiedy skakał Wołkow, gwizdali Polacy,
których było na trybunach kilka tysięcy, jak skakali Po-
lacy, gwizdali Rosjanie (trochę głośniej, bo było ich więcej),

jak skakał Francuz Vigneron, gwizdali zgodnie Rosjanie
i Polacy. Kiedy Wołkow odpadł i Kozakiewicz jeszcze pięć
razy próbował pobić rekord świata, nikt już nie gwizdał,
czyli nie było żadnych pięćdziesięciu tysięcy ruskich su-
kinsynów gwizdzących „na Polaka”. Byli normalni kibice,
prymitywny ludek po dziś dzień obecny na wszelkich za-
wodach poza meczami tenisa, który bije brawo naszym
i gwizdza na nie naszych, dopóki konkurują z naszymi.
Jakoś nie słyszałem, żeby po zakończonych właśnie mi-
strzostwach Europy w kopaniu nadmuchanej kuli któryś
z Włochów twierdził, że gwizdało na niego siedemdziesiąt
tysięcy angielskich sukinsynów. Co do triumfalnych czy
pogardliwych gestów, wykonywanie ich w kierunku na-
wet wrogiej publiczności jest dziś, niestety, zabronione.
Bardzo lubię gest Kozakiewicza, fajnie, że go pokazał, ale
razi mnie przedstawianie odruchu sportowej złości jako
wyzwania rzuconego sowieckiemu imperium. Na gesty po-
lityczne to był czas przed igrzyskami w Moskwie, na które
poł świata nie pojechało.

W legendach takich jak ta najbardziej frapująca jest ich
ewolucja. To, jak niewinna bajeczka przeradza się właśnie
w legendę, a potem nabiera mocy prawdy historycznej.
Jak z biegiem lat przybywa gwizdzących kibiców, jak co-
raz ohydniej gwizdzą, jak w 2021 roku na zawodach lekko-
atletycznych pojawia się Breźniew, którego dotąd tam nie
było. Tak, jest już recenzja z filmu, w której Gabriel Kraw-
czyk pisze: „Pięćdziesięciu tysiącom gwizdzących »Ru-
skich« z Breźniewem na czele pokazał takiego wała”. Tym-
czasem Breźniew nie tylko nie gwizdał podczas skoków
Kozakiewicza, ale w ogóle nie było go wtedy na Łużnikach.
Kadry z nim wykorzystane w zwiastunie, a więc pewnie
obecne też w filmie, pochodzą z dnia uroczystego otwarcia
igrzysk. Czy nałożenie ich na ten fragment, kiedy komenta-
tor mówi „konkurs skoku o tyczce wkracza w decydującą
fazę”, jest *fair*? Wiem, czepiam się. Kto by się tam zasta-
nawiał nad *fair*, kiedy właśnie toczy się *play* o najwyższą
stawkę! ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 343/20
toczy się postępowanie z wniosku Teresy Gancarczyk
o stwierdzenie nabycia spadku po Walentym Kotlarzu,
s. Jana i Agaty, ur. 8 lipca 1929 r. w Starej Wsi, zm. 3 września
2020 r. w Sanoku, ostatnio zamieszkałym w Nowym
Łupkowie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie
3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia
zgłosili udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa
do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pomi-
nięci w stwierdzeniu nabycia spadku.



TRZĘSIENIE ZIEMI W KAWAŁKACH

Ezopowy język dokumentów informujących o karach nakładanych na kolejnych polskich biskupów wiele mówi o mentalności decydentów Kościoła.

Do głębokiej zmiany bardzo nam daleko.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI



NIC SIĘ NIE STAŁO, POLACY, NIC SIĘ NIE STAŁO” – tą kibicowską przyspiewką najkrócej można podsumować reakcję Kościoła, także hierarchicznego, na ograniczenia i kary nakładane na kolejnych polskich biskupów. Refleksji na ich temat brak, a język, jakim są pisane kolejne dokumenty informujące o decyzjach Stolicy Apostolskiej, sprawia, że świadomość, czego one dotyczą i co mówią o Kościele w Polsce, z trudem dociera do katolickiej opinii publicznej. Jeśli jednak uważnie wczytać się w to, kogo dotyczą, o czym one traktują, przeanalizować, jak są napisane i wreszcie – o czym milczą, to będzie można dowiedzieć się cał-

kiem sporo o Kościele w Polsce, a także o problemach, jakie w ogóle ma Kościół na świecie.

Mapa destrukcji

Zacznijmy od ogólnej mapy. Jak na razie Nuncjatura Apostolska albo metropolici odpowiedzialni za poszczególne diecezje lub prowadzone w nich śledztwa poinformowały o karach dla dziewięciu polskich biskupów. Kanoniczne dochodzenia toczą się wobec kilkunastu innych, w tym – o czym opinia publiczna dowiedziała się niemal w momencie, gdy kard. Angelo Bagnasco opuszczał Polskę – na poziomie Wa-

Ukarany przez Watykan zakazem uczestnictwa w celebracjach na terenie diecezji zielonogórsko-gorzowskiej jej były ordynariusz bp Stefan Regmunt (pierwszy z prawej) podczas 30. pielgrzymki Radia Maryja na Jasnej Górze. Częstochowa, 11 lipca 2021 r.

tykanu w sprawie kard. Stanisława Dziwisza. Jest jeszcze wciąż niewyjaśniona sprawa krakowskiego biskupa pomocniczego Jana Szkodonia, który oskarżony jest o nadużycia seksualne wobec osoby małoletniej.

Liczyby to jednak nie wszystko, bowiem o wiele istotniejsze jest to, kto został już ukarany. Mamy tam niewątpliwie bardzo zasłużonego dla opozycji i Kościoła, a także doskonale ustosunkowanego i powiązanego szeregiem nici z innymi polskimi hierarchami kard. Henryka Gulbinowicza (ukaranego za nadużycia seksualne, a nie za ich ukrywanie), mamy jego bliskich współpracowników i uczniów – biskupów Jana Tyrawę i Edwarda Jania. Jest wreszcie twórca ordynariatu polowego, ordynariusz warszawsko-praski i metropolita gdański Sławoj Leszek Głódź, który przez lata nie tylko odgrywał istotną rolę w relacjach państwo–Kościół, ale też miał przeprowadzać i kontrolować proces lustracji w polskim Kościele, i którego rolę w historii ostatnich lat katolicyzmu w Polsce naprawdę trudno przecenić. Jest na tej liście także bp Tadeusz Rakoczy, który wprawdzie w Polsce szczególnie aktywnej roli nie odgrywał, ale wcześniej – jeszcze za czasów watykańskich – był jednym z pracowników sekcji polskiej, co oznacza, że miał istotny udział (wraz z obecnym kard. Stanisławem Dziwiszem oraz nuncjuszem i prymasem Polski abp. Józefem Kowalczykiem) w obsadzaniu stanowisk kościelnych w naszym kraju. A wreszcie – wisienka na torcie – poinformowano o winie abp. Wiktora Skworca, jednego z kluczowych w Polsce hierarchów także obecnie, członka (właśnie z tej funkcji zrezygnował) Rady Stałej, przewodniczącego (z tej funkcji także odszedł) Komisji ds. Duszpasterstwa Konferencji Episkopatu Polski, zwierzchnika jednej z najważniejszych i największych polskich metropolii. I na tym się – o tym także nie wolno zapominać – nie skończy.

Zaprezentowana powyżej lista powinna uświadamiać skalę destrukcji ➔

→ instytucjonalnej, jaka dotyka Kościoła w Polsce. To nie są pojedyncze kary, to nie są jakieś przypadkowe osoby, to proces głęboko zmieniający kościelne struktury. Osoby, które już zostały ukarane, miały i mają powiązania z innymi, a ich kościelne kariery wymuszają pytania o rolę abp. Kowalczyka, o powiązania z kard. Dziwiszem i wreszcie o to, co wiedział, a czego nie wiedział Jan Paweł II.

Wraz z tymi karami powracają pytania o sprawy wcześniejsze – choćby o skandal poznański i o to, dlaczego opinia publiczna w Polsce, a także jego ofiary, tak długo musiała czekać na jednoznaczne uznanie winy abp. Juliusza Paetza, dlaczego nigdy nie wyjaśniono jego roli w diecezji łomżyńskiej i dlaczego – choć nikt nie ukrywał, że metropolita poznański był wspierany przez licznych polskich biskupów, a niektórzy uczestniczyli nawet w łamaniu sumień i karier tych, którzy domagali się prawdy i sprawiedliwości – nikt nie poniósł odpowiedzialności za to, co tam się działo? To są, a przynajmniej powinny być, pytania zadane i zadawane zarówno polskim biskupom, jak i Stolicy Apostolskiej.

Jeśli coś zaskakuje, to jedynie fakt, że to realne trzęsienie ziemi zostało w sporej części Kościoła w Polsce zignorowane. Debata, która powinna wybuchnąć, prowadzona jest w kilku zaledwie miejscach (w „Więzi”, „Tygodniku Powszechnym”, na Deonie, czasem w mediach elektronicznych, dodajmy, że tych prywatnych, bo publiczne jak ognia unikają tego tematu) oraz przez osoby, które mogłyby się zmieścić w jednej windzie i które – niezależnie od wszystkich różnic politycznych czy eklezyjalnych – zasadniczo się znają.

A poza tym problemu nie ma. Jest głuche, dominujące milczenie, przerywane tylko a to wizytą ukaranego biskupa na Jasnej Górze w czasie pielgrzymki Radia Maryja, a to kazaniem jakiegoś hierarchy, który gromi bynajmniej nie przestępców czy kryjących ich biskupów, ale „reformatorów, którzy chcą zmieniać Kościół” czy „liberalne media niszczące katolicyzm i wiarę”. Tematu – przynajmniej w wymiarze głębokiej dyskusji na temat przeszłości i przyszłości, struktur zła, błędów i mentalności – nie widać także w debatach prowadzonych przez polskich biskupów czy na poziomie wydziałów teologicznych i ich profesorskiego grona.

„Sytuacją” można określić to, że arcybiskup był niemiły dla wiernych, a „zaniedbanie” brak w kurii papieru do drukarek, **a nie przeniesienie księdza przestępcy na nową parafię.**

Jakby – znowu cytując przyśpiewkę – „nic się nie stało”.

Nieświadomość moralnej wagi

Dzwoniące w uszach milczenie i kompletny brak pogłębionej refleksji ma, jak się zdaje, kilka powodów. Pierwszym jest głęboka niepewność dotycząca tego, kto może być następny. Już teraz krąży – nie tylko wśród komentatorów – pytanie, dlaczego decyzji w sprawie bp. Stefana Regmunta nie ogłaszał metropolita szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga (*nota bene* także członek Rady Stałej), którego jurysdykcji podlega diecezja zielonogórsko-gorzowska, ale prymas Polski?

Czy oznacza to, że on także może spodziewać się kar i dlatego Stolica Apostolska wolała nie powierzać mu niewygodnego obowiązku? Inny członek Rady Stałej, metropolita krakowski, jak się zdaje, nie ma obecnie na głowie żadnego dochodzenia (i to on ogłaszał informację o odpowiedzialności abp. Wiktora Skworca za zaniedbania w diecezji tarnowskiej), ale za to wciąż ciąży na nim niewyjaśnione kwestie związane z kryciem abp. Juliusza Paetza. I one także będą wciąż wracać. Lista biskupów, którzy wiedzą, że problemy z przeszłości mogą dopaść także ich, jest dłuższa. Zdecydowanie dłuższa, co także ma swoje znaczenie dla ciszy, jaka zapadła.

Innym, nie mniej istotnym problemem jest brak zrozumienia moralnej powagi sytuacji. Znakomicie widać to w języku oświadczeń wydanych w sprawie byłego już członka Rady Stałej KEP przez kurię podlegającą obecnemu członkowi Rady Stałej. W oświadczeniu metropolii krakowskiej dotyczącym abp. Skworca możemy przeczytać, że archidiecezja krakow-

ska przeprowadziła „postępowanie w celu zbadania sygnalizowanych zaniedbań dokonanych przez niego, jako biskupa tarnowskiego, w sprawach wykorzystania seksualnego popełnionego wobec osób małoletnich przez dwóch kapłanów tej diecezji”, a także że owo postępowanie zakończyła. Jakie są wyniki owego dochodzenia?

Co z niego wynika? O tym się z dokumentu nie dowiemy, a zamiast tego mamy informację, że „po zakończeniu powyższego dochodzenia i w związku ze swoimi wcześniejszymi oświadczeniami, abp Wiktor Skworc: 1. złożył rezygnację z członkostwa w Radzie Stałej Konferencji Episkopatu Polski; 2. złożył rezygnację z funkcji przewodniczącego Komisji ds. Duszpasterstwa Konferencji Episkopatu Polski; 3. zobowiązał się wesprzeć finansowo – z prywatnych środków – wydatki diecezji tarnowskiej związane ze sprawami wykorzystania seksualnego; 4. poprosił o wyznaczenie Arcybiskupa Koadiutora”.

Z dokumentu nie wynika zatem, czy ograniczenia (szczerze mówiąc, niewielkie i nie dotyczące istoty jego posługiwania, a tą jest bycie metropolitą i pastorem ogromnej diecezji) nałożył na siebie sam arcybiskup, czy może jednak Stolica Apostolska, czy są one wynikiem uznania winy i odpowiedzialności, czy może wyłącznie „wcześniejszych oświadczeń” arcybiskupa.

Niewiele lepiej wygląda list, jaki do wiernych i duchownych swojej archidiecezji napisał abp Skworc. „W nawiązaniu do opublikowanego komunikatu Archidiecezji Krakowskiej z dnia 9 lipca 2021 r. pragnę Was poinformować, że z pokorą przyjmuję wyniki dochodzenia Stolicy Apostolskiej, o które sam prosiłem, dotyczącego sytuacji zaistniałych w czasie pełnienia przeze mnie posługi biskupa tarnowskiego. Sytuacje te dotyczyły wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych podległych mojej jurysdykcji. Jak się okazało, w dwóch takich przypadkach doszło do zaniedbań. W związku z tym zwracam się przede wszystkim do skrzywdzonych oraz ich rodzin ze szczerą i pokorną prośbą o przebaczenie. O to samo proszę wspólnotę Kościoła tarnowskiego, któremu przez niespełna 14 lat starałem się służyć na miarę możliwości i sił” – napisał.

To dobrze, że padły słowa przeprosin, ale trudno nie dostrzec, że z tekstu wcale

nie wynika, za co osobiście przeprasza arcybiskup. W liście jest mowa bowiem o jakichś sytuacjach z czasów posługi biskupiej w diecezji tarnowskiej i o zaniebdaniach, do których „doszło”. Kto jest za nie odpowiedzialny, jaka jest osobista rola arcybiskupa, jak rozumie on swoje zaniebdania, o tym nie ma ani słowa. Bez osobowa forma „doszło” pozwala przypuszczać, że arcybiskup nie poczuwa się do osobistej odpowiedzialności. „No, stało się”, a nie „zaniedbałem” – tak można najprościej ukazać problem z brakiem wzięcia odpowiedzialności w tym liście. Ale to nie jedyny problem. Istotne jest również dyskretne mijanie się z prawdą przez arcybiskupa. Otóż tak się składa, że sprawy z diecezji tarnowskiej zaczęły być wyjaśniane na skutek działalności ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego i mediów, a do Stolicy Apostolskiej niektóre z (nie wyjaśnionych wciąż) zarzutów trafiły od ofiar, a nie za sprawą działania samego metropolity.

Sytuacja, nie osoby

Charakterystyczny (i wcale nie nietypowy) jest także język mówienia o ofiarach i przestępstwach. Metropolia krakowska określa cierpienie nieletnich i przenoszenie wykorzystujących ich księży na nowe placówki, gdzie mogli oni kontynuować swój proceder, mianem „zaniedbań”, natomiast abp Skworec pisze o „sytuacjach”. W obu przypadkach język jest tak bezosobowy i niekonkretny, że niewiele z niego wynika. „Sytuacja” można określić to, że arcybiskup nakrzyczał na księdza czy był niemiły dla wiernych, a „zaniedbanie” brak papieru do drukarek w kurii, ale przeniesienie księdza przestępcy na nową parafię czy do nowej diecezji wymaga aktywnego działania arcybiskupa. Ukrywanie tego pod ezopowymi sformułowaniami uświadamia, że ani autorzy dokumentu z metropolii krakowskiej, ani sam arcybiskup nie rozumieją, co naprawdę się wydarzyło, jak decyzje biskupa zniszczyły życie konkretnym osobom, jaka jest skala ich odpowiedzialności.

Za sformułowaniem „sytuacja” czy „zaniedbania” kryją się historie konkretnych osób, odebrane dzieciństwo, głęboka trauma, czasem zniszczone życie. Tak opisywała swoją historię kobieta występująca podczas spotkań biskupów w Watykanie: „Chciałam opowiedzieć wam o tym, jakim byłam dzieckiem. Ale

Enigmatyczne sformułowania

uświadamiają, że autorzy dokumentów nie rozumieją, jak decyzje biskupa zniszczyły życie konkretnym osobom, jaka jest skala ich odpowiedzialności.

nie ma to sensu, ponieważ, gdy miałam 11 lat, ksiądz z mojej parafii zniszczył mi życie. Od tamtej pory ja, która kochałam kolorowanki i robiłam salta na trawie, nie istniałam.

Zamiast tego pozostają wryte w moich oczach, w uszach, w nosie, w moim ciele, w mojej duszy wszystkie te chwile, w których on przyciskał mnie, małą dziewczynkę, nadludzką siłą: znieczulałam się, wstrzymywałam oddech, wychodziłam z ciała, szukałam rozpaczliwie moimi oczami okna, aby przez nie patrzeć, czekając, aż wszystko się skończy. Myślałam: »jeśli nie będę się ruszać, może nic nie poczuje; jeśli nie będę oddychać, może umrę«. Kiedy się to kończyło, zabierałam z powrotem to, co było moim zranionym i upokorzonym ciałem, i odchodziłam stamtąd, wierząc wręcz, że wszystko sobie wyobraziłam. Jak mogłam ja, mała dziewczynka, zrozumieć to, co się stało? Myślałam: »to musiała być moja wina!« lub »może zasłużyłam na to zło?«. Tę jej opowieść może potworzyć wiele, bardzo wiele ofiar. Ich historia to nie „sytuacja”, nie „zaniedbanie” – to krzycząca niesprawiedliwość, za którą ktoś powinien wziąć odpowiedzialność.

Bezosobowy, pozbawiony świadomości własnej odpowiedzialności za cierpienie konkretnych osób język pokazuje także, jak wielu polskich biskupów nie ma świadomości, jakie zadania stoją przed nimi jako pasterzami. „Jako pasterze trzody Pańskiej nie możemy lekceważyć skonfrontowania nas samych z głębokimi ranami zadanymi ofiarom wykorzystania seksualnego przez duchownych. Są to rany natury psychologicznej i duchowej, które należy traktować z naj-

większą troską. Podczas wielu spotkań z ofiarami na całym świecie zdałem sobie sprawę, że jest to święta ziemia, na której spotykamy Jezusa na krzyżu. To droga krzyżowa, przed którą my, biskupi, i inni przywódcy Kościoła nie możemy się uchylać. Musimy być Szymonem z Cyreny pomagającym ofiarom, z którymi Jezus się utożsamia, nieść ich ciężki krzyż” – podkreślał abp Charles Scicluna.

I aż trudno nie zadać pytania, gdzie w oświadczeniach związanych z odpowiedzialnością konkretnych biskupów jest ten wymiar?

Kultura dyskrekcji

Zarzuty wobec treści i stylu pisanie oświadczeń kierować trzeba jednak nie tylko do polskich biskupów. Mimo wielu zapewnień o zerwaniu z kulturą dyskrekcji (określaną niekiedy mianem „kościelnej omerty”) nadal panuje ona także w kościelnych oświadczeniach. Mimo burzy, jaką wywołały kary nałożone na umierającego kardynała Gulbinowicza, wciąż nie wiadomo, za co został ukarany. Konia z rzędem temu, kto wie, za co dokładnie ukarano biskupa Kiernikowskiego, arcybiskupa Głódzia czy nawet biskupa Tyrawę.

Tego możemy się domyślać, możemy to rekonstruować z medialnych doniesień. Z dokumentów i oświadczeń poznajemy bowiem jedynie karę. I – trzeba uczciwie powiedzieć – to nie jest kwestia odpowiedzialności polskich biskupów, ale metody informowania o sprawie przez samą Stolicę Apostolską. Jak powiedział mi jeden z polskich biskupów, ostatecznie podstaw podejmowanych decyzji nie znają nawet biskupi, którym powierzono zbadanie sprawy, ani ci, których powołano do informowania o niej. Oni także znają wymiar kary, a nie jej powody.

I to także jest smutny dowód na to, jak powoli, także w Watykanie, zmienia się mentalność, jak mocno zakorzenione jest przekonanie, że wiernych nie trzeba informować o przewinieniach biskupa, że zgorszenia wiedzą należy unikać. Świat jednak bardzo się zmienił i o wiele większym zgorszeniem jest udawanie, że nic się nie stało, uciekanie od jasnego wskazania winy, niż najgorsza nawet prawda o tym, co się wydarzyło. Tej prawdy wymaga zresztą także sprawiedliwość wobec skrzywdzonych przez zaniedbania czy politykę Kościoła.

© TOMASZ T. TERLIKOWSKI



Członkowie wspólnoty Cenacolo w trakcie codziennej modlitwy przed figurą Matki Boskiej. Modlitwy odmawiane są w języku włoskim. Jastrzębie Zdrój, 14 lipca 2021 r.

Wstań, żyj

TEKST: **MARCIN CHODUŃ** ZDJĘCIA: **JACEK TARAN**

Ci, co się pogubili, we wspólnocie Cenacolo odnajdują drogę. Przez pracę i modlitwę.

NOC, AUTOSTRADA, UDERZENIE – Wojtek pamięta tylko tyle. Choć obydwie samochody były bardzo zniszczone, nikomu nic poważnego się nie stało. Mimo to Wojtek trafił do szpitala. Tam stwierdzono u niego zwężenie w płucach; wdała się też sepsa. Z tego powodu był hospitalizowany przez trzy tygodnie. Wystarczająco długo, żeby zastanowić się nad swoim życiem. Od lat cierpiał na bezsenność; wpadł też w pracoholizm. Postanowił: „Muszę się odsunąć od wszystkiego, zacząć inaczej”. Tak trafił do wspólnoty Cenacolo.

Dziś mówi: – To była wola Boża.

Trzy filary

Cenacolo (po włosku „Wieczernik”) założyła w lipcu 1983 r. włoska zakonnica Elvira Petrozzi. Widząc młodych ludzi pogubionych i uzależnionych od narkotyków, postanowiła im pomóc. Jako podstawę funkcjonowania wspólnoty siostra Petrozzi, nazywana przez podopiecznych Matką Elvirą, przyjęła trzy filary: pracę, modlitwę i przyjaźń. Na oficjalnej stronie wspólnoty można przeczytać, że ma być ona „nie tylko miejscem pomocy

społecznej, ale też szkołą życia, wielką rodziną, gdzie osoba przyjęta może czuć się jak w domu i odnaleźć własną godność, uzdrowienie ran, pokój w sercu, radość życia i pragnienie kochania”. Zainteresowanym proponuje się „prosty i rodzinny styl życia”, „szczerą przyjaźń jako fundament relacji międzyludzkich i braterskiej miłości” oraz „modlitwę i wiarę w Jezusa Chrystusa jako odpowiedź na nieskończone pragnienie miłości istniejące w ludzkim sercu”. Zasady te okazały się atrakcyjne dla młodych ludzi – od początku swego istnienia wspólnota przyciągała coraz większą ich liczbę. I to nie tylko do swojego pierwszego domu w miasteczku Saluzzo w Piemoncie, ale także do kolejnych ośrodków na terenie Włoch i poza granicami tego kraju. Dziś Cenacolo ma 71 ośrodków w 20 krajach świata na trzech kontynentach: w Europie, Ameryce Północnej i Południowej. Jest uznawana przez Kościół jako Międzynarodowe Stowarzyszenie Wiernych.

W Polsce istnieją cztery domy tej wspólnoty: w Porębie Radlnej pod Tarnowem, w Giezkowie koło Koszalina, w Jastrzębiu Zdroju oraz w leżącym nieopodal Suszcu.

Krzyk w sercu

Wokół łagodnie pofalowane pagórki, tu i ówdzie – domostwa zanurzone we wszechobecnej zieleni okolicznych pól. – Jest tu jak na wsi, choć przecież nasz dom stoi o krok od sporego śląskiego miasta – śmieje się w progu Grzegorz, opiekun domu Cenacolo w Jastrzębiu Zdroju. Duży, schludny budynek. – Dostaliśmy go 19 lat temu od siostr Służebniczek Śląskich – tłumaczy Grzegorz.

Ma 34 lata, pochodzi z okolic Rzeszowa. W Cenacolo jest od ponad pięciu – najdłużej ze wszystkich przebywających tu obecnie dziewięciu chłopaków. To też jedna z panujących we wspólnocie reguł: opiekunem danego domu jest zwykle osoba z najdłuższym stażem.

Jak Grzegorz tu trafił? Problemem w jego życiu był od wielu lat alkohol. I to tak poważnym, że w pewnym momencie trafił do szpitala – prosto pod kroplówkę.

– W zamyśle założycielki wspólnota miała służyć głównie narkomanom – tłumaczy – ale przez lata zakres pomocy się rozszerzał. Dziś do Cenacolo wstępują osoby, które czują potrzebę bliskiego kontaktu z Panem Bogiem i pragną przemienić swoje życie. Są one najczęściej uzależnione od alkoholu, ale także od narkotyków i komputerów; sporo jest też osób z depresją. Grzegorz bronił się jak mógł przed przystąpieniem do wspólnoty.

– Byłem bardzo zamkniętą osobą, nie dogadywałem się z własnym ojcem. Była też chęć zaimponowania rówieśnikom, zaistnienia w grupie. Alkohol, imprezy. Koledzy jednak zaczęli zmieniać swoje życie – znaleźli żony, zaczęli studia

– a ja w tym zostałem. Od pewnego momentu nie potrafiłem funkcjonować bez alkoholu, cały czas musiałem być na gazie. Pomagał mi on dosłownie we wszystkim, także w nawiązywaniu relacji z ludźmi. Doszło do tego, że gdy byłem trzeźwy, zwracano mi uwagę, że coś jest ze mną nie tak. W pracy ciągle kombinowałem, cały czas żyłem w kłamstwie. Potrafiłem zabrać siostrze złoty łańcuszek i sprzedać, aby kupić butelkę wódki. Widziałem, jak mama cierpi, jak moje dwie siostry się ode mnie odwracają. Przerazało mnie, do czego byłem zdolny. Byłem bardzo nieszczęśliwy.

W końcu zdecydował się na terapię – spędził w niej sześć tygodni. Gdy wyszedł, wyprowadził się z domu, wyjechał do Wrocławia. Tam jednak, wspomina, znów wpadł w nałóg. Po pół roku rodzice zawieźli go w strasznym stanie fizycznym prosto do szpitala. Z samochodu jego matka zadzwoniła do Cenacolo i umówiła go na spotkanie. Po wyjściu ze szpitala postanowił spróbować. Ostatni raz.

– Mimo iż wiara zawsze była ważna w moim życiu, to w ostrym stadium nałogu obraziłem się na Boga – za to, że zabrał mi kobietę, którą kochałem, pracę, prawo jazdy. W moim sercu pozostał jednak krzyk, pragnienie dobra. I modlitwa, która ostatecznie została wysłuchana.

Bolało, gdy dzwonił telefon

Historia Wojtka jest inna. Ma 32 lata, także pochodzi z okolic Rzeszowa; we wspólnocie jest od ponad trzech lat (pomaga Grzegorzowi w jej prowadzeniu). Po studiach zaczął pracować w firmie oferującej chemię gospodarczą. Jeździł po całej Polsce jako handlowiec. Kręciło go to – pracował od rana do wieczora, także w weekendy. Praca była dla niego wszystkim. Przemieszczał się między miastami w nocy – po to, żeby jak najpóźniej trafić do hotelowego łóżka. Bo jego bezsenność postępowała – z roku na rok było coraz gorzej. Próbował wszystkiego: brał leki nasenne, najpierw słabe, potem coraz mocniejsze, poddawał się różnym terapiom, odwiedzał psychologów i psychiatrów – nic nie pomagało. Rok przed wstąpieniem do wspólnoty spał zaledwie godzinę dziennie – nad ranem, przy komputerze.

– Do łóżka wtedy już w ogóle nie chodziłem, nie chciałem leżeć i płakać przez długie godziny. W ciągu dnia też nie było lepiej. Gdy dzwonił telefon, w całym ciele

czułem ból. W jednej z klinik snu terapeutka powiedziała do niego: „Jesteś wieżący – spróbuj w Cenacolo”.

Przed przystąpieniem do wspólnoty zainteresowani biorą udział w tzw. kolokwiach, które odbywają się raz w tygodniu – zazwyczaj w sobotę – przez okres około 1,5 miesiąca (w czasie pandemii spotkania są online). Chłopcy chętni do przyłączenia się do Cenacolo opowiadają o sobie, mówią, jaki mają problem i dlaczego chcą wstąpić. Sprawdza się w ten sposób m.in., czy nie kieruje nimi jedynie wola rodziców. W domach Cenacolo na świecie przebywają zarówno chłopcy, jak i dziewczyny. W polskich ośrodkach wspólnoty mieszkają na razie wyłącznie chłopcy. Dom w Suszcu, obecnie zamieszkały przez chłopaków, ma być docelowo przeznaczony dla dziewczyn.

Wojtek: – Na kolokwia jeździłem do Tychów, spodobało mi się, więc wstąpiłem do wspólnoty. Przez pierwsze cztery miesiące nadal jednak nie spałem. Ale obowiązywał przymus – o dziewiątej wieczorem musiałem już być w łóżku. I leżąc w nim, nie miałem już wyboru: powoli, powoli zacząłem w końcu zasypiać. Dziś Wojtek śpi lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

– I stało się to bez jakiejkolwiek farmakologii. Przedtem jadłem witaminy, masę różnych suplementów, bo jeszcze ćwiczyłem na siłowni, do tego leki od lekarzy. Wszystko to skumulowałem – było tego bardzo dużo. Dodaje: – Wierzę, że pomógł mi Jezus, którego tutaj odnalazłem. Gdyby nie moja droga do wspólnoty, to w końcu kogoś bym zabił samochodem.

Z ciemności do światła

Kaplica w jastrzębskim domu znajduje się na parterze. Nie jest duża – w środku kilka ławek, niewielki ołtarz. W kącie gitara. Tu mieszkańcy domu – ci, którzy są chętni – zaczynają każdy dzień o piątej rano od porannej adoracji Najświętszego Sakramentu.

O szóstej jest już pobudka dla wszystkich. – Odmawiamy wtedy na kolanach różaniec i dzielimy się słowem Bożym – opowiada Grzegorz. – Wierzmy, że właśnie w kaplicy dokonuje się nasza przemiana.

Wedle Grzegorza modlitwa towarzyszy mieszkańcom wspólnoty przez cały dzień. – Różaniec odmawiamy jeszcze po obiedzie i wieczorem, obchodząc pobliską wioskę. To taka nasza tradycja – chcemy w ten sposób dać świadectwo na-

szej wierze, bo właśnie dzięki sile modlitwy funkcjonujemy tutaj tak zgodnie, że nikt się nie pobije. To jest cud – bo przecież jesteśmy bardzo różni. Oczywiście, ktoś się czasami pokłóci – jak w domu, w rodzinie. Jeśli już coś takiego się zdarzy, staramy się to przede wszystkim przemyśleć, pomodlić się nad tym, przyznać się ewentualnie do swojego błędu i przeprosić. Powiedzieć drugiemu prawdę w oczy, która boli, czasami nie jest łatwo. Staramy się tu budować prawdziwe przyjaźnie – oparte na bezinteresowności i prawdzie. W ten sposób wychodzimy z ciemności do światła.

– Jakie zasady obowiązują we wspólnocie?

– Pierwszy miesiąc jest taką zaprawą przygotowawczą – mówi Grzegorz. – Na początku jest przeszkwanie – do domu nie mogą trafić narkotyki, alkohol czy choćby papierosy. Każdy nowo przybyły dostaje swojego „anioła stróża” – innego brata, który wprowadza go we wszystkie reguły panujące w domu i towarzyszy mu 24 godziny na dobę. I przede wszystkim jest pierwszym przyjacielem – wspiera, wysłuchuje, stara się zrozumieć.

– Panujące u nas zasady przypominają reguły zakonne – dodaje Wojtek. – Na pierwszym miejscu są modlitwa i praca, mamy też podobny jak w klasztorze rytm dnia. Wszyscy mieszkańcy zwracają się do siebie per „brat”. Przez kilka pierwszych miesięcy jest się w dobrowolnym zamknięciu. Pierwsze spotkanie z rodziną może się odbyć po około pół roku. Później organizujemy różnego rodzaju rekolekcje, spotkania, święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Na zewnątrz jednak właściwie prawie w ogóle nie wychodzimy – poza codziennym, wieczornym różańcem.

Grzegorz: – Radio, telewizja, muzyka – rezygnujemy z tego wszystkiego na pewien czas, żeby zreflektować nasze życie i aby znaleźć rany, które trzeba uleczyć. A można je znaleźć, tylko i wyłącznie izolując się od świata zewnętrznego. Wejść w pewien tryb wyciszenia, medytacji. To wszystko jest formą terapii – tylko że u nas nie ma żadnych psychoterapeutów. Modlitwę staramy się przenieść na dzień codzienny. To znaczy, że próbujemy żyć według tego, co nakazuje Pismo św. Mówić sobie prawdę. Każdy mieszkanić ma obowiązkowe prace do wykonania: sprzątanie, gotowanie, pranie, opieka nad zwierzętami, praca w ogrodzie. ➔



U góry: krowa Kwiatula wraca z pastwiska do obory. Poniżej: praca w ogrodzie.
Na dole: różaniec odmawiany podczas codziennego spaceru. Jastrzębie Zdrój, 14 lipca 2021 r.

→ Są one wymienne – chodzi o to, żeby członkowie wspólnoty nauczyli się wykonywać różne obowiązki.

– Czy pobyt we wspólnocie jest ograniczony czasowo?

– Nie, każdy może tu przebywać tak długo, jak chce – tłumaczy Grzegorz. – Proponujemy jednak zawsze pewne minimum, czyli 2–3 lata pobytu w domu. Potem można wyjść i spróbować swoich sił na zewnątrz.

Niektórzy zostają dłużej. Zrobił tak choćby Wojtek – chciał po prostu być pomocny w domu.

A Grzegorz? Stało się tak, mówi, bo doświadczał coraz więcej łaski. Widział, że jego dłuższy pobyt daje owoc. Teraz to on był po drugiej stronie – pokazywał chłopakom wstępującym do wspólnoty, że istnieje lepsze życie. – Mogę powiedzieć o sobie, że dzięki wspólnocie zmartwychwstałem. Teraz jestem szczęśliwy i chce mi się żyć.

Pokora nad talerzem

W kaplicy nad ołtarzem widnieje włoski napis: „*Il signore vede*” (Pan widzi). Koło gitary śpiewnik – też po włosku.

– W domach naszej wspólnoty włoski jest językiem niejako obowiązującym – objaśnia Wojtek. – Modlimy się po włosku, w tym języku też śpiewamy i spełniamy obowiązki.

– Obowiązki?

– Raz w miesiącu mamy spotkanie, na którym każdy z chłopaków opowiada, jak w ostatnich tygodniach żył modlitwą i pracą, i jak w ostatnich tygodniach układały się jego relacje z innymi braćmi. Następnie każdy z uczestników mówi, co w minionym miesiącu widział w zachowaniu i postawie tego brata. Na koniec gremialnie wybierane są dla niego określone obowiązki. Gdy na przykład ktoś zawsze odpowiada czy się tłumaczy, jeśli mu się mówi prawdę w oczy, to dostaje obowiązek pozostania w ciszy.

Obowiązki nas zmieniają – często brak pokory, posłuszeństwa są przeszkodą w duchowym rozwoju. Lista obowiązków wisi na ścianie. Wojtek tłumaczy z języka włoskiego kilka z nich: – „Podzielić się tym, czym żyję”, czyli któryś brat ma powiedzieć innemu bratu o swoich bólach. „Być obecnym w życiu codziennym”. I jeszcze jeden: „Znaleźć czas na proste rozmowy z braćmi”. Po jadalni rozchodzą się smakowite zapachy. W kuchni uwija się jeden z chłopaków.

Dziś na obiad – jakże by inaczej! – spaghetti bolognese.

Grzegorz: – Kuchnia to jedno z pomieszczeń, gdzie też uczymy się pokory. O tym, co kucharz gotuje, decyduje osoba odpowiedzialna za magazyn żywności. Kucharz musi być wobec niej posłuszny. Efekt gotowania jest różny. Ale zgodnie z zasadą obowiązującą we wspólnocie wszystko zjadamy, nic się nie może zmarnować.

– Więc choć czasami zupa jest za słona, to cierpimy i zjadamy ją bez mrugnienia okiem – dodaje ze śmiechem.

Z własnych pól

Większość produktów używanych w kuchni pochodzi z własnego ogrodu. – Właściwie nie robimy żadnych zakupów – powiada Grzegorz. – Czasami dostajemy od okolicznych mieszkańców dary – chleb od piekarza, coś od masarza.

– Skąd macie na rachunki?

– Dajemy świadectwa w kościołach – podczas mszy opowiadamy o naszej wspólnocie. Datki zbierane podczas takich nabożeństw są przeznaczone na naszą wspólnotę.

Ogród leży na łagodnym zboczu. Pośród grządek w lipcowym słońcu trzej bracia wspólnotowi: Hubert, Przemek i Maciek. Uprawiają cebulę, truskawki, pomidory, kapustę, paprykę, marchewkę, buraki, bób...

Obora. Krowy akurat nie ma – pasie się gdzieś na łące. Jest za to świnka – Pepe. Są jeszcze kury, dwa psy i cztery koty.

Blżej domu – wielka czereśnia. Gałęzie powyginane od nadmiaru owoców. Zbiera je Michał z Nowego Sącza. Był już kiedyś sześć lat we wspólnocie, wyszedł, teraz wrócił, żeby pobyc z chłopakami przez kilka miesięcy.

Po lewej stronie niewielki magazyn. W nim mnóstwo drewnianych ławek – mieszkańcy domu naprawiają je dla pobliskiego hospicjum.

Nieco dalej zewnętrzna kaplica. Na niewielkim placu przed nią – dwa olbrzymie drzewa orzechowe. – W niedzielę często ustawiamy pod nimi ławki i jemy tu obiad – tłumaczy Wojtek.

Żegnamy się w ich przyjemnym cieniu. Gdy Wojtek się odwraca, mogę w końcu dostrzec napis, który widnieje z tyłu na jego koszulce: „Mówię ci, wstań”.

© MARCIN CHODUŃ



Jean Vanier, założyciel stowarzyszenia Arka. Francja, Trosly, 9 kwietnia 2013 r.

Bez znieczulenia

ANNA GARYCKA Z PARYŻA

Książka ta jest nie tylko precyzyjną analizą i diagnozą gorszących wydarzeń. Jest też świadectwem bólu, jaki sprawia pisanie o Kościele od środka.

JUŻ SAMA OKŁADKA JEST WYMOWNA. Pierwsza litera w słowie „ojcowie” ironicznie odpada od pozostałych liter, a nad tytułem unosi się ręka poruszająca sznurkami, symbolizująca manipulowanie ludźmi i ich niewolenie. Książka Céline Hoyeau „Zdrada ojców” („La trahison des pères”) podejmuje tematykę kryzysu w Kościele francuskim spowodowanego nadużyciami założycieli kilku znanych wspólnot charyzmatycznych. Hoyeau przedstawia wnikliwą analizę dokonywanych przez nich manipulacji, wykazując dewiacyjne powiązanie seksualności z duchowością i podkreślając, że każda przemoc to przede wszystkim kwestia nadużycia władzy.

Nadużycia, o których mowa w książce, są różnego stopnia i natury. Niektórzy założyciele zostali skazani przez sądy cywilne, inni w procesach kanonicznych, jeszcze innym nigdy nie udowodniono winy. Każdemu z nich jednak konkretne osoby zarzucały jakiś

rodzaj przemocy, niekoniecznie seksualnej. Wyrażając empatię w stosunku do ofiar, autorka szuka odpowiedzi na nurtujące dziś wielu katolików pytanie: jak mogło dojść do tak poważnego kryzysu? Po przeprowadzonym śledztwie i licznych konsultacjach Hoyeau wskazuje na współodpowiedzialność hierarchów kościelnych, teologów, mediów i samych wiernych za to, co się wydarzyło.

Kryzys, czyli dopust Boży

Jedną ze wziętych pod lupę wspólnot jest znana i obecna w 38 krajach na świecie Arka, wspólnota dla osób niepełnosprawnych intelektualnie. To właśnie jej założyciel Jean Vanier stał się przyczyną prawdziwego szoku dla katolików we Francji i głębokiego rozczarowania samej autorki. O ile ojciec duchowy Vaniera, dominikanin Thomas Philippe, był w pewnych kręgach kościelnych znany ze swych nadużyć – już w 1956 r. został zdyscyplinowany przez Watykan →

→ w procesie kanonicznym – o tyle sam Vanier aż do 2016 r. pozostawał poza jakimkolwiek podejrzeniem. Rzesze katolików we Francji, w tym sama Céline Hoyeau, postrzegały go w aurze świętości.

Jako dziennikarka pracująca dla katolickiego dziennika „La Croix”, Hoyeau już od kilku lat obserwowała i opisywała skandale, w których główną rolę grali założyciele nowych wspólnot, ale przypadek Jeana Vaniera był kroplą, która przelała czarę goryczy. Hoyeau czuje się nie tylko rozczarowana, ale wręcz zdradzona. Ze wspólnotami, o których pisze, zetknęła się nie tylko w związku z pracą dziennikarską, ale także na własnej drodze życiowej i to właśnie ta perspektywa osobistego doświadczenia nadaje całej publikacji wyjątkowo przejmującą wymowę.

„W dzieciństwie – pisze Hoyeau – przed snem czytałam żywoty świętych, przepełnione pięknymi ideałami, i już od wczesnego wieku szukałam wokół siebie takich figur duchowości, które mogłyby mną pokierować w moich dążeniach do absolutu”. Autorka stwierdza bez ogródek, że w swojej parafii się nudziła, że dążenie do pogłębionego doświadczenia religijnego w sposób naturalny doprowadziło ją do nowych wspólnot charyzmatycznych – jeździła na organizowane tam rekolekcje, zaczytywała się tekstami założycieli, była w nich zapatrzona. Na swoim przykładzie pokazuje proces, który w historii Kościoła nie jest niczym nowym i nosi miano idolatrii.

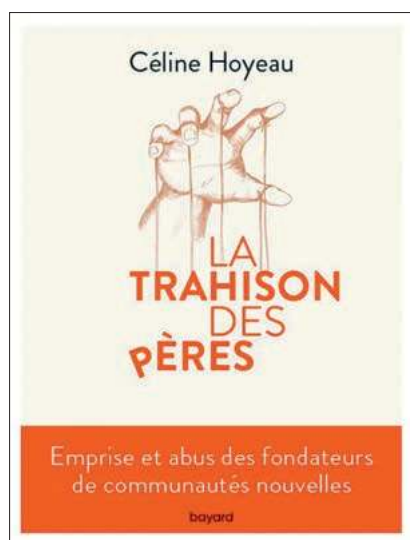
Studia, tradycja i terapia

Jednym z głównym punktów, na które zwraca uwagę Céline Hoyeau, jest zaślepienie samych wiernych, które umożliwiło sprawcom nadużyć ich manipulacyjną działalność. Ignorancja w kwestiach wiary może być jedną z przyczyn prowadzących do tworzenia idoli z przewodników duchowych, popadania w pułapki herezji czy zwyczajnego braku rozeznania, co jest grzechem, a co nim nie jest.

Ważny też jest kontekst historyczny, w którym pojawiły się nowe wspólnoty charyzmatyczne we Francji, w większości zainspirowane ewangelicznymi ruchami Odnowy w Duchu Świętym przybyłymi ze Stanów Zjednoczonych. Jest nim rewolucja paryskiego Maja '68, która na sztafardach wypisane miała hasła swobody obyczajów i obalenia autorytetów. Mentalność ta wkroczyła głęboko do Kościoła francuskiego i wielu wiernych za-

przeszło wówczas praktykowania. Jak mówi Hoyeau „Tygodnikowi”: – Wśród katolików, którzy opuścili wtedy Kościół, byli także moi rodzice.

Hoyeau diagnozuje podstawową chorobę katolicyzmu francuskiego jako duchowość, która odrzuca Tajemnicę Wcielenia. Kościół francuski łatwo ulega pokusie ignorowania seksualności, nie proponując katechezy na ten temat. Sprzyja to traktowaniu przewodników duchowych jako idoli, zwłaszcza gdy poświęcają dużo miejsca kwestiom ciała i emocji, jak robili to założyciele nowych wspólnot.



Céline Hoyeau, *LA TRAHISON DES PÈRES*, Bayard 2021

Pospieszne, choć niekoniecznie właściwe interpretacje reform soborowych przez charyzmatycznych przewodników wzbudzały entuzjazm i przyciągały jak magnes, zwłaszcza młodych, niemających doświadczenia w praktykowaniu wiary, której brakowało w rodzinnym domu.

„Kocham Kościół i jestem przekonana, że nie robi mu się krzywdy, pomagając mu ujawnić prawdę na własny temat” – pisze Hoyeau. Odkrywanie prawdy jest konieczne, ale – dla kogoś, kto jak autorka chce być wiarygodnym świadkiem Ewangelii – stanowi drogę bardzo bolesną. Hoyeau zdaje relację z własnego bólu i wyznaje, że nabrała dystansu do wydarzeń dzięki studiom teologicznym, które podjęła pracując równocześnie jako dziennikarka, dzięki zakorzenieniu w tra-

dycji ignacjańskiej, ale także dzięki terapii psychoanalitycznej.

To doświadczenia dla pokoleń katolików francuskich, do którego należy – zmuszonego poszukiwać drogi po omacku, także poza Kościołem, bo w nim doświadczali wybiórczej i „poszatkowanej” formacji. Dzielenie życia wspólnotowego na osobne grupy kobiet i mężczyzn, osobne praktyki dla osób niezamężnych, a osobne dla par, izolowanie się założycieli, którzy mieli zwyczaj jadać osobno i co innego niż reszta wspólnoty, przygotowywanie prawdziwych „spektakli liturgicznych”, by dobrze wypaść w czasie wizytacji biskupów...

Spojrzenie kobiece

Jean Vanier zmarł w Paryżu 7 maja 2019 r., zaledwie trzy tygodnie po pożarze katedry Notre-Dame, gdy opary ołowiu ze spalonej iglicy wciąż zanieczyszczały okoliczne środowisko. Prezydent Macron powiedział wtedy, że uniknięto najgorszego: ocalała fasada. Można by rzec – francuskie przywiązanie do pozorów.

Obecny kryzys mocno je obnażył, bo tak naprawdę i fasada, i wnętrze Kościoła przedstawia dziś żałosny widok. Spustoszenie dotknęło nie tylko ofiary. Autorka „Zdrady ojców” zaznacza, że sama nie jest bezpośrednią ofiarą, ale nie ma wątpliwości, że obserwując z bliska wydarzenia, też mocno ucierpiała. Prawdziwy problem w Kościele pojawia się, kiedy jego członkowie rezygnują z jednania i braterskiego upominania, zadowolając się jedynie wyrażaniem oburzenia, które, choć w pełni zrozumiałe, z punktu widzenia nadziei chrześcijańskiej nie może pozostać ostatnim słowem.

Zwrócenie uwagi na sposób, w jaki media katolickie relacjonują wydarzenia na temat skandali w Kościele, jest bardzo ciekawym wątkiem książki. Hoyeau pisze samokrytycznie: „Nieraz żałowałam, że przedstawiłam zbyt wyidealizowany obraz takiego czy innego »mistrza duchowego«, o którym później wyszło na jaw, że dokonywał nadużyć”.

Napisaną w konwencji raportu dziennikarskiego 350-stronicową książkę Céline Hoyeau czyta się niczym powieść. Na ostatniej stronie autorka dziękuje za pomoc swojemu mężowi, a w rozmowie z „Tygodnikiem” dodaje: – Ta książka urodziła się równocześnie z moją córką.

43-letnia mama podkreśla, że rodziła bez znieczulenia. © ANNA GARYCKA

WOJCIECH

Bonowicz: *Niepokoje szczęśliwych*



BYCIE OBYWATELEM POLSKIM TO NIE JEST lekki chleb. Obywatela polskiego – i odpowiednio także polską obywatelkę – wszyscy nieustannie chcą uszczęśliwiać. A najbardziej partię, które są u władzy. A jeśli obywatelka

i obywatel nie chcą być uszczęśliwiani, to się ich oskarża o niewdzięczność. W najlepszym razie. Bo w najgorszym – o zdradę.

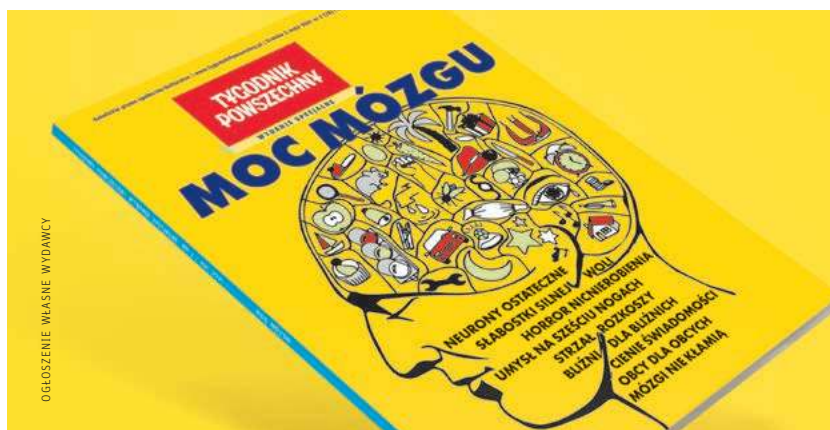
Może jestem przewrażliwiony, ale nawet w czasie kaniuku nie daje mi spokoju świadomość, że ktoś nieustannie o mnie myśli. I to ktoś, o kim ja bynajmniej nie myślę, a w każdym razie – staram się nie myśleć. Ja sobie, powiedzmy, leżę wyciągnięty w słońcu, właśnie przepłynąłem dwadzieścia długości basenu, a teraz odpoczywam, popijając wodę sodową z lodem, nade mną krążą ważki i motyle, a obok ułożyły się wygodnie dwa stare owczarki i całą trójką czekamy na lunch, który się zacznie za pół godziny. Żadnego radia, żadnej telewizji, internet ledwo, ledwo działa. I naraz dżgnięcie, takie jakby w bok albo pod serce, albo raczej gdzieś w potylicę, że przecież ja tu tak leżę beczynnie, prawie szczęśliwy, a tam być może ktoś właśnie wymyśla, jak uszczęśliwić mnie jeszcze bardziej. Mnie by wystarczył ten basen, nawet raz do roku, te psy kulejące o głębokim i czułym spojrzeniu, ta woda z lodem i słońce, no może jeszcze od czasu do czasu jakaś książka albo dwie, bo druga, powiedzmy, z wierszami, i jeszcze, powiedzmy, najnowszy numer „Literatury na Świecie”. Ale nie, ktoś właśnie zabrał się do roboty i szykuje mi jeszcze więcej szczęścia. Szykuje mi szczęście prawdziwe, takie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem.

Autorytaryzm to uszczęśliwianie ludzi siłą. A siłą, która ma ludzi uszczęśliwić, jest władza. Ludzie mogą sobie mieć jakieś własne małe projekty szczęścia, jakieś intymne w tym zakresie doświadczenia, ale władza wie, że to, co intymne, nie wystarczy przecież człowiekowi do życia. Człowiekowi do życia potrzebne są siłowe rozwiązania. Szczęście to są na przykład siłowe rozwiązania zastosowane wobec innych. Jak władza jednych upokarza, to u drugich wydzielają się endorfiny. Bo oczywiście, kiedy chcący nas uszczęśliwić mówią o Polkach i Polakach, to mają na myśli „te” Polki i „tych” Polaków, a nie wszystkich. Jest kwestią indywidualnego sprytu, przypadku, a może też kulturowego kapitału, w której części tej podzielonej społeczności się znajdziemy. Prawdę mówiąc, władza, kiedy mówi o uszczęśliwianiu kogokolwiek, najczęściej myśli o własnym szczęściu. Chodzi tylko o to, żeby znaleźć odpowiednio dużą grupę, która się nie zorientuje.

To są rozważania ogólne, ale rozumiecie oczywiście, że mają one szczegółowe zastosowanie. Władza może na przykład wymyślić, że dla mojego szczęścia powinienem być informowany tylko w jeden sposób, z jednego źródła. Wybór źródeł – tu władza ma rację – to przecież zawsze kłopot, powód do frustracji, przyczyna uzależnień. Jeśli zniknęłaby różnorodność, człowiek od razu stałby się spokojniejszy – cokolwiek by się włączyło czy otwarło, wszędzie byłaby ta sama, dająca głębokie poczucie bezpieczeństwa prawda. W konsekwencji zniknęłyby informacyjne bańki i związane z nimi konflikty. Rząd, jakikolwiek by był, byłby piękny. I piękne byłyby wszystkie jego decyzje. Owszem, byłiby – tak jak i dziś są – zewnątrzni i wewnątrzni wrogowie, ale nie byłoby wątpliwości, gdzie jest ich miejsce i jakie są ich intencje. Dziś w jednym miejscu ktoś jest wrogiem, a w innym obrońcą demokracji. A taka rozbieżność punktów widzenia szczęściu nie sprzyja. Szczęście potrzebuje wiedzieć, kto i co. I władza stara się tę potrzebę zaspokoić.

Wyciągnięty w słońcu, w oczekiwaniu na lunch, głaszcząc za uchem odpoczywające obok psy, nie martwiłbym się wtedy, że być może dzieje się coś złego, o czym nie wiem. Myślałbym tylko o tym, jak dobrze, że jest ktoś, kto o mnie myśli.

©



w głowie się nie mie- ści!

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” **MOC MÓZGU**
w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych.
Więcej informacji na powszech.net/mocmozgu



PRZEKLEŃSTWO WIECZNEGO POWROTU

Afganistan znów spychany jest w ponury chaos.
Mądrzejsi o lekcje Iraku i Syrii, nie możemy mieć komfortu widza.

KRZYSZTOF STRACHOTA

AWIĘC DOCZEKALIŚMY SIĘ. JUŻ NIE tylko na specjalistycznych portalach, lecz także na czołówkach światowych mediów można śledzić coraz to nowe obrazy afgańskiego koszmaru. Z każdym dniem mapy pokazujące postępy talibów: już połowa, dwie trzecie, trzy czwarte Afganistanu ma być pod ich kontrolą. Stolice kolejnych prowincji,

w których toczą się walki. Kolejne tysiące dezertersów z armii rządowej, którzy poddają się lub przekraczają granicę, by znaleźć schronienie w sąsiednich krajach. Zdjęcia rozstrzeliwanych jeńców.

No i Amerykanie, chyłkiem i nocą opuszczający bazę w Bagram. A w ślad za tym – oszołomiony afgański dowódca tej bazy, przed kamerami niezdarnie ma-

skujący swoje zaskoczenie dokonany fakt. Wszystko przeplatane obrazami szabrowników.

Do tego kamienne twarze brodatych talibów, którzy zapowiadają wprowadzenie szariat, przypominają nieuchronną konieczność wycofania wszystkich obcych wojsk i łaskawie przyjmują zaproszenia do złożenia wizyty w Moskwie, do roz-



Żołnierze afgańskiej armii rządowej na terenie bazy Bagram koło Kabulu, opuszczonej przez siły amerykańskie. 5 lipca 2021 r.

tem (mit jak to mit – nie uwzględnia starożytnej i średniowiecznej świetności i roli Afgańczyków w budowie choćby Imperium Mogołów w Indiach). Mówi o chronicznej biedzie, nie wspomina o bogactwach naturalnych (jedyną ich karykaturą jest opium – 90 proc. światowej heroiny rodzi się w Afganistanie).

Obecna ofensywa talibów jest kolejną odłoną permanentnego konfliktu, który trwa – żeby nie patrzeć zbyt głęboko – od lat 70. XX stulecia. W konflikcie tym widzieliśmy dotąd obalenie króla, mordowanie premierów i prezydentów, zajmowanie Kabulu przez komunistów (a potem Sowietów), zajmowanie Kabulu przez mudżahedinów (1992 r.) i walki o Kabul między tymiż mudżahedinami, które przerwało zwycięstwo talibów (1996 r.), a wreszcie ponowne zajmowanie stolicy przez Sojusz Północny – alians plemion walczących z talibami – pod osłoną amerykańskiego lotnictwa (2001 r.).

Ceną tych zmagania miało być do 2 mln zabitych i 6 mln uchodźców w latach 80. XX w. (na kilkanaście milionów ówczesnych mieszkańców), nieoszacowana nigdy liczba ofiar z lat 90., a także blisko 300 tys. zabitych w ostatnim dwudziestolecu (na obecnych 38 mln mieszkańców). Ten licznik wciąż bije, bo spodziewane zwycięstwo talibów znacznie nowy etap rozliczeń, przetasowań i wojen. Ruszy też na nowo licznik uchodźców, którzy – jak uczy kryzys roku 2015 – koniec końców ruszą do Europy, a nie do krajów ościennych.

Pomnik ukaranej dumy

Mityczny Afganistan – to jądro ciemności, to nic, które jest nie wiadomo gdzie – przyciąga mocarstwa jak świeca čmy.

Przez blisko sto lat toczyły o niego Wielką Grę imperia rosyjskie i brytyjskie (Brytyjczycy ponieśli tu szereg spektakularnych porażek), a w czasie zimnej wojny rywalizowali Sowieci i Amerykanie. Ci pierwsi podbili Afganistan i okupowali go w latach 80. XX w., w szczytowym momencie utrzymując tam 115 tys. żołnierzy, z których 15 tys. wróciło do domów w załutowanych trumnach.

W latach 90. XX stulecia w afgańskim kotle mieszała Pakistańscy (dziełdziej ambicji i strachów Imperium

mów z Chińczykami czy na występy w szacownych światowych mediach.

Mit Afganistanu

Jest pewien rodzaj prawdy, która niekoniecznie wyrasta z naukowo usystematyzowanej sekwencji faktów, założeń i wniosków. Prawdy, która niekoniecznie w sposób ścisły potwierdza się w czasie i przestrzeni, jednak bez wątpienia tłumaczy świat, wskazuje na powtarzalne prawidłowości, podsuwa sposoby odnajdywania się w sytuacjach krańcowych i ich przeżywania. Daje niemal podprogowy system oceny sytuacji. Jest mocniejsza od suchego wywodu naukowego – może odwoływać się do emocji, światopoglądu, smaku. Antropolodzy, ale też dziennikarze często używają w odniesieniu do takiego przeżywania świata pojęcia mitu (nieoznaczającego tu jednak nieprawdy).

Miejscem, gdzie mit przemawia całą siłą, jest dziś Afganistan. Taka ofensywa

(choć jednak niezakończona) w wykonaniu oponentów władzy w Kabulu i rejtura mocarstwa już się przecież zdarzyły. Ten strach, jak i niegdyś nadzieje, kiedyś już były. I będą się powtarzać, oczywiście z pewnymi wariacjami. W tym jest siła mitu, który opowiada o świecie gorzej niż mędrca szkieleko i oko.

Licznik wciąż bije

Mit afgański mówi o kraju dzikich ludzi, położonym na końcu świata – oddzielnym niebosiężnymi górami i rozległymi pustyniami od głównych centrów i szlaków globu. Mówi o kraju-tyglu narodów (Pasztunów, Tadżyków, Hazarów, Uzbeków), wojowniczych i skonfliktowanych plemion, i licznych religii (sunnitów, szyitów, ale też sikhów czy wspomnień o buddyzmie).

Mówi mit afgański o organicznej niezdolności do stworzenia państwa z jego instytucjami, zdolnego nadążać za świa-

→ Brytyjskiego; oni Afganistanu nigdy nie odpuścili), a także Indie, Rosja, Iran i państwa Zatoki Perskiej. Wreszcie w 2001 r. pojawili się Amerykanie, wsparci przez NATO i innych sojuszników – wśród nich Polskę (w pewnym momencie mieliśmy tam 2,6 tys. żołnierzy; straciliśmy łącznie 44 zabitych) – a również takie państwa jak Gruzja czy Japonia. W szczytowym momencie ostatnich 20 lat w Afganistanie było blisko 140 tys. żołnierzy koalicji (nie licząc afgańskich sił rządowych i kontraktowników z prywatnych firm militarnych), z których zginęło ponad 3,6 tys., w tym blisko 2,5 tys. Amerykanów.

Jawi się zatem Afganistan jako „cmentarzysko imperiów”, a Amerykanie są kolejnymi z wielu.

Łączy się ten mit z jeszcze innym: opuszczana nocą baza Bagram (założona jeszcze przez Macedończyków Aleksandra Wielkiego jako obóz warowny) może wydać się współczesną wersją pamiętnych śmigłowców wiszących nad ambasadą USA w Sajgonie w kwietniu 1975 r.

Jest zatem Afganistan pomnikiem ukaranej *hybris* – poniżonej dumy możnych tego świata. Pomnik ten najwyraźniej jednak niczego nie uczy, skoro na horyzoncie mającą chętni pragnący konsumować na afgańskim stole klęskę Amerykanów: Rosjanie, Chińczycy, Irańczycy, nieustrudzony Pakistan.

Postęp i jego koszty

Hybris ma też swoją drugą odsłonę. Amerykanie, a wraz z nimi my wszyscy na Zachodzie, postanowiliśmy w tym zakątku świata zbudować nowoczesne i oświecone państwo: sprawne, demokratyczne, gwarantujące prawa i dające możliwości normalnego życia jego mieszkańcom.

W ciągu ostatnich 20 lat w Afganistanie przeprowadzano wybory. Działają tu wolne media. Buduje się szkoły. Stworzono ośrodki nowoczesnej administracji i profesjonalne kadry struktur bezpieczeństwa. Blisko setka kobiet zasiada w parlamencie (obie jego izby liczą 351 członków), a rzesza kobiet pracuje na uczelniach, w sądownictwie, w mediach.

Postęp ten osiągnięto niewyobrażalnym nakładem. 20 lat obecności USA kosztowało blisko bilion dolarów. Większość tych pieniędzy pochłonęło bezpieczeństwo: koszty interwencji i utrzymanie struktur bezpieczeństwa Afganistanu liczących 400 tys. żołnierzy i policjantów. Większość wydatków państwa

(70–80 proc.) i wszystkie projekty modernizacyjne pokrywane były z pomocy zagranicznej.

Dziś, jak się wydaje, ten afgański sen Zachodu będzie wracać w dyskusjach o tym, dlaczego mimo wszystko nie udało się i dlaczego następnym razem musi się udać. Lub też, jak to w Afganistanie skończył się liberalny uniwersalizm świata zachodniego. Za ten sen – jak również za nieudolność własnych przywódców – zapłacą ci Afgańczycy, którzy nim żyli.

Powrót tamtej grozy

Jest wreszcie w afgańskim mieście miejsce na zło ucieleśnione: talibów, którzy już raz – po tym, jak zdobyli władzę w 1996 r. – cofnęli Afganistan do średniowiecza, na przełomie wieków XX i XXI zamknęli kobiety w domach i organizowali publiczne egzekucje. Talibów, którzy – zrosnięci z Al-Kaidą, zgodnie z prawem mitu – współodpowiadali za ataki z 11 września 2001 r. na Waszyngton (Pentagon) i Nowy Jork, a także szykowali podbój postsowieckiej Azji Centralnej. Afganistan był już kiedyś pierwszym uniwersytetem światowego dżihadu (w latach 80. i 90. XX w.; głębokie korzenie Państwa Islamskiego z Iraku i Syrii sięgają Afganistanu).

Obecny powrót talibów przywołuje i kumuluje tamtą grozę – i w kraju, i na Zachodzie, i w sąsiedztwie – zarówno w wersji dosłownej (że talibowie podejmą aktywną ekspansję), jak też w wersji miękkiej (że stworzą warunki dla ekspansji innych). I ponownie pycha Afganistan w szeregi najbardziej niebezpiecznych miejsc na świecie, nadając też wspólny mianownik radykalnym ruchom muzułmańskim.

Czas na niuanse

Narysowany powyżej mit – albo wręcz: cały kompleks mitów – niesie oczywiście mnóstwo nieścisłości i uproszczeń. Wydaje się jednak mocno zakorzeniony i co do zasady prawdziwy. Z pytaniami, które stawia, pozostaniemy pewnie na długo, a najbliższa przyszłość Afganistanu raczej go nie podważy. Bo trudno o optymizm w odniesieniu do tej przyszłości. Zanim jednak kraj ten zastygnie w swojej najnowszej formie, warto nieco zniuansować – choćby na moment – ten ciąg konieczności dziejowych.

Pierwszą sprawą jest tempo i zasięg talibańskiej ofensywy. Bez wątpliwości jest ona faktem. Otwartą kwestią jest jednak

zajmowanie przez nich kolejnych dystryktów [to odpowiednik powiatu – red.]. W większości z nich talibowie byli od lat, stworzyli tam równoległą administrację (sądy, podatki, ale też szkoły – w praktyce finansowane przez rząd w Kabulu). Przeprowadzali też liczne ataki (w tym – inaczej niż obecnie – zajmowali na krótkie okresy stolice dystryktów, jak Kunduz w 2015 r. czy Ghazni i Farah w 2018 r.).

Dziś zmiana kolorów na mapie w komputerowym edytorze jest dużo łatwiejsza niż zważenie realnej zmiany sytuacji. Bez wątplenia dochodzi do dezercji po stronie armii rządowej, ale jednak wszyscy nie przejdą do talibów – i ze strachu, i z niezgody na deklację, i przez interes lokalnego zaplecza.

Niegdyś trzy lata musiały minąć od wyjścia z Sowietów (rok 1989) do upadku rządu ich protegowanego Nadżibullaha. Był to proces dopełniony wstrzymaniem finansowania władz w Kabulu przez Moskwę. W ubiegłym roku o blisko połowę spadło finansowanie sił bezpieczeństwa Afganistanu przez USA, co częściowo tłumaczy (i zapowiada) problem, ale wskazuje też na jego rozciągnięty w czasie i niejednoznaczny charakter.

Kim są dziś talibowie

Otwarte jest pytanie o obecną tożsamość talibów i kontekst, w którym będą funkcjonować na scenie politycznej. Do władzy idą po dwóch dekadach ciężkich walk i kilkukrotnym odradzaniu się na nowo ich przywództwa. Nauczyli się świata (od lat mają biuro w Katarze i prowadzą rozmowy z licznymi państwami). Stonowali ambicje (deklarują umiarkowanie we wdrażaniu szariatatu – nie wiadomo tylko, na ile szczerze).

Na obecnej scenie politycznej Afganistanu talibowie zajmują mocne pozycje „centrowe” (cudzoziemców jest tu niezbędny). Obok podziemnej administracji mają pod bronią do 80 tys. ludzi. Dalej jest tzw. Siatka Haqqanich (organizacja licząca ok. 4 tys. zbrojnych i uchodząca za kontrolowaną przez Pakistan) oraz setki bojowników Al-Kaidy (obie te grupy zdają się lokalnie przenikać z talibami), a także kilka tysięcy bojowników podległych lokalnej odnodze Państwa Islamskiego i cudzoziemców (Pakistańczyków, Ujgurów, Uzbeków i innych centralnych Azjatów, zrzeszonych we własnych organizacjach). Dla rządu w Kabulu głównym wyzwaniem są talibowie, dla Ameryka-



OMAR SOBHANI / REUTERS / FORUM

W ciągu ostatnich 20 lat w Afganistanie wiele się zmieniło. Czy za ten sen zapłacą teraz ci Afgańczycy, którzy nim żyli? Na zdjęciu: ulica w Kabulu, 12 lipca 2021 r.

nów radykalne ugrupowania terrorystyczne, spośród których Państwo Islamskie jest przez talibów zwalczane.

Od ponad roku walki Amerykanów i talibów mają sporadyczny charakter, bo w lutym 2020 r. Stany podpisały z talibami porozumienie, do którego próbowały niejako na siłę wprowadzić rząd w Kabulu. Ten był oczywiście niechętny – i niezdolny, bo po wyborach prezydenckich we wrześniu 2019 r. dwaj główni konkurenci przez kilka miesięcy kwestionowali wynik.

Kim zatem będą talibowie w drodze do władzy oraz jakie będą linie podziałów i konfliktów, dodatkowo komplikujących się na poziomie lokalnym? To sprawa otwarta. Wykluczyć można natomiast, że talibowie zechcą eksportować swoje porządki za północną granicę. Choć bez wątpienia będą promieniować jako przykład. I nawet gdyby chcieli, nie zlikwidują przestrzeni dla sił, które byłyby gotowe nieść płomień na teren dawnego Związku Sowieckiego.

Minimum satysfakcji

Wielkim – globalnym – pytaniem pozostaje kwestia polityki amerykańskiej.

Politycznie i medialnie Amerykanie już przegrali, dopełniając afgański mit o „cmentarzysku imperiów”. Ogromna jest waga kosztów USA poniesionych na Afganistan, co odbiło się na kieszeniach i nastrojach amerykańskiego podatnika. Należałoby jednak stonować zarzuty o amerykańskie ambicje (a zatem i skalę klęski) oraz zarzuty o pospieszne

(paniczne bez mała) wycofanie się z kraju. Inaczej niż w przypadku inwazji na Irak, tu głównym celem Stanów było zniszczenie Al-Kaidy i ukaranie talibów za udzielenie im pomocy. Rekonstrukcja Afganistanu nie miała też takiego ciężaru jak demokracja Iraku i Bliskiego Wschodu (stąd też nacisk na budowę sił bezpieczeństwa i armii oraz struktur rządowych, co pochłaniało większość nakładów). Afganistan miał być stabilny i wolny od międzynarodówki terrorystycznej.

Minimum (kosztownej) satysfakcji Waszyngton osiągnął w 2011 r., gdy zabito Osamę bin Laden – przywódcę Al-Kaidy i autora planu zamachów na USA – a prezydent Obama mógł ogłosić rozpoczęcie wycofywania sił, co zasadniczo nastąpiło w 2014 r. Od tego momentu znacznie zmniejszone siły koalicji przyjęły rolę doradczo-wspierającą i skoncentrowały się na zwalczaniu sił bardziej radykalnych od talibów.

Wbrew ówczesnej histerii świat nie zaważył się w 2014 r. Stopniowa redukcja sił i zaangażowania postępowała dalej, aż do ogłoszenia przez prezydenta Trumpa porozumień z talibami i deklaracji wycofania się do maja 2021 r. Zasadność tej decyzji wprost musiał przyznać prezydent Biden i z opóźnieniem (obecnie ostateczny termin wycofania to 31 sierpnia) zrealizować.

Gra toczy się dalej

Nie ma więc mowy o zaskakującym czy panicznym wycofywaniu się Amerykanów (choć stylu zabrakło). Decyzja

jest realizowana stopniowo i planowo, przy licznych próbach umocnienia kabulskiego klienta, ale też (wobec jego „knaźności”) przy szukaniu alternatyw i bezpieczników dla własnych interesów.

Jest to również dla Stanów decyzja racjonalna: koszty dalszego pozostawiania w Afganistanie byłyby większe niż koszty wycofania, dalsza zależność od obecnych władz w Kabulu gorsza od zdystansowania się od nich. W przyszłości interesów amerykańskich bronić miałby liczący 650 żołnierzy kontyngent (rozlokowany wokół ambasady), a także siły (być może turckie) kontrolujące lotnisko w Kabulu, jak też siły powietrzne stacjonujące w regionie. Talibowie zdecydowanie domagają się całkowitego wycofania obcych sił z kraju, za tym jednak poszłoby zupełne zamknięcie lotniska w stolicy i ewakuacja wszystkich ambasad, co z kolei oznaczałoby ich totalną izolację. Gra toczy się zatem dalej.

Dyskusyjną kwestią pozostaje sukces regionalnych rywali USA, dziś szczęśliwych z ich porażki. Odetchnie Iran, Rosja wzmocni się w Azji Centralnej, Chiny (bezpośrednio i *via* Pakistan) będą mogły swobodniej eksplorować Afganistan. Tyle tylko, że jednym z głównych wniosków z ostatnich dekad jest pewność, iż stabilizowanie Afganistanu jest zdecydowanie bardziej kosztowne niż zarządzanie niestabilnością. Można sądzić, że drobne radości dnia dzisiejszego nie przeszkadzają im zatęsknić jeszcze za Amerykanami w Afganistanie.

■■■

Mniejsza jednak o szczegóły i dekoracje – zgodnie z nieubłaganą mityczną zasadą wiecznego powrotu, Afganistan spychany jest w ponury chaos rodem z lat 90. XX w. Mądrzejsi o lekcje ostatniej dekady z Iraku i Syrii – gdzie zobaczyliśmy, jaką przestrzeń stwarza chaos dla mutacji różnych radykalizmów, i jaką siłą jest beznadzieja, która wygania miliony ludzi z ojczyzn już nie setki, lecz tysiące kilometrów od domu – nie możemy mieć komfortu widza.

A Amerykanie? Dla nich to nie pierwsza taka porażka. Afganistan zaś, z jego problemami, jest z ich punktu widzenia odległy.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, w którym kieruje zespołem Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej.



ADALBERTO ROQUE / AFP / EAST NEWS

Policjanci i funkcjonariusze bezpieczeństwa (po cywilnemu) aresztują jednego z uczestników demonstracji. Hawana, 11 lipca 2021 r.

Wolni tylko w czterech ścianach

JOANNA SZYNDLER

Na Kubie wybuchły największe od wielu lat demonstracje przeciwko dyktaturze. Ludzie są głodni i sfrustrowani – i mają coraz mniej do stracenia.

ZACZĘŁO SIĘ W NIEDZIELĘ 11 LIPCA w miejscowości San Antonio de los Baños, 30 km od stołecznej Hawany. Ktoś wyszedł na ulicę, krzyknął „Cuba libre!” – „wolna Kuba!”. Niespodziewanie dołączyli do niego kolejni. „Koniec z dyktaturą!”, „Ojczyzna i życie!”, „Już się nie boimy!” – krzyczeli. Nagrywali się i wrzucali filmy do sieci. Zaczęli dzwonić do znajomych w innych częściach wyspy.

I tak właśnie, od Pinar del Río na zachodnim krańcu Kuby po Guantanamo na wschodzie, na ulice wyszły tłumy.

Tego dnia doliczono się manifestacji w 71 miejscowościach.

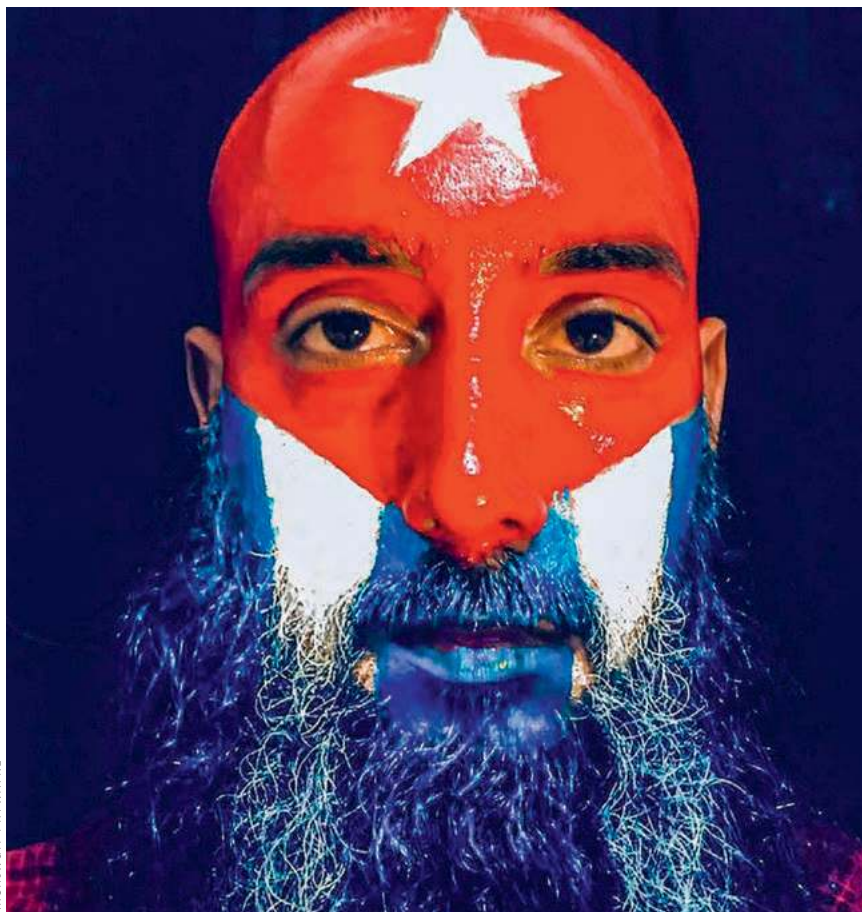
Okres specjalny

To pierwsze masowe protesty na Kubie od 1994 r.

Kiedy 30 lat temu upadł Związek Radziecki, załamał się także przemysł cukrowniczy na wyspie. Przywódca Fidel Castro ogłosił nastanie *periodo especial*, czyli okresu specjalnego. „Naród kubański będzie musiał zmierzyć się z wielkimi problemami, z blokadą totalną ze wszystkich stron” – zapowiedział.

Jest rok 2021, a Kubańczycy powtarzają: jest tak samo jak w tamtym okresie specjalnym albo może i gorzej. Na wyspie znów brakuje jedzenia, środków czystości, prądu, wody, leków. Podczas pandemii zatrzymała się turystyka – najważniejsza część kubańskiej gospodarki. Sytuację pogorszyły nowe restrykcje wprowadzone przez prezydenta USA Donalda Trumpa pod koniec jego kadencji i ponowne wpisanie Kuby na listę państw wspierających terroryzm. Mimo że rząd w Hawanie zapewnia, że sytuację pandemiczną ma pod kontrolą, w kraju mówi się o upadku szpitali, o braku sprzętu ratującego życie. Ludzie, tak jak ćwierć wieku temu, zaczęli być głodni i sfrustrowani, mają coraz mniej do stracenia.

Oprócz analogii są jednak też różnice. Dziś Kubańczycy mają internet – dostępny masowo na wyspie dopiero od paru lat. Wciąż jest tak drogi, że przeciętny Kubańczyk albo z niego nie korzysta, albo, jeśli musi, to tylko po to, by zadzwonić do rodziny za granicą. Ale gdy dochodzi do nadużyć władzy, mieszkańcy wyspy coraz częściej sięgają po smartfony. Zwłaszcza aktywiści – dla nich internet to okno na świat.



DAVID D OMNI, raper i aktywista z Hawany, jeszcze niedawno organizował koncerty tylko w swoim domu. Gdy wraz z przyjaciółmi próbowali robić coś w przestrzeni publicznej, zaraz zjawiali się policjanci.

Ale dla wielu to za mało. „Nie chcemy ochłapów, chcemy wolności!” – piszą Kubańczy w sieci. Do aresztu trafiają kolejne osoby. Często są to aktywiści i artyści, którzy dali się już poznać władzy we wcześniejszych miesiącach.

Swobodni tylko w domu

– Myślę, że możemy mówić o początku nowej Czarnej Wiosny – przekazywała mi w rozmowie telefonicznej Anamely Ramos jeszcze na kilka dni przed początkiem protestów.

Ta kuratorka i była wykładowczyni na Uniwersytecie Sztuki w Hawanie w ostatnich miesiącach stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób wśród kubańskich aktywistów. Mówiąc o Czarnej Wiosnie, Ramos miała na myśli okres represji z 2003 r., kiedy na wyspie aresztowano 75 osób – opozycjonistów, niezależnych dziennikarzy i aktywistów.

– Z informacji, jakie posiadam wynika, że 15 aktywistów czeka obecnie na proces – mówiła Ramos. – Nie liczę tych, których aresztuje się na parę godzin i wypuszcza, ani tych, którzy przebywają w więzieniach już z zasądzonymi wyrokami. Na Kubie jest ponad 170 więźniów politycznych. Oczywiście rząd nie mówi o nich jako o politycznych, oskarża się ich o polspolite przestępstwa.

Tydzień później liczby te były już nieaktualne. Po ostatnich demonstracjach nie wiadomo dokładnie, ile osób aresztowano. Jedni piszą o setkach, inni nawet o tysiącach. Za wcześniej, by liczyć.

– Od czasu wybuchu rewolucji w 1959 r. na Kubie nie było miejsca dla osób, które proponują jakąkolwiek zmianę, które myślą krytycznie. Lider zawsze mógł być tylko jeden, a był nim Fidel Castro – mówił mi David D Omni, gdy tuż przed wybuchem protestów rozmawialiśmy przez internet.

David jest raperem, performerem i aktywistą, mieszka w Hawanie. Wyrosł jako artysta w grupie Omni Zona Franca działającej w dzielnicy Alamar. Należeli do niej poeci, muzycy, performerzy – nie myśleli jeszcze o sobie jako o aktywistach czy „artyvistach”, jak

Sami swoi przy okrągłym stole

Obecne protesty od tych z 1994 r. odróżnia także reakcja władz. Wtedy Fidel Castro powiedział do obywateli: „Jeśli chcecie, to płyńcie, nie staniemy wam na drodze”. Straż przybrzeżna nie zatrzymywała tych, którzy w desperacji próbowali uciec z wyspy. W ciągu jednego roku na tratwach skleconych z desek i dętek od traktorów wypłynęło w stronę Florydy ok. 40 tys. ludzi. Rząd ogłosił, że kontrrewolucjoniści opuścili ojczyznę i zaczął wymyślać Kubę na nowo – postawił na turystykę.

Teraz władza przede wszystkim straszy i izoluje. W poniedziałek 12 lipca, na zajutrz po pierwszych demonstracjach, nie było już na wyspie internetu. Nie trudno było go wyłączyć, bo jego jedyną dostarczycielką jest tu państwowa firma ETECSA. Pierwszego dnia protestów do sieci trafiało mnóstwo zdjęć, relacji, okrzyków radości. W kolejnych dniach było ich mniej – a jeśli już, publikowano głównie te, na których policja bije manifestujących.

Prezydent Miguel Díaz-Canel w przemówieniu telewizyjnym wezwał do walki w obronie rewolucji. Zaczęły się masowe aresztowania. W środę 14 lipca

tak pisał do mnie David D Omni, aktywista i performer z Hawany: „W końcu mam internet. Wojsko i grupy paramilitarne przejęły kraj, ale protestów nie udało się powstrzymać. Mordują i torturują, wchodzą do domów, większość Kubańczyków ich nie chce”.

Do sieci trafiają filmy, na których widać policjantów strzelających do cywilów. Wielu Kubańczyków nie ma jednak pojęcia, co się dzieje. Telewizja nie pokazuje zdjęć z demonstracji. Występuje tylko prezydent, który zapewnia: „Będą musieli przejść po naszych trupach. Jesteśmy gotowi na wszystko”.

„Za każdym razem, gdy wychodzę z domu, spotykam tylko żołnierzy i psy. Protesty nie są organizowane, pojawiają się spontanicznie w różnych miejscach” – pisze David D Omni.

W kolejnych dniach rządzący zmieniają retorykę i zaczynają apelować o pokój. W nagraniu telewizyjnym pt. „Okrągły stół”, przy którym siedzą tylko reprezentanci władzy, ogłaszają zmiany. Deklarują poprawę sytuacji gospodarczej i zniesienie do grudnia 2021 r. cla na leki i żywność przywożone na Kubę jako część bagażu.

→ obecnie lubią siebie nazywać. Działali głównie w swoich domach, czasem wychodzili na ulice. David D Omni też jeszcze do niedawna organizował koncerty we własnym salonie. Sąsiedzi znają go tylko z ekstrawaganckiego ubioru – nie wiedzą, czym się zajmuje.

David działał wśród znajomych i dla znajomych, zapraszali się telefonicznie. Kiedy próbowali zorganizować jakieś wydarzenie w przestrzeni publicznej, od razu przychodzili policjanci. Pod groźbą aresztu kazali się rozjechać.

Tylko we własnych czterech ścianach artyści mieli pewną wolność działania.

Nagrywaj mnie, jeśli chcesz

Sytuacja na Kubie zaczęła się zmieniać w 2018 r., kiedy Miguel Díaz-Canel przejął rządy od 87-letniego wtedy Raúla Castro (brata Fidela, który zmarł w 2016 r.). Najpierw Díaz-Canel został premierem, a następnie prezydentem i pierwszym sekretarzem Partii Komunistycznej. Na początku swoich rządów zapowiedział kontynuację myśli rewolucyjnej i wprowadzenie tzw. Dekretu 349.

To nowe prawo do dziś jest narzędziem kontroli artystów i dziennikarzy. Działać na Kubie mogą tylko artyści licencjonowani, władza ma prawo do zamykania galerii, księgarni, odwoływania koncertów, jeśli promowane treści uznaje za szkodliwe lub antyrewolucyjne. Mimo że już wcześniej dostęp do radia, telewizji czy prasy mieli jedynie artyści pokorni, to Dekret 349 jeszcze bardziej ograniczył możliwości działania i zarabiania na swojej sztuce pozostałym. W sieci ruszyła fala protestów. W celu organizowania akcji przeciwko dekretovi powstała grupa artystyczna Movimiento San Isidro (MSI).

W listopadzie 2020 r. raper Denis Solis, należący do Movimiento San Isidro, wrzucił do sieci film z rozmowy z policjantem, który w nocy wszedł do jego domu:

Denis: – Kto panu pozwolił tutaj wejść?

Policjant: – To jest korytarz.

Denis: – Nie, to nie jest korytarz, to mój dom. Proszę teraz pana, żeby wyszedł i zapytał o pozwolenie, czy może wejść. Może pan wyjść?

Policjant: – Nie mogę.

Denis: – Dlaczego ty mnie nachodzisz? Przecież nikogo nie zabiłem, nikogo nie okradłem. Nagrywaj mnie, jeśli chcesz. Jesteś tchórzem ubranym w mundur

policyjny. Szczurze jeden. (...) Przyszedł w nocy z maseczką, żeby nie było widać jego twarzy! Ja jestem gotowy, by umrzeć, żebyś wiedział.

Parę dni później Solis został aresztowany i skazany na osiem miesięcy więzienia za obrazę funkcjonariusza. W protestie przeciwko aresztowaniu pozostali członkowie MSI, m.in. Anamely Ramos, zamknęli się w domu jednego z aktywistów. Część ogłosiła strajk głodowy. Ich losy śledzili w internecie Kubańczycy rozsiani po świecie. Ci na wyspie mogli tylko oglądać i czytać paszkwile w tytułach rządowych.

W końcu władza zdecydowała się działać. Funkcjonariusze przebrani za lekarzy weszli siłą do domu aktywistów. Pretekstem była epidemia. Niektórzy protestujący trafili na parę dni do aresztu, na innych nałożono areszt domowy. Przed ich mieszkaniami zainstalowano kamery.

Kiedy 27 listopada 2020 r. przed ministerstwem kultury na pokojowej manifestacji zebrało się ok. 300 osób, nazwali siebie ruchem 27N. Wśród nich byli krytycy sztuki, profesorowie, malarze, reżyserzy. Chcieli rozmawiać z władzą. „Nadeszła pora na dialog” – ogłosili. Chcieli rozmawiać o wolności słowa. Wiceminister kultury Fernando Rojas zadeklarował chęć negocjacji, ale szybko zmienił zdanie. „Nie akceptujemy prowokacji i nie będziemy rozmawiać z najemnikami” – brzmiało stanowisko rządu. Aktywiści znowu stali się sługusami imperializmu i sprzedawczykami.

Ojczyzna, życie i kajdanki

Kolejne miesiące przyniosły następne protesty i aresztowania. Hasłem ruchu stała się „Patria y vida” – tytuł piosenki nagranej w ramach poparcia dla MSI. Pierwszą część śpiewają Kubańczycy na emigracji (m.in. Desce-mer Bueno, autor hitu „Bailando”, czy Yotuel Romero z popularnej grupy Orishas). Drugą część nagrali w ukryciu muzycy mieszkający na wyspie. Nawiazali do sztandarowego hasła rewolucji „Ojczyzna albo śmierć”. Piosenka ma miliony odsłon na YouTube. Władza szybko nagrała odpowiedź, utwór „Ojczyzna albo śmierć – dla życia” i lansowała go w telewizji publicznej.

Symbolem aktywistów jest także pięść z kajdankami uniesiona w górę. To ręka

Maykela Osorbo, jednego z autorów „Patria y vida”, rapera i członka grupy MSI. Na wrzuconym do sieci filmie widać, jak ucieka przed policją zakuty w kajdanki. Ludzie krzyczą: „Uciekaj Maykel, uciekaj!”.

Ale na Kubie nie ma dokąd uciec. To wyspa z sąsiedzkimi Komitetami Obrony Rewolucji na każdym osiedlu. Osorbo trafił do więzienia.

Do najbardziej dramatycznego kroku posunął się kolejny członek MSI – Luis Manuel Otero Alcántara. Zorganizował happening, po którym policja weszła do jego domu i skonfiskowała jego obrazy. Otero ogłosił samotny strajk głodowy. Od 2017 r. jest on aresztowany regularnie, np. za zorganizowanie alternatywnego biennale w Hawanie czy za używanie w swoich pracach symboli narodowych w sposób – według władzy – niegodny.

Po ogłoszeniu przez Otero protestu głodowego policjanci najpierw zamknęli jego ulicę, aby nikt nie miał z nim kontaktu, a po jakimś czasie siłą zabrali go tym razem nie do więzienia, lecz do szpitala. Mówili, że ratują mu życie, w telewizji pokazywali polepszające się wyniki jego badań. Tylko że nie można go było odwiedzać, nie można było się z nim skontaktować. W zamknięciu spędził cztery tygodnie.

Jego przyjaciele trafiali do aresztu na parę godzin czy parę dni. – Zatrzymano mnie w drodze do Luisa Manuela. Nie robiłem nic nielegalnego – opowiada mi David D Omni. – Często aresztują mnie na jeden dzień, a potem wypuszczają. Dużo zależy też od tego, jak się zachowujesz: jeśli zaczynasz się stawiać, możesz spędzić w areszcie parę miesięcy.

– Najtrudniej mają osoby, których nikt nie zna, wtedy władza czuje się bardziej bezkarna – dodaje David. – Jak w przypadku Luisa Roblesa, młodego chłopaka, który sam wyszedł z transparentem na ulicę. Robles czeka właśnie na proces, oskarżyciel wnioskuje o sześć lat więzienia. Za napisanie „wolność” na kawałku kartonu.

Żeby nie wracali

„Wyobraź sobie naród, który nie ma praw. A samo wspomnienie o prawach człowieka, promowanie ich, pamiętanie, czytanie o nich, domaganie się ich może cię doprowadzić do niekończącego się labiryntu policyjnego delirium” – te słowa

napisał 8 czerwca na Facebooku artysta Hamlet Lavastida.

Dwa tygodnie później został aresztowany pod zarzutem podżegania do przestępstwa. Powodem miał być przechwycenie przez służby prywatny czat Lavastidy, w którym proponował wypuszczenie banknotów ze znakami MSI i 27N. Pomysł był inspirowany działaniami polskiej opozycji z czasów PRL.

Lavastida często przyjeżdżał do Polski, był rezydentem Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, tutaj mieszka jego syn. Zajmuje się tematami cenzury, narracji historycznej i politycznej. Jego prace można było zobaczyć w CSW Łaźnia w Gdańsku, w galeriach w Nowym Jorku, Chicago, Rio De Janeiro czy Tokio.

Po zakończeniu rezydencji w Künstlerhaus Bethanien w Berlinie Lavastida chciał przyjechać do Warszawy, jednak ze względu na problemy z wizą zmuszony był wrócić do Hawany. Po odbyciu obowiązkowej kwarantanny został aresztowany i przewieziony do Villa Marista – miejsca, gdzie przetrzymuje się więźniów politycznych.

– Aresztowanie Hamleta to wiadomość od rządu dla Kubańczyków mieszkających poza wyspą – opowiada Anamely Ramos. – Żeby siedzieli cicho, nie organizowali się, nie krytykowali publicznie władzy. I przede wszystkim, żeby nie wracali.

Rząd kubański od lat stosuje strategię umożliwiania wyjazdu z Kuby tym, którzy go krytykują. Niepokornych woli trzymać poza granicami swojego państwa. Już od lat 60. XX w. na trwających godzinami wiecach Fidel Castro deklarował: „Kto nie ma serca otwartego na siłę rewolucji – tego nie chcemy, tego nie potrzebujemy”. W kolejnych dekadach emigrantów nazywał pasożytami, robakami, które nie kochają ojczyzny, a popularnym hasłem na Kubie było: „Que se vayan!” – „Niech sobie jadą!”.

– Władza najbardziej boi się tych, którzy wyjeżdżają i wracają. Poznają inny świat, mają kontakt z działaczami spoza wyspy. Tym z kolei uniemożliwia dalsze wyjazdy. Teraz jest na Kubie ok. 200 osób, które nie mogą opuścić wyspy – opowiada Anamely Ramos.

Anamely przebywa dziś na studiach doktoranckich w Meksyku. – Kiedy wróce, mnie też pewnie aresztują – dodaje.



ANAMELY RAMOS, była wykładowczyni na Uniwersytecie Sztuki w Hawanie, w ostatnich miesiącach stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób wśród kubańskich aktywistów.

ARCHIWUM PRYWATNE



LUIS ELIGIO, performer z dawnej grupy Omni Zona Franca, dziś mieszka w Miami, dokąd emigruje większość Kubańczyków. Organizuje tam manifestacje popierające walkę o prawa człowieka na Kubie.

FB / @TONY.DELATORRE264 CANAL41



LUIS MANUEL OTERO ALCÁNTARA jest od kilku lat regularnie zatrzymywany, prowadził też samotnie strajk głodowy. Kiedyś policja skonfiskowała jego obrazy. Tu na zdjęciu na ulicy w Hawanie 7 lipca 2021 r., na cztery dni przed wybuchem protestów.

ARCHIWUM PRYWATNE

Mówmy o dyktaturze!

Osoby wspierające Maykela Osorbo czy Hamleta Lavastidę też były obserwowane. Najbardziej aktywni przebywali w nieoficjalnym areszcie domowym – gdy tylko wychodzili na ulicę, zatrzymywano ich. Policja cały czas stoi pod domem Tanii Bruguery, liderki ruchu N27, a zarazem jednej z najbardziej znanych artystek kubańskich.

Bruguera ma z reguły odłączony internet, telefon komórkowy bez zasięgu. Dzwonię więc do niej na telefon stacjonarny, który czasem działa, a czasem jest odłączany.

Doświadcza ona również tzw. *actos de repudios*, czyli „aktów potępienia”. To kolejne z narzędzi władzy. W latach 80. i 90. XX w. organizowano je powszechnie. Społeczeństwo niby spontanicznie zbierało się pod domami tych, którzy starali się o wyjazd z kraju. Rzucano w nich jajkami, wyzywano. Dziś „akty potępienia” zarezerwowane są raczej dla opozycjonistów i aktywistów.

– Dostrzegam zmianę w ostatnich „aktach potępienia”. Sąsiedzi nie chcą brać w nich udziału, policja sama musi przebierać się za cywilów. I coraz częściej widzę, jak ludzie bronią siebie nawzajem. To daje nadzieję – mówiła mi Bruguera tuż przed ostatnimi protestami.

Zapytałam, co można zrobić, aby pomóc aktywistom na Kubie. – Zacznijmy mówić wprost, że na Kubie jest dyktatura, dość eufemizmów – odpowiedziała.

– Słowa tego używam od niedawna – mówi z kolei Luis Eligio, performer z dawnej grupy Omni Zona Franca. Dziś mieszka w Miami, dokąd emigruje większość Kubańczyków. W Stanach Zjednoczonych organizował manifestacje wspierające MSI. – Nasza generacja potrzebowała lat, aby się przebudzić. Movimiento San Isidro był swojego rodzaju przebudzeniem i dla Kubańczyków poza granicami kraju, i dla opozycji kubańskiej. Wcześniej artyści nie podejmowali strajków głodowych, nie trafiali do aresztów. MSI nas zjednoczył – tłumaczy Eligio.

Zgadza się z nim Anamely Ramos: – Do tej pory opozycjoniści działali sami, byli izolowani przez władzę. Teraz między różnymi grupami – intelektualistami, artystami, opozycjonistami – narodziła się solidarność.

– Widać, że dyktatorska władza boi się bardziej niż wcześniej – dodaje.

© JOANNA SZYNDLER

Halo, tu młodość!

TEKST SZYMON ŁUCYK Z PERPIGNAN (POŁUDNIOWA FRANCJA)
ZDJĘCIA IDHIR BAHA DLA „TP”

Pod palącym słońcem Pirenejów spotkali się w lipcowy weekend sympatycy francuskiej radykalnej prawicy i ich lewicowi przeciwnicy. Jak widzą świat dwudziestolatkowie z różnych stron barykady?

Z NIEBA LEJE SIĘ ŻAR. PRZED WEJŚCIEM do Pałacu Kongresowego w Perpignan, 120-tysięcznym mieście nad Morzem Śródziemnym, wszyscy spływają potem.

W stronę pałacu maszerują grupki 20- i 30-letnich aktywistów Zjednoczenia Narodowego, partii Marine Le Pen, z trójkolorowymi flagami narodowymi. Białe koszule, przyciężkie granatowe marynarki (kolor granatowy dominuje w logo partii). Przyjechali tu z całej Francji, nieprzygotowani na tropikalne upały panujące tuż pod granicą z Hiszpanią. Obok nich – starsi działacze i sympatycy w słomkowych kapeluszach *à la* Maurice Chevalier z trójkolorowymi wstążkami (kapelusz taki można nabyć w partyjnym butik przy wejściu). Patrząc na nich, można by pomyśleć, że jesteśmy na rodzinnym przyjęciu retro, a nie na krajowym zjeździe jednej z największych partii we Francji.

W tym czasie kilkaset metrów dalej ciągną grupki innych młodych ludzi – idą w stronę placu Katalonii w centrum miasta. Zamiast marynarek i krawatów w tym pochodzie królują sfatygowane tiszerty i trampki, kolorowe włosy, dredy. Flagi partii lewicowych i związków zawodowych, tęcze sztandary LGBT, sztandary z żółto-czerwonymi barwami Katalonii (departament, w którym leży Perpignan, to historycznie rzecz biorąc północna Katalonia).

Skoczna muzyka, orszak wibruje, tańczy, po czym wyrusza z placu, aby stawić czoło odbywającemu się w mieście zjazdowi Zjednoczenia Narodowego. Zebrało się tu od tysiąca do trzech tysięcy ludzi – tak podadza potem różne źródła. „Razem przeciw skrajnej prawicy!”, „Perpignan nie jest miastem Le Pen!” – słychać w tłumie.

Przez Pireneje do Pałacu Elizejskiego

Wybór Perpignan na miejsce zjazdu Zjednoczenia Narodowego nie jest przypadkowy. To jedyne obecnie miasto powyżej 100 tys. mieszkańców, gdzie rządzi partia skrajnej prawicy. Od roku merem jest Louis Aliot, przez ostatnie lata jeden z głównych liderów formacji, a prywatnie do 2019 r. także życiowy partner Marine Le Pen, przewodniczącej partii.

Perpignan ma być witryną Zjednoczenia Narodowego: dowodem, że partia potrafi sprawnie zarządzać dużym miastem. Ale prawdziwym celem Marine Le Pen jest zwycięstwo w wyborach prezydenckich wiosną przyszłego roku – i przejęcie władzy w państwie. Ostatnie sondaże wskazują, że do drugiej tury tych wyborów wejdą właśnie Le Pen i obecny prezydent-liberał Emmanuel Macron. Według tych prognoz, w takim starciu zwyciężyć miałby Macron, stosunkiem 57 do 43 proc. głosów.

Do wyborów pozostało jednak dziewięć miesięcy i najtępsi eksperci przyznają, że wszystko może się zdarzyć. Zwłaszcza, że ani lewica, ani tradycyjna prawica nie wyłoniły jeszcze swoich kandydatów. Pojawienie się w tym wyścigu nowego gracza może zburzyć dotychczasowe spekulacje.

Pokolenie Bardelli

„Marine prezydentem!”. Pod szklanymi ścianami Pałacu Kongresowego kilkuset delegatów Zjednoczenia Narodowego zrywa się na równe nogi. Ogłuszające brawa, łopoczące francuskie flagi. Przed chwilą ogłoszono, że działacze partii wybrali ponownie Marine Le Pen na przewodniczącą. Była – to żadna niespodzianka – jedyną kandydatką. Wynik: 98 proc. głosów za. Dziennik „Le Monde”,

niechętny Le Pen, będzie sobie potem pisał, że to „wynik wyborczy w stylu sowieckim”.

Wśród uczestników zjazdu równie często co o Marinie Le Pen mówi się o niespełna 26-letnim Jordanie Bardelli, obecnie eurodeputowanym Zjednoczenia. Nie bez przyczyny: na tym zjeździe to właśnie Bardella zostaje wybrany pierwszym zastępcą Le Pen. Wybór „numeru dwa po Marine” był prawdziwą stawką zjazdu. Bardella walczył o to stanowisko z merem Perpignan, wspomnianym już Louisem Aliotem, dwa razy od niego starszym.

Nicolas Lebourg, politolog badający formację skrajnej prawicy we Francji i Europie, uważa, że Bardella ma być młodą i sympatyczną twarzą Zjednoczenia. To kolejny krok w strategii Le Pen, która polega na budowaniu nowego wizerunku skrajnej prawicy, na odcinaniu się od rasizmu i antysemityzmu jej dawnych przywódców. Nad Sekwaną mówi się o nim, że Bardella ma wygląd „idealnego zięcia”, o nienagannyh manierach, i że to on ma przyciągnąć nowych wyborców, także tych starszych, na ogół niechętnych nacjonalizmowi.

Le Pen rozgrywa kartę młodości. Wiadomo, że partia populistycznej prawicy wygrywa dziś wśród ludzi młodych (od 25 do 34 lat). Według niedawnych sondaży prawie 30 proc. osób w tym przedziale wiekowym chce głosować na Marine Le Pen, a tylko 20 proc. na Macrona, zaś 17 proc. na ultralewicowego Jeana-Luca Mélenchona.

Wielka rodzina Le Penów

Niedługo, we wrześniu, Jordan Bardella faktycznie stanie na czele partii, ponieważ Marine Le Pen zapowiedziała, że na czas kampanii zawiesi szefostwo w Zjednoczeniu. – Wkrótce Bardella stanie się najmłodszym we Francji przywódcą partii. To rzecz bezprecedensowa. Nigdy wcześniej ktoś tak młody nie kierował tu czołową partią – mówi „Tygodnikowi” Lebourg.

Ten szybki awans 26-latką ma też prywatne powody, nie tylko pragnienie pozyskania jeszcze więcej młodego elektoratu. Na tle europejskiej skrajnej prawicy Zjednoczenie wyróżnia się tym, że jest „firmą rodzinną”. Życie partyjne i rodzinne wciąż tu się mieszają.

Front Narodowy stworzył w 1972 r. ojciec Marine, Jean-Marie Le Pen. Córka



Zjazd Zgromadzenia Narodowego właśnie nominował Marine Le Pen (w środku) na kandydatkę na prezydenta Francji w przyszłorocznych wyborach. Perpignan, 4 lipca 2021 r.

przejęła kierowanie partią 10 lat temu, a jej prawą ręką był przez lata wieloletni partner życiowy – czyli Louis Aliot. Także Bardella należy do „wielkiej rodziny” Le Penów, gdyż dwa lata temu związał się z siostrzenicą przewodniczącej. Ma więc ona także osobiste powody, żeby liczyć na jego lojalność.

Na tym nie koniec: nadzieją polityczną rodu jest również wnuczka Jeana-Marie Le Pena, 30-letnia Marion Maréchal. W przeszłości była deputowaną Frontu Narodowego, potem zawiesiła swój udział w czynnej polityce (ale raczej tymczasowo).

Co kryje się za tą młodą i uśmiechniętą twarzą populistów? Marine Le Pen bardzo złagodziła retorykę, od pięciu lat nie mówi już, jak wcześniej, o „Frexicie” ani o wyjściu Francji ze strefy euro oraz ze strefy Schengen. Nie ukrywa natomiast, że chce dokonać radykalnych zmian w Unii od wewnątrz, w sojuszu z innymi europejskimi „suwerenistami” [patrz ramka – red.]. Program Zjednoczenia obraca się od lat wokół trzech tema-

tów: walki z imigracją, islamem i przestępczością.

Mój punkt zwrotny

W kulisach kongresu rozmawiam z młodą działaczką z pokolenia Bardelli. Manon Bouquin ma 29 lat i dwa dyplomy magisterskie: z historii i nauk politycznych. Teraz jest asystentką eurodeputowanej Zjednoczenia w Parlamencie Europejskim.

Do ówczesnego Frontu Narodowego wstąpiła w 2015 r., niedługo po zamachu terrorystów islamskich na redakcję tygodnika „Charlie Hebdo” i supermarket żydowski w Paryżu. – Mieszkalam wtedy w stolicy, blisko miejsca ataku na redakcję i poczułam, że muszę coś zrobić. Pod wpływem tego wydarzenia zapisałam się do Frontu – wspomina Bouquin. – Na początku miałam sporo obaw, że są tam ekstremiści, jak mówią pana koledy, dziennikarze – śmieje się długowłosa brunetka. – Ale okazali się całkiem normalni. Bo my jesteśmy normalni – przekonuje.

Manon Bouquin mówi, że zamach na „Charlie Hebdo” był w jej życiu momentem zwrotnym, ale przyznaje, że na Marine Le Pen głosowała „od zawsze”, to znaczy od kiedy skończyła 18 lat. Jej rodzice byli zwolennikami tradycyjnej prawicy, nie głosowali na Le Pen.

– Mieszkalam na przedmieściach Paryża koło Trappes, gdzie było dużo muzułmanów. Widziałam spustoszenia spowodowane islamizmem, byłam często w autobusie jedyną kobietą nienoszącą chusty muzułmańskiej. Poza tym zawsze uważałam, że mamy wielki problem z imigracją, Unią Europejską, liberalizmem gospodarczym, upadkiem Francji i naszych wartości. I dlatego wybrałam Marine Le Pen – mówi Bouquin.

Manon dodaje, że przed lewicowymi znajomymi ze studiów nie ukrywała swojego zaangażowania w Zjednoczenie i że nie spotkały ją z tego powodu przykrości. – No cóż, wydaje mi się, że ogólnie jestem sympatyczna – uśmiecha się. – Może dlatego do tej pory mam sporo przyjaciół o innych poglądach, →

→ nawet wśród tych, którzy popierają Macrona.

– Jestem dumna, że należę do partii kierowanej przez kobietę. A w parlamencie naszej partii jest coraz więcej kobiet – podkreśla.

Pobity za plakaty

Do naszej rozmowy dołącza Enzo Alias, partyjny kolega i rówieśnik Manon, pochodzący z Marsylii.

Przedsiębiorca, właściciel agencji komunikacyjnej, miłośnik dalekich podróży. Tak jak Manon, jest elegancki i uprzejmy, waży każde słowo. I tak jak Bardella chce reprezentować nowe pokolenie partii, jak najdalsze od stereotypu bojówkarzy skrajnej prawicy z wygolonymi głowami, którzy otaczali niegdyś Jeana-Marie Le Pena.

Enzo Alias popiera Le Pen od chwili, gdy osiągnął dojrzałość, a do partii należy od ośmiu lat. – To był mój wybór. Rodzice nie interesują się polityką. Najbardziej spodobała mi się wizja Francji Frontu Narodowego i osobowość Marine Le Pen. Gdybym się nie zaangażował, to czułbym, że przykładam rękę do upadku Francji – tłumaczy.

Enzo twierdzi, że z powodu przynależności partyjnej spotkały go wiele razy groźby, nawet pozbawienia życia, i że z ich powodu cała rodzina – Enzo jest żonaty, ma czteroletnią córkę – musiała zmienić miejsce zamieszkania.

W czerwcu tego roku kandydował po raz pierwszy w wyborach samorządowych w departamencie Bouches-du-Rhône (bez powodzenia). Lokalny dziennik „La Provence” donosił, że w trakcie rozlepiania plakatów w Arles Aliasa zaatakowali przechodnie. Pobity pałką teleskopową, Enzo trafił do szpitala. Obrażen doznał też towarzyszący mu działacz niemieckiej AfD, który wraz z grupą kolegów przyjechał do Francji, by wspierać lepenistów. Policja zatrzymała sprawców; byli to mieszkańcy miasta nienależący do żadnej partii.

– Ta napaść tylko wzmacnia moje przekonania. Gdybym teraz opuścił partię, przyznałbym rację agresorom – mówi Alias.

Pytany, dlaczego do udziału w kampanii w wyborach regionalnych zaprosił ludzi z AfD, Alias mówi, że łączy ich podobna wizja polityczna, przede wszystkim chęć zastopowania imigracji.



Maud jest pracowniczką sezonową w fabryce, sympatyzuje z lewicą. Perpignan, 4 lipca 2021 r.



Młodzi aktywiści Zjednoczenia Narodowego, Enzo Alias i Manon Bouquin, Perpignan, 3 lipca 2021 r.

Działacze Zjednoczenia nie różnią się zbytnio od francuskiego mainstreamu, gdy idzie o kwestie obyczajowe. Nie chcą ruszać ustawy o aborcji, która we Francji zezwala na przerwanie ciąży na życzenie do 12. tygodnia (Alias mówi wręcz: „Każda kobieta ma prawo decydowania o własnym ciele”) i są za za-

chowaniem małżeństw homoseksualnych zalegalizowanych osiem lat temu (Bouquin: „Osobiście manifestowałam przeciw małżeństwom homoseksualnym, ale skoro to przegłosowano, nie chcę tego zmieniać”).

Paradoksalnie, poglądy przedstawicieli francuskiej skrajnej prawicy w sprawie

aborcji czy związków homoseksualnych sytuują ich w okolicy polskiej lewicy. Choć pod względem stosunku do Unii Europejskiej czy imigracji bez wątpienia bliżej im do sympatyków PiS.

Od małego na lewicy

Kevina Courtois, z niesforą blond czupryną spadającą na czoło, spotykam najpierw na manifestacji przeciwko Zjednoczeniu. Wieczorem widzę go znów w jego pracy, w prowadzonym przez niego barze kulturalnym L'Atmosphère Bella Ciao w centrum Perpignan. Organizowane są tu koncerty, ale też dyskusje polityczne, w których biorą udział ludzie z miejscowych środowisk lewicowych.

Courtois, który wraz ze współnikiem przejął bar w ubiegłym roku, jest działaczem ekologicznym. Te dwie strony jego aktywności dobrze się uzupełniają.

– W naszym barze mamy swoje wartości: bronimy rolnictwa ekologiczno-lokalnego i podajemy tylko biożywność. Oprócz tego związane z nami stowarzyszenie serwuje tzw. solidarne posiłki wegetariańskie z niesprzedanych produktów ekologicznych podarowanych nam

przez zaprzyjaźnione sklepy. Zasadą jest, że każdy płaci za nie tyle, ile chce, według swoich możliwości – mówi Kevin.

Ma 28 lat, urodził się w regionie paryskim, ale w Perpignan mieszka prawie całe życie. Zaczął chodzić na manifestacje, gdy miał 16 lat. Zaangażował się po stronie lewicy: w obronę imigrantów, którzy przybyli tu nielegalnie, we wspieranie praw pracowniczych i osób LGBT; chodził też w marszach dla klimatu. W ubiegłym roku przed lokalnymi wyborami przystąpił do tutejszego sojuszu obywatelskiego, który próbował powstrzymać dojście do władzy w mieście skrajnej prawicy. Nie udało się, zwyciężył wtedy Louis Aliot.

Program ekologicznej odnowy

Od tego czasu Kevin Courtois zapisał się do francuskich Zielonych (EELV), żeby – jak mówi – skuteczniej walczyć o lewicowe idee w mieście.

Choć jest zagorzałym przeciwnikiem skrajnej prawicy, przyznaje, że nowy mer energicznie wziął się do walki z przestępcami.

– Prawdziwą zmianą jest to, że zwiększył liczbę policjantów, widać ich wszę-

dzie. Aliot potrafi też wykorzystać prasę i media społecznościowe. Ale jeśli chodzi o demokrację lokalną, przejrzystość władzy, problem z transportem miejskim, tu nic się nie zmienia. W niektórych dzielnicach Perpignan nie ma pojemników do segregacji śmieci. Jesteśmy 20 lat do tyłu, to katastrofa! – oburza się.

– To ważne, że dziś dużo ludzi wyszło na ulicę, żeby powiedzieć „nie” skrajnej prawicy – zaznacza Kevin Courtois. – Zresztą w czerwcowych wyborach regionalnych Zjednoczenie Narodowe przegrało, nie zdobyło żadnego z trzynastu regionów Francji, a w naszym departamencie Wschodnie Pireneje nie ma żadnego radnego. Ale nie znaczy to, że można ich lekceważyć.

Barman-ekolog uważa, że choć Zjednoczenie stara się budować wizerunek formacji nowoczesnej i sympatycznej, nadal jest skrajne i groźne dla demokracji. Dodaje, że w otoczeniu przewodniczącej jest wielu działaczy, którzy byli wiernymi „adiutantami” Jeana-Marie Le Pena, wielokrotnie skazywanego za rasistowskie i antysemickie wypowiedzi.

A jak Kevin widzi przyszłość Francji? – Różne prognozy mówią, że za 10, może →

Czy przetrwa sojusz Le Pen z Kaczyńskim?

W przeddzień kongresu Zjednoczenia Narodowego w Perpignan 16 partii prawicowych z różnych krajów ogłosiło podpisanie wspólnej deklaracji „o przyszłości Europy”; wśród sygnatariuszy prócz partii Marine Le Pen są m.in. PiS, węgierski Fidesz, włoska Liga Salviniiego czy austriacka FPÖ. Deklaracja ma być „kamieniem węgielnym” pod budowę wielkiego prawicowego sojuszu w Parlamencie Europejskim. Deklaracji nie podpisały niektóre partie o podobnym profilu, jak niemiecka AfD czy Szwedzcy Demokraci. Dla „Tygodnika” sojusz ten komentuje Nicolas Lebourg, francuski historyk i analityk.

SZYMON ŁUCYK: Dlaczego w tym momencie doszło do zbliżenia partii prawicowo-populistycznych?

NICOLAS LEBOURG: Uważam, że bezpośrednią przyczyną jest tu konflikt Fideszu Viktora Orbána z Europejską Partią

Ludową w Parlamencie Europejskim i opuszczenie przez niego w marcu grupy EPL. To sprawia, że Orbán szuka sojuszników. Chce uniknąć izolacji w Europie i pokazać, że ma „kolegów” w Unii, żeby nie mówiono mu: „Jesteście okropnymi nacjonalistami i wasze rządy wywołają katastrofę”. Z tych samych powodów ten sojusz jest też niezbędny dla Marine Le Pen, która walczy o prezydenturę i chce przekonać Francuzów, że nie jest w Europie outsiderką.

Czy ten taktyczny sojusz ma szanse przetrwać?

W minionych latach wiele razy Front Narodowy [poprzednik Zjednoczenia Narodowego – red.] próbował zawierać w Parlamencie Europejskim różne sojusze z PiS i nigdy nic z tego nie wyszło. Nie sądzę, żeby tym razem było inaczej. Myślę, że przymiery między nacjonalistami polskimi i francuskimi szybko eksploduje.

Przeszkodą jest prorosyjskość Marine Le Pen? Podczas kongresu w Perpignan przekonywała, że nie jest „przyjaciółką” Putina, i że chce równego dystansu Europy wobec USA, Rosji i Chin.

Sojusz Le Pen z Kaczyńskim wydaje się nie do utrzymania na dłuższą metę. Zjednoczenie Narodowe zaciągnęło w ubiegłych latach milionowe pożyczki w rosyjskich bankach i do tej pory ich nie spłaciło. W dodatku właśnie teraz w skład zarządu Zjednoczenia wszedł Thierry Mariani, który zbudował swoją pozycję na interesach z Moskwą.

Bardzo wątpię też, że powstanie jakaś wspólna grupa w PE między sygnatariuszami „deklaracji szesnastu”. I wątpię także, żeby po wyborach prezydenckich wiosną 2022 r. Le Pen przejmowała się jeszcze tą umową z Orbánem, Kaczyńskim i innymi.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

→ 15 lat grozi nam wielki kataklizm ekologiczny. Państwo musi odegrać centralną rolę w rzuceniu pakietu środków, żeby przestawić gospodarkę na ekologiczną tory. To jedyne wyjście, żeby stworzyć trwałe „zielone” miejsca pracy.

Dodaje: – Teraz musimy wyłonić jednego lewicowego kandydata, który uniesie program ekologicznej odnowy. Nie wiem, kto nim będzie. Ale musimy go znaleźć, żeby nie powtórzył się za rok ten ponury duet z roku 2017: Le Pen kontra Macron.

Moi znajomi nie głosują

Przy innym stoliku w L'Atmosphère siedzi 25-letnia Maud. Lekka powłóczysta suknia, kręcone hebanowe włosy, żywe brązowe oczy. Śniadą południową cerę ma być może po dziadkach, którzy jako przeciwnicy reżimu generała Franco schronili się na południu Francji (podobnie jak setki tysięcy innych Hiszpanów).

Rodowita mieszkanka Perpignan, chodziła do szkoły dwujęzycznej, katalońsko-francuskiej. Mówi po katalońsku, jak wielu mieszkańców tej części Francji. Od kilku lat odradza się tu szkolnictwo w języku regionalnym (według prasy lokalnej około tysiąca dzieci uczy się dziś we Francji w szkołach podstawowych i gimnazjach, gdzie jedynym językiem jest kataloński). Zwolennicy autonomii francuskiej części Katalonii (tzw. Katalonii północnej) oskarżają mera Aliota, że



Kevin Courtois, współwłaściciel baru i ekolog, zaczął chodzić na lewicowe demonstracje jeszcze jako nastolatek. Tu przed swoim barem w Perpignan, lipiec 2021 r.

chce likwidować tożsamościową odrębność tego regionu.

Maud zaczęła studia z antropologii w Tuluzie, ale rzuciła je po dwóch latach. Jak mówi, zapragnęła być zupełnie wolna. Teraz sezonowo pracuje w fa-

bryce przy produkcji opakowań, żeby zarobić na życie. I ma mnóstwo pomysłów na przyszłość: otwarcie gabinetu medycyny naturalnej, uprawa ziemi, droga artystyczna... Na razie nie wie, co wybrać.

– Gdyby mnie było na to stać, tobym żyła z procentów i zajęła się sztuką – rzuca z figlarnym uśmiechem.

Jak wielu rówieśników, gdy była w liceum i na studiach, chodziła na różne manifestacje, głównie antykapitalistyczne. Pochodzi z rozpolitykowanej rodziny: jej ojciec i dziadek byli komunistami, matka głosowała na radykalną lewicę.

– Wśród moich znajomych prawie nikt nie głosuje – przyznaje Maud. – Mówią, że wszystko jedno, kto rządzi, bo rządzący są skorumpowani. Ja chodzę na wybory, bo uważam, że nawet jeśli ta demokracja jest fasadowa, bo o wielu rzeczach powinno się decydować w referendum, to jest lepsza niż dyktatura, od której uciekli moi dziadkowie. A jak ktoś nie głosuje, to jakby sam pluł sobie do zupy.

Maud śledzi politykę, ale nie ma ochoty być działaczką. Ma inne priorytety. – Jak będę miała pieniądze, kupię sobie kawałek ziemi, panele słoneczne, będę jeść warzywa z własnego ogródka i hodować konie – marzy. – Jestem za tym, żeby każdy mógł się sam wyżywić, żeby mógł wrócić do ziemi, o ile tylko chce. W tym sensie jestem za ekologią.

A jeśli ona wygra?

Ostatnio Maud głosowała na Zielonych, choć zwykle wspiera partie radykalnie lewicowe. Mówi, że jej wybór zależy ostatecznie nie tylko od poglądów, ale bardziej nawet od osobowości kandydatów.

– A co myślę o Marine Le Pen? – powtarza pytanie. – Ona nie wydaje mi się kimś, kto naprawdę wierzy w idee. Przede wszystkim uważam, że nie jest tak niebezpieczna, jak się mówi, bo nigdy nie wygra. W drugiej turze pokona ją Macron czy konserwatywna prawica.

– A jeśli jednak wygra? – dopytuje.

– Może i tak będzie lepiej, bo kiedy będzie miała władzę, to zobaczymy, ile jest naprawdę warta. I wtedy moi znajomi, którzy z zasady nie głosują, zrozumieją, że warto się ruszyć, i że nie jest obojętne, kto nami rządzi – kwituje Maud nad filiżanką kawy.

© SZYMON ŁUCYK

Z wielkim zalem zawiadamiamy, że 6 lipca 2021 r. odszedł

Jean Baisnée

Urodzony 16 września 1931 r., oddany przyjaciel Polski i Krakowa, nauczyciel, dyplomata, tłumacz, pisarz, znawca kina.

Dyrektor Instytutu Francuskiego w Krakowie w latach 1981–1985, 5 maja 2014 r. odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za działalność na rzecz Solidarności i opozycji demokratycznej w latach stanu wojennego.

Tracimy wiernego i serdecznego Przyjaciela.
Żonie, Dzieciom i Wnukom składamy wyrazy współczucia

„TYGODNIK POWSZECHNY” I PRZYJACIELE Z KRAKOWA

HISTORIA



Stanisław Furgała – syn Franciszka, ocalonego z pacyfikacji – przy pomniku ofiar i mogile, w której leżą także jego krewni. Szarajówka, lipiec 2021 r.

BYŁA SOBIE WIOSKA

Gdy Maciej Mołda wrócił, w schowku pod studnią odnalazł Marysię. Wyglądała, jakby spała, ze szmatką przy twarzy. Widocznie dym szedł nisko i nie mogła oddychać.

TEKST I ZDJĘCIA **ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK**

BYŁ 18 MAJA 1943 r., WTOREK, GDY ośmioletni Staś wyszedł z krowami o świcie. Na drogę wziął podpłomyki upieczone na piecu. Staś mieszkał w Różańcu, a tutaj, w Szarajówce, pomagał swojej babci w gospodarstwie.

Tego ranka na drodze minęły go dwie czternastolatki, Ania i Marysia. Niosły węzłki na targ do pobliskiego Tarnogrodu (to dwie godziny drogi piechotą). Staś odprowadził je wzrokiem, zerknął na krowy, zamachał do syna sąsiadów, Senderka, i ułożył się na łące.

Obudził go hałas. Zobaczył jadące furmanki, a na nich ludzi w mundurach. A także wracające szybko obie dziewczyny. Chyba zapomniały o serze, który chciały sprzedać na targu, biegły do domu. Ledwie zniknęły mu z oczu, Staś zobaczył, jak kordon otacza wieś.

To wtedy do chaty Franciszka Furgały załomotała pani Rojowa: „Chłopy, chowajcie się, Szwaby wieś otoczyli, ino od strony Chmielka wolna droga”. Franciszek wybiegł tak jak stał i ukrył się w zbożu. Władysław Wierzbowski chciał iść jego śladem, ale spóźnił się, wieś była otoczona. Schował się więc w stodole Konstantego Podśady, wraz z jego dwoma synami.

Marysia ukryła się obok drewnianej studni – jej ojciec, Maciej Mołda, zbudował tam rodzaj schronu. Anna i inni mieszkańcy zostali zapędzeni na plac naprzeciw gospodarstwa Teodora Saniuka. Tu zaczęło się bicie mężczyzn, by wymusić zeznania. Okrzyk „Oddajcie broń, bandyci!” dobiegał z różnych stron. Gdy jedna z kobiet nie chciała wyjść z domu, została powieszona na progu, na końskiej uprzęży.

Osada wśród lasów

Szarajówka to mała wieś otoczona lasami, dziś w powiecie biłgorajskim. Wtedy i dziś w gminie Łukowa. Według spisu powszechnego w 2011 r. liczyła tylko 26 mieszkańców. W 1943 r. była liczniejsza: miała osiemnaście numerów, a mieszkali w niej katolicy i prawosławni. Razem dwadzieścia rodzin.

Domy były biedne, kryte strzechą. Tylko gdzieś tam trafiały się mury obory z dachówką; taką postawił np. Jan Mołda. Tu dzieci od małego pomagały w pracach. Władysław Wierzbowski wspominał potem: „Jak miałem 14 lat (...) nadawałem snopy do maszyny. Za dniówkę dostawałem 60 groszy, kiedy czapka na targu w Tarnogrodzie ➔

→ kosztowała 1 zł 10 groszy, musiałem na nią pracować dwa dni. W każdej rodzinie było kilkoro dzieci, więc chodziły po służbach u bogatych gospodarzy”.

Okoliczna puszcza, jeden z większych kompleksów leśnych w Polsce, widziała wiele; podczas powstania styczniowego obozowały tu oddziały, które z pobliskiej Galicji przeszły do zaboru rosyjskiego. Teraz dawała schronienie partyzantom – chętnie obozowali w pobliskiej Puszczy Solskiej. Mieszkańcy pamiętają dziś, że w Szarajówce mimo biedy nie odmawiano pomocy „chłopcom z lasu”: dzielono się jedzeniem, choć ludzie sami często chodzili głodni.

Czy pogłoski o tej pomocy dotarły do Niemców? W każdym razie 1 grudnia 1942 r. żandarmeria i Schupo (Policja Ochronna) otoczyły wieś. Za „pomoc bandytom” Niemcy aresztowali 13 mężczyzn. Czterech puścili, a pozostałych dziewięciu trafiło do obozu na Majdanku, z którego po jakimś czasie wróciło trzech. Wśród nich Wierzbowski, który wspominał: „Jak nas zwolnili, miałem niespełna 23 lata. Byłem cieniem człowieka, odmrożone nogi, zatruty organizm, częściowo głuchy. Do domu wróciłem w marcu 1943 roku”. Gdy więc teraz znów zobaczył Niemców, postanowił, że żywego go nie wezmą.

Wcześniej

Pacyfikację Szarajówki poprzedził atak na posterunek żandarmerii w Tarnogrodzie, który ostrzelano. Niemcy nie mogli wezwać pomocy, bo łączność została odcięta, jednak wsparł ich oddział ukraińskiej policji dowodzony przez Wołodymyra Darmochwałę (w tym regionie liczne były już posterunki ukraińskiej policji pomocniczej w służbie niemieckiej). Atakującym udało się jednak zabrać 100 tys. złotych z Okręgowego Związku Spółdzielni Rolniczych.

Odpowiedzialnością za atak na posterunek obarczono Iwana Kaniuka z Chmielka, który dowodził grupą kilkunastu osób; nie był on związany z żadną podziemną formacją wojskową, działał na własną rękę. Ktoś doniósł, że mieli mu pomagać mieszkańcy Szarajówki, i to prawdopodobnie wystarczyło, aby rankiem 18 maja 1943 r. wioskę otoczyli Niemcy i Ukraińcy – członkowie 5. kompanii II batalionu z 25. Pułku Policji SS. W okolicy zwano ich „darmochwałcami” od nazwiska dowódcy, który słynął z okrucieństwa.



Potomkowie ocalonych z pacyfikacji mieszkańców wsi (od lewej): Stanisław Furgała, Jan Mołda i Tadeusz Jamroz. Szarajówka, lipiec 2021 r.



Jan Mołda, potomek ocalonych z pacyfikacji, z wnuczką Patrycją na podwórzu gospodarstwa, gdzie zginęli mieszkańcy Szarajówki. Betonowa studnia stała w miejscu drewnianej, tu szukała schronienia Marysia. Lipiec 2021 r.

W pacyfikacji brały udział także oddziały Policji Ochronnej z Biłgoraja.

Władysław ucieka w pole

Wież była już otoczona, nikt nie mógł się wydostać. Było po dziesiątej.

Staś postanowił ratować babcię. Poganiając krowy, ruszył w stronę domu. Niemiec odganiał go kilka razy, nie chciał przepuścić, w końcu dał za wygraną. Krowy zarekwirowali mu od razu, a Stasia wraz z innymi zamknęli w oborze.

Żandarmi i policjanci wybrali budynki w gospodarstwach Macieja Mołdy, Józefa Klecha i Stanisława Krzeszowca. Zaryglowali drzwi. W ostatniej chwili Anastazja Paczwa wyrwała się na podwórze. Dosięgła ją kula.

– Ile to jest w człowieku krwi? Kałuża stała kilka godzin – wspomina dziś Stanisław, syn Franciszka Furgały, ocalonego z pacyfikacji. – Wiatr był ze wschodu, dym szedł nisko, budynki nie chciały się zająć. Szwabcy obkładali je słomą, podlewali benzyną.

Franciszek Furgała siedział ukryty w zbożu. Słyszał krzyki, ale dopiero wi-

dok pożaru wprowił go w osłupienie. Gdy zamknięci w płonących budynkach ginęli, niemieccy i ukraińscy policjanci grabili domy, gromadzili inwentarz.

Wierzbowski uznał, że lepiej zginąć od kuli niż w płomieniach. Stodoła, w której się ukrył, zajęła się ogniem. Wyczołgał się i uciekł w pole. „Wkrótce ucichły jęki, krzyki i wołanie o pomoc palonych żywcem kobiet i dzieci, wkoło rozlegał się jedynie trzask ognia i poczułem swąd ludzkich ciał bardzo dobrze mi znany z obozu na Majdanku” – zapisał we wspomnieniach (Wierzbowski zmarł w 2002 r.). Wraz z nim ze stodoły uciekli synowie Podsady (przeżyli wojnę i wyjechali na Ukrainę; to była rodzina ukraińska).

Ciężar ocalonych

Niemcy i Ukraińcy odeszli po południu. Wieczorem do Szarajówki zbiegli się mieszkańcy sąsiednich osad. Franciszek Furgała wyszedł ze zboża. W oborze Mołdy znalazł spalone ciało żony, która zasłoniła sobą ich małego Janka; obok leżały zwłoki ich ośmioletniej Wandy. Jego syn Stanisław, urodzony już po wojnie, wspo-

mina: – Ojciec tułał się podczas wojny, uciekł do Jastrzębca [miejscowość koło Leżajska – red.], tam też chcieli go Niemcy zabić, potem mieszkał trochę u siostry. Dopiero po 16 latach wrócił na rodzinną ziemię. Ożenił się drugi raz. To, co przeżył, dusił w sobie. Nie chciał o tym opowiadać.

Ciężar tego dnia przysięgnął ocalonych. Nie mogli pogodzić się z tym, co się stało.

Maciej Mołda, który wraz z synem od rana pracował w polu – dzięki temu przeżyli – walczył wcześniej na frontach I wojny światowej, ale takie okrucieństwo, jakie zobaczył na własnym podwórku, nie mieściło mu się w głowie.

– Z naszej rodziny spaliło się czworo. Tak się w świecie przyjęło, że chłop staje w obronie słabszych, kobiet i dzieci. A Niemcy im rodziny na ich oczach spalili żywcem. I żadnej kary za to nie było – Jan Mołda, wnuk Macieja, pokazuje podwórce, gdzie to się wydarzyło.

Gdy Maciej wrócił wtedy z pola, zastał zgłiszczą. Wśród zwęglonych zwłok szukał żony i dzieci. Pod studnią w schowku znalazł Marysię. Wyglądała, jakby spała. Przykładała do twarzy szmatkę. Widocznie dym szedł faktycznie nisko i nie mogła oddychać.

Bez kary

18 maja 1943 r. w Szarajówce zginęła większość mieszkańców, łącznie 67 osób: 58 spłonęło żywcem (w tym siedmioro dzieci), a dziewięć zginęło od kul. Jan Fur-

gała, najmłodsza ofiara, miał kilka miesięcy. Uratowali się tylko ci, którzy uciekli w pola, a także kilkoro dzieci, które były akurat w sąsiedniej miejscowości. Szczątki zabitych pochowano w zbiorowej mogile, nad którą w latach 60. stanął pomnik oraz krzyże i tabliczki z nazwiskami.

Swoją ma także Staś, choć podano tylko jego imię i wiek. Mieszkańcy przypuszczali, że był z rodziny Paczwów, ale to tylko przypuszczenia – tym, co przeżyli, trudno było ustalić dane wszystkich zwęglonych ofiar. Opisana powyżej historia Stasia jest prawdziwa – opowiadał ją później jego kolega Senderek, który przeżył, a jego relację przekazał mi Stanisław Furgała (Senderek wspominał, że chciał powstrzymać Stasia, by nie szedł do wsi, ale ten się uparł).

Winnych zbrodni nie udało się ukarać. Pierwsze śledztwo rozpoczęła prokuratura z Biłgoraja w 1968 r., ale rok później zamknęła je bez efektu. W 2001 r. pion śledczy IPN z Lublina wrócił do sprawy. Ustalono ostateczną liczbę ofiar (przede wszystkim tu różne szacunki) i wskazano, że w zbrodnię miał być zamieszany Aleksander Telekało, konfident działający na tym terenie (zmarł on jeszcze podczas wojny). Śledczy próbowali ustalić, co stało się z Darmochwałem, który podobno uciekł pod koniec wojny i ślad po nim zaginął.

Śledztwo zawieszono, po czym w 2015 r. IPN w Lublinie podjął je ponownie, aby wkrótce ostatecznie umo-

rzyć – sprawcy, jeśli przeżyli wojnę, na pewno już nie żyli.

Był dom

W poniedziałek 12 lipca w Szarajówce odbyły się obchody Dnia Walki i Męczeństwa Wsi Polskiej, centralne na terenie województwa lubelskiego. To nowe święto, ustanowione przez Sejm w 2017 r. ku pamięci cywilnych mieszkańców wsi i ich losów podczas II wojny światowej [patrz ramka – red.]. Były rodziny, msza i uroczystość pod pomnikiem. „Opatrzność lub zwykły przypadek sprawił, że pradziadek przeżył, z nim przeżyła też ta historia naocznego świadka, a dzięki temu, że pradziadek przeżył, żyję także ja” – mówił Jakub Buczko, tegoroczny absolwent psychologii na UJ, prawnuk Władysława Wierzbowskiego.

Po wojnie Wierzbowski nie chciał tu żyć. Zamieszkał w Chmielku: to wieś położona niedaleko, także w gminie Łukowa.

Anna Buczko, mama Jakuba, pamięta dziadka Władysława jako osobę pogodną. Od dziecka chodziła wraz z nim na mogiłę w Szarajówce. Pamięta, że gdy dziadek zabierał ją tam po raz pierwszy, miała chyba nie więcej niż sześć lat. Zobaczyła miejsce, gdzie żyła kiedyś jej rodzina. – Był dom, nie ma domu. Został jedynie pagórek porośnięty trawą – mówi dziś Anna Buczko.

– Dziadek dziękował Bogu za każdy dzień życia – dodaje.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Do gołej ziemi

12 LIPCA JAKO DATĘ UPAMIĘTNIAJĄCĄ losy mieszkańców polskiej wsi podczas II wojny światowej wybrano nieprzypadkowo: tego dnia w 1943 r. Niemcy zaczęli pacyfikację wsi Michniów w Świętokrzyskiem. Za wspieranie leśnych oddziałów AK, dowodzonych przez por. Jana Piwnika „Ponurego”, zginęło ponad 200 mieszkańców.

W rozkazie Heinricha Himmlera jeszcze z 28 lipca 1941 r. na temat zwalczania ruchu oporu pojawia się dyspozycja, by rozstrzeliwać wszystkich podejrzanych



Oddział „darmochwalców”, ukraińskiej policji w służbie niemieckiej. W środku w białej koszuli dowódca Wołodimir Darmochwał. Zdjęcie wykonane w roku 1943 lub 1944.

o wspieranie podziemia, stosując odpowiedzialność zbiorową, a „wsie spalić aż do gołej ziemi”. Łącznie podczas niemieckiej okupacji na terenie obecnej Polski spacyfikowano ok. 800 wiosek (liczba ta nie obejmuje miejscowości na ziemiach

wschodnich II RP, zniszczonych przez Niemców, Sowieców bądź UPA). Czasem podczas pacyfikacji ginęło kilkanaście osób, a czasem niemal wszyscy; np. w sześciu wsiach w Lasach Janowskich w lutym 1944 r. zginęło ok. 1300 ich mieszkańców.

Teren, gdzie leży Szarajówka, w latach 1942-43 objęty był też akcją wysiedleńczą: na Zamojszczyźnie, gdzie miał powstać niemiecki obszar osadniczy, wysiedlono prawie 300 polskich wiosek, liczących 110 tys. mieszkańców. Z kolei w czerwcu 1944 r. Niemcy przeprowadzili tu dwie duże akcje przeciwpartyzanckie, „Sturmwind I” i „Sturmwind II”; ich celem było „oczyszczenie” zaplecza frontu z licznych tu oddziałów leśnych, głównie AK i BCh.

Po wojnie żaden Niemiec nie został ukarany za zbrodnie na polskich wsiach. Nie było też żadnego zadośćuczynienia. © ELP

HANNA

Krall: Wanda



BYŁA PRZEDWOJENNA.

Nie, nie stara, tylko nietknięta, nie-naznaczona Peerelem.

Przedwojenne były jej dywany, maniery, przyjaźnie i biżuteria.

Na jej wieczorkach tańczyło się z przedwojennymi panami i nawet kuśnierz, który szył jej futra, był przedwojenny.

– I co, panie, robicie z futrami w tym sezonie? – spytała kiedyś Wiesię i mnie. Strasznie się zawstydziliśmy. Żadna nie miała futra, w kozuchach chodziliśmy, takich z Nowego Targu.

Zyta i Baśka Sadowska zobaczyły ją w sądzie – był stan wojenny, szły na proces Huty albo Ursusa. Oniemiały na widok jej futra do kostek i futrzanego kapelusza z wielkim rondem. Próbowwała się usprawiedliwić: – Skromniejsze jeszcze się szyje...

W tym kapeluszu i futrze, w szpilkach i pończochach nylonowych poszła do Pałacu Mostowskich wezwana na przesłuchanie. Nie wróciła do domu, z Pałacu odwieźli ją do Białoleki.

Poszłam do Fela, roztrzęsiony nieco szykował paczkę. Wyjmował z szafy koronkowe koszule nocne, przezroczyste peniary... Felu, mówiłam, w więzieniu przyda jej się coś cieplejszego, poszukaj pizamy, flanelowej najlepiej. Flanela? Felo był zaskoczony. Wandzia nie nosi czegoś takiego.

Peerel, owszem, był, ale w tekstach. Tych poważnych, prawniczych, które pisała dla „Polityki”. Felietony w „Przekroju” były jak kryminałki z przedwojennych gazet, z „Kuriera Czerwonego” albo z „Tajnego Detektywa”.

– Niech Bóg ma cię w swej opiece! krzyknął, a w jego ręku błysnął nóż – pisała w felietonie „Nóż i apatia”.

W „Listach Maniusia” oskarżony włamywacz słał listy do pani prokurator. Przebaczam pani, bo jest pani bardzo ładna, pisał. Co do ładności jest pani niczego sobie, tylko nerwowa pani jest. Szkoda, żeby taka ładna kobieta zmarowała się z powodu nerw, troszczył się o panią prokurator włamywacz Manius i z całego serca zalecał jej natychmiastową kurację.

W felietonie „Ja się rozwodziłam?” mąż przyszedł na sprawę rozwodową z kobietą, która jego żoną bynajmniej nie była (usługa rozwodowa kosztowała tysiąc), w „Apatii i nożu” wóz z uzbrojonymi po zęby milicjantami już mknął na miejsce zbrodni, w felietonie „Czy Anna jest panną?”... i tak dalej.

Sprawą na serio był Hortex: dwunastu oskarżonych, dwudziestu obrońców, pięćdziesiąt tomów akt. Zastanawiała się, czym jest w polskim prawie zabór mienia. Pod wpływem jej rozważań prokuratura odstąpiła od połowy zarzutów. Zostały łapówki, które prywatni ajenci dawali swoim państwowym zwierzchnikom.

– Agent może nie dawać? – pytał mnie, raczej retorycznie, główny oskarżony Eugeniusz W.

W celi rozmawialiśmy, na Mokotowie. W obecności panów kapitana i sierżanta. Nie przeszkadzali, na odwrót, pomocni byli. Kiedy Eugeniusz W. próbował podzielić cztery miliony przez pięć lat, sierżant wiedział pierwszy: siedemdziesiąt tysięcy.

Tyle zarabiał Eugeniusz W. miesiąc w miesiąc. A jego państwowy szef, dyrektor Hortexu, ledwie osiemnaście. To Eugeniusz W. wypłacał szefowi dodatkową pensję. I głównemu specjalście wypłacał. I głównemu księgowemu. I dyrektorowi sanepidu...

Skazano go. Odsiedział. Wyjechał. Prowadził wykintne restauracje w Berlinie i Wiedniu.

Odwiedzałyśmy go czasem, i Wanda, i ja. Miło się rozmawiało, chociaż nostalgicznie. O cocktail-barze na Krupówkach, pierwszym w Polsce (tak, to Eugeniusz W. go założył) i w ogóle o sztuce cukierniczej. Eugeniusz W. był bowiem artystą. Egzamin czeladniczy zdawał z rolady owocowej, ale jego powołaniem były ambrozja i melba. Po nocach potrafił nie spać rozważając, gdzie orzechy w melbie mają być, na wierzchu czy na spodzie. I skąd wziąć te orzechy. I komu trzeba będzie za nie płacić. A Berlin... no cóż. Rutyna pozbawiona emocji.

„Z meldunku operacyjnego Komendy Stołecznej MO. Uzyskano informacje, że figurant organizuje wieczorki autorskie określane mianem niezależnej kultury. Jeden z wieczorków poświęcony był Wiktrowi Woroszyłskiemu. Na spotkaniu byli przedstawiciele młodego pokolenia, których nazwisk nie ustalono, oraz dwie redaktorki z »Polityki«, Hanna Krall i Wanda Falkowska”.

„Wieczorki” miały odbywać się na Bródnie, ale Dom Kultury w ostatniej chwili odwołał zgodę. Ludzie stali przed zamkniętymi drzwiami, lał deszcz, było zimno, ktoś powiedział: – To chodźmy do mnie.

Poszli na Puławską dziesięć, na piąte piętro.

Pierwsze spotkanie było ze Stanisławem Barańczakiem, drugie z Wiktorem Woroszyłskim.

Był tłok, zabrakło krzeseł, siedzieliśmy na podłodze. Poeta czytał wiersze.

Jesteś więc boisz się Nie mów nie
Masz w sobie to drzenie
Ten odruch żeby cofnąć się wieczorem
Spod drzwi własnego domu...

Trochę rozpraszały nas rozbiegane dzieci gospodarzy. Domyślaliśmy się, że są wychowane bezstresowo i że tak się chowa dzieci w Ameryce. Z Ameryki przyjechała gospodyni mieszkania, wnuczka Melchiora Wańkowicza.

Była wysoka, ładna. Nosiła dzinsowe ogrodniczki i dużo koralików. Uśmiechała się do wszystkich. Była swobodna, wesoła.

Była... taka wolna. Taka inna niż wiersze, które czytał Wiktor Woroszyński.

Spotkanie skończyło się przed północą.

Rano poszłam do redakcji.

Sekretarka zawiadomiła, że pyta o nas naczelną, o mnie i o Wandę.

Na biurku Rakowskiego leżała jakaś kartka. Machnął tą kartką i powiedział: – Jak następnym razem będziecie szły na nielegalne zebranie, powiedzcie mi o tym same i wcześniej. Nie chcę się o was dowiadywać z ubeckich meldunków.

Przyrzekłam, że powiemu mu same i wcześniej.

Kiedy syn profesor S., lekarki naszej córki i naszego wnuka, zabił lancetem swoją narzeczoną, zadzwoniłam do Wandy. Oddzwoniła po piętnastu minutach: mecenas de Virion czeka na panią profesor.

Kiedy „Żołnierz Wolności” wydrukował ubecką fałszywkę – wywiad z Geremkiem, którego nigdy nie przeprowadziłam, zadzwoniłam do Wandy. Po piętnastu minutach dyktowała mi telefon adwokata, Krzysztofa Piesiewicza.

Kiedy nie wiedzieliśmy, czy wolno postawić na działce dom przewieziony z sąsiedniej wsi, zadzwoniłam do obojga. Do Wandy i do Fela, który był architektem i specem od budownictwa wiejskiego.

W pierwsze Zaduszki po śmierci Fela pojechaliśmy na cmentarz.

Położyliśmy kwiaty, zapaliliśmy znicz.

Przywitaliśmy się z zapłakaną kobietą, którą zastałyśmy przy grobie Fela.

Pożegnaliśmy się z kobietą.

Wróciliśmy do samochodu.

Wanda milczała z rękami na kierownicy. Potem powiedziała: – Taka byłabym szczęśliwa, gdybym mogła jutro się nie obudzić. ©

Bohaterką tekstu jest Wanda Falkowska-Szymańska (1924–1992).

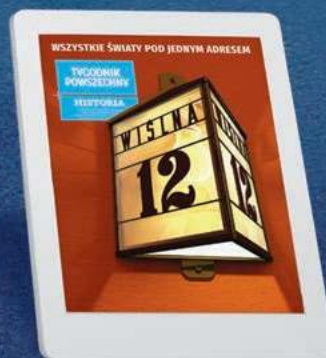
Salon literacki w dawnym mieszkaniu Melchiora Wańkowicza prowadzili w latach 1976–1979 Anna Erdman i Tadeusz Walendowski. Książkę o Salonie opublikował Ośrodek Karta.

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

Ponad 75 lat na ul. Wiślniej to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa. W wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika” i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć i nowe teksty
- piszą i rysują m.in. ks. Adam Boniecki, Kalina Błazejowska, Olga Drenda, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrozek, Michał Okoński, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.



weź, czytaj!

Wydanie dostępne jako ebook na powszech.net/wislina12

TYGODNIK
POWSZECHNY



NI PIES, NI RYBA

Ze względu na wieczną młodość i unikalne cechy regeneracyjne aksolotl to jeden z najczęściej hodowanych w laboratoriach i badanych płazów. Kontrastuje to z losem populacji, które wciąż żyją na wolności.

JAGODA NAWROCKA



SZCZEGÓLNE MIEJSCE W PANTEONIE Azteckich bóstw zajmował Quetzalcoatl – Pierzasty Wąż, współtwórca świata, bóg ziemi, nieba i płodności, zrodzony przez boginię-dziewicę. Miał brata bliźniaka – Xolotla, którego historia była mniej szczęśliwa. Przez wieloletni płacz oślepił, następnie zszedł do krainy umarłych pod postacią psa, skąd wykradł kości i wyniósł je na powierzchnię – w ten sposób według Azteków powstała ludzkość, a Xolotl stał się strażnikiem i przewodnikiem w świecie zmarłych. Miał też umiejętność zmiany w „wodnego psa”, która pomagała mu uciec przed wrogami. Gdy występował w takiej postaci, Aztekowie nazywali go Axolotlem (od „atl” – woda i „xolotl” – pies) – a to imię, przynajmniej dla biologów albo akwarystów, brzmi już pewnie znajomo.

Trzeba wykazać się szczypłą wyobraźni, żeby dostrzec podobieństwo psa i ambystomy meksykańskiej, zwanej także właśnie aksolotlem – czworonożnego płaza z grupy salamander, o długim ogonie, drobnych oczkach i wystających poza ciało skrzelach, przypominających czerwone piórka. Nic dziwnego, że Aztekowie nie wiedzieli do końca, z jakim zwierzęciem mają do czynienia – ambystoma budziła i do dziś budzi, nawet wśród naukowców, wiele zdziwienia i wątpliwości.

Cuda na dnie jeziora

W pewnym sensie ambystoma jest wiecznie młoda. Wykluwa się w postaci larwalnej, ale nie przechodzi później metamorfozy, która u typowych płazów prowadzi do zaniku skrzeli i przejścia osobnika do środowiska lądowego. Aksolotl tymczasem całe życie spędza w środowisku wodnym i w nim też się rozmnaża, zachowując jednak większość cech formy larwalnej. Za ten dziwaczny stan odpowiada niski poziom jednego z hormonów tarczycy. Jeśli wprowadzimy go sztucznie do ciała zwierzęcia, spowoduje przemianę w osobnika dorosłego – z płucami zamiast skrzeli, prowadzącego lądowy tryb życia. Ale zwykle są to osobniki słabe, które żyją znacznie krócej niż formy wodne. Jako jedna z pierwszych metamorfozę w warunkach laboratoryjnych w 1917 r. przeprowadziła Laura Kaufman,

biolożka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć ten płaz nie był jej głównym zainteresowaniem – najbardziej znana była z prac dotyczących drobiarstwa. Przemiany aksolotli dokonała, karmiąc je tarzycami innych zwierząt.

Ambystoma ma też spektakularne zdolności regeneracji organów i tkanek. Gdy zostanie zraniona, po zasklepieniu rany zbierają się w niej komórki okolicznych tkanek i zaczynają się „odróżnicowywać”. Wskutek tego procesu przypominają ostatecznie komórki macierzyste – a więc takie, które mogą namnażać się i przekształcać (czyli różnicować) w rozmaite typy komórek i w ten sposób tworzyć nowe tkanki. Wykorzystując ten mechanizm, ambystoma może regenerować siatkówkę oka, całe kończyny, fragmenty rdzenia kręgowego, a nawet duże części mózgu, jak pokazały m.in. badania Ryoji Amamoto z Uniwersytetu Harvarda opisane w 2016 r. W zregenerowanych fragmentach ciała komórki były w pełni funkcjonalne i odpowiednio reagowały na bodźce. Co ciekawe, zdolności regeneracyjne drastycznie spadają u osobników, które przeszły sztucznie wywołaną metamorfozę.

Według „National Geographic” ambystoma to prawdopodobnie najlepiej przebadana salamandra na świecie. Dzięki swoim cechom ma szerokie zastosowanie jako model do badań genetycznych, embriologicznych, ewolucyjnych czy neurologicznych. Co ciekawe jednak, niewiele jest badań, które opisują jej zachowania.

Przykładem pomijania aspektu behawioralnego może być wspomniane badanie dotyczące regeneracji mózgu – autorzy skupili się na samych procesach regeneracyjnych, nie zastanawiając się jednak, jak wpływają one na zachowania ambystomy i jak te zachowania zmieniają się w trakcie i po zregenerowaniu uszkodzonych neuronów. Patrząc przez szybę akwarium na to pokracznie urocze stworzenie, wiele osób stwierdzi pewnie, że etologowie – specjaliści od zachowań zwierząt – po prostu nie mają czego badać. Ambystomy prowadzą wyjątkowo bierny tryb życia, zwykle kroczą powoli po dnie zbiornika, rytmicznie poruszając skrzelami, a w warunkach stresowych ocierają się o rośliny lub dryfują bez ruchu. Wystarczy jednak wczytać się w kilka opracowań, żeby odkryć pole do wielu badań.

Z ofiary w łowcę

W 2015 r. Luis Zambrano z Narodowego Autonomicznego Uniwersytetu Meksyku wraz z zespołem opublikował pracę dotyczącą relacji między ambystomą i rakiem *Cambarellus montezumae*. Ta zmiana się w zależności od etapu życia – małe ambystomy (poniżej 2,6-3,5 cm długości) są ofiarami dorosłych raków (osobników o długości przeszło 3,5 cm), ale po dorosnięciu płazy stają się łowcami i zaczynają polować na młode raki.

Badacze zaobserwowali dwie strategie łowieckie, które ambystoma wykorzystuje do chwytania ofiar. Pierwsza nazywana jest pasywną, ponieważ zwierzę czeka, aż potencjalna ofiara przepłynie blisko jego głowy. Gdy to się dzieje, szybko otwiera i zamyka otwór gębowy, kierując głowę ku ofierze. Szeroki otwór gębowy wytwarza siłę ssącą, która momentalnie wciąga nieszczęsnego raka do paszczy aksolotla. Zachowanie to występuje również u innych salamander w środowisku wodnym i znane jest jako strategia „otwórz i wciągnij”. Druga strategia, aktywna, polega na powolnym podkradaniu się do ofiary, z otworem gębowym blisko dna zbiornika, a następnie próbie jej pochwylenia. Według badaczy strategia ta jest wysoce nieefektywna – nawet w 90 proc. przypadków ofiara ucieka drapieżnikowi.

Co ciekawe, strategię pasywną częściej wykorzystują starsze osobniki (osiągające większe rozmiary). Dlaczego? Czy jest to efekt procesu uczenia się, czy rozwoju i wzrostu osobników? Może aparat gębowy młodych osobników jest zbyt mały i słaby, aby wytworzyć odpowiednią siłę ssącą? Jedna z hipotez wskazuje na to, że pasywna strategia polowania opiera się na działaniu płatów skórnych znajdujących się na górnej i dolnej szczęce ambystomy, które rosną w trakcie życia i powiększają siłę zasysania wody. Nie jest też jasne, w jaki sposób ambystomy lokalizują swoje ofiary. Najprawdopodobniej dzieje się to za sprawą znajdujących się na powierzchni ciała skupisk receptorów czuciowych wykrywających ruchy wody oraz receptorów sygnałów chemicznych. Ponieważ zwierzęta te żyją na mulistym dnie jeziora, ich wzrok nie jest zbyt rozwinięty. Wszystko to jednak hipotezy, które wymagają zbadania – w kwestiach zachowania ambystom, ich przyczyny czy podłoża ewolucyjnego najczęściej trafiamy na więcej pytań niż odpowiedzi. ➔

Aksolotl (Ambystoma mexicanum) to popularne zwierzę akwariowe.

→ Ponieważ ambystoma to coraz bardziej popularny model badawczy, w laboratoriach żyją dziesiątki tysięcy tych zwierząt. Przykładowo, Uniwersytet w Kentucky co roku rozesłał od 15 do 20 tys. embryonów tego gatunku do ośrodków badawczych na całym świecie. Silnie kontrastuje to z dramatyczną sytuacją tego płaza w jego naturalnym środowisku. Jeziora, w których występował pierwotnie, zostały na przestrzeni lat wchłonięte przez miasto Meksyk i dziś albo uległy osuszeniu, albo pozostały po nich tylko sieci kanałów wodnych. W 2014 r. oszacowano, że w stanie naturalnym żyje jedynie około tysiąca osobników tego gatunku, co daje 35 osobników na kilometr kwadratowy – podczas gdy w 1998 r. gęstość populacji wynosiła 6 tys. osobników na kilometr kwadratowy. Ostatnie badania były przeprowadzone siedem lat temu, nie do końca więc wiadomo, jak sytuacja tego płaza wygląda obecnie. Oczywiście rozwiązanie problemu jest bardziej skomplikowane niż wypuszczenie wszystkich ambystom z niewoli do dziczy – za zły stan populacji odpowiadają przede wszystkim zanieczyszczenie wody, osuszenia oraz introdukowane gatunki inwazyjne, jak tilapia nilowa – drapieżna ryba wprowadzona do zbiorników wodnych, w których na wolności żyją jeszcze ostatnie aksolotle. Tilapia żywi się skrzakiem oraz młodymi osobnikami ambystomy i znacząco przyczynia się do zmniejszenia liczebności tego płaza.

Zapach niebezpieczeństwa

Jedno z ciekawszych badań dotyczących ambystomy oraz tilapii przeprowadziła w 2015 r. Guillermina Alcaraz, biologka z Narodowego Autonomicznego Uniwersytetu Meksyku, która postanowiła sprawdzić, jak osobniki, które nigdy nie miały kontaktu z drapieżnikami, od zawsze przebywające w niewoli, reagują na obecność tilapii. W tym celu umieszczała ofiary i drapieżniki obok siebie w zbiorniku, gdzie dzieliło je jedynie przezroczyste pleksi. W przypadku niektórych zwierząt w pleksi były otwory, które pozwalały aksolotłom wyczuć substancje chemiczne wydzielane przez tilapię. Część pleksi była zaś nieprzezroczysta, tak żeby płazy nie mogły dostrzec drapieżnika. Pozwalało to zbadać reakcję ambystomy na bodźce wizualne, chemiczne oraz ich połączenie.

W eksperymencie
Laury Kaufman karmione
tarczycami innych
zwierząt aksolotle przeszły
metamorfozę.
**Żyjące w wodzie larwy
stały się lądowymi płazami.**



ERIC ISSELÉE / ADOBE STOCK

Następnie naukowcy obserwowali i liczyli, jak często płazy polują oraz jak skuteczne są te polowania, a także ile czasu spędzają w ukryciu. Wnioski? Ambystomy reagują na obecność tilapii obniżeniem swojej aktywności – dłużej korzystają ze schronienia, udaje im się złapać mniej ofiar i są mniej aktywne. Gdy są umieszczone w nieprzezroczystym pleksi z otworami, reagują o wiele silniej, niż gdy pleksi jest przezroczyste i nie ma w nim otworów. Potwierdza to, że ambystomy mają o wiele lepszy węch niż wzrok.

Z badania wynika przede wszystkim, że ambystoma względem tilapii wykazuje zachowania ochronne charakterystyczne dla ofiary. Mogłoby się wydawać, że to oczywiste zjawisko – dopóki nie prześledzimy historii tilapii w Meksyku. W przeszłości ambystoma była jednym z organizmów na szczycie łańcucha pokarmowego w swoim przyrodennym ekosystemie. Jednak w latach 70. rząd Meksyku postanowił wprowadzić do jezior zamieszkanych przez tego płaza gatunki obce, które miały być źródłem pożywienia dla mieszkańców. Takim gatunkiem była właśnie tilapia, która szybko stała się dominującym w jeziorach drapieżnikiem. Mechanizmy reagowania ambystomy na nowe zagrożenie musiały więc się wykształcić bardzo szybko. Jak do tego doszło?

Autorzy opisywanego badania postawili kilka hipotez. Być może nastąpiła szybka ewolucja ze względu na silną selekcję naturalną – ambystomy, które nie wykształciły żadnych zachowań ochronnych, praktycznie nie miały szans na przetrwanie i rozród w zdominowanym przez tilapię jeziorze. To jednak trudno sprawdzić – nie dysponujemy populacją aksolotli, które w swojej historii nie miały kontaktu z tilapią, a dzięki którym można byłoby porównać reakcję na tego drapieżnika.

Jedną z bardziej prawdopodobnych możliwości jest ta, że ambystomy wykazują wrodzoną, instynktowną odpowiedź na substancje wydzielane przez podobne do tilapii drapieżniki i przez to reagują na tę rybę. Może to być też połączenie wielu możliwości – ambystomy dostosowują już wykształconą reakcję do nowego drapieżnika.

To, że obserwujemy u ambystomy zachowania charakterystyczne dla ofiary, nie musi być jednoznacznie dobrą wiadomością z perspektywy ochrony dzikich populacji tego gatunku. Z jednej strony zmniejszają one ryzyko zjedzenia przez tilapię. Z drugiej obecność alarmujących dla ambystomy substancji chemicznych w wodzie nie musi oznaczać obecności drapieżnika i ryzyka ataku, a wtedy nawet pomimo braku zagrożenia płaz jest mniej aktywny, zdobywa mniej pożywienia, co zmniejsza jego szansę na przetrwanie i posiadanie potomstwa. Niestety, ze względu na stan, w jakim znajduje się obecnie populacja „wodnego psa”, takie detale mają znaczenie. Badania behawioralne dostarczają więc nie tylko informacji interesujących dla etologów, ale także niezbędnych dla ochrony tego gatunku.

Ambystoma meksykańska pełna jest więc sprzeczności. To gatunek gruntownie przebadany, ale wciąż tajemniczy. Niepozorny i skryty, lecz fascynujący dla kolejnych pokoleń badaczy. Krytycznie zagrożony, ale obecny na całym świecie. Wiecznie młody bóg śmierci, który pod postacią „wodnego psa” wciąż stara się uciec przed wrogami.

© JAGODA NAWROCKA

AUTORKA uczy się w I LO im. Mikołaja Kopernika w Łodzi. Jest stypendystką Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci i finalistką Olimpiady Wiedzy Ekologicznej.

Zwycięzca bierze wszystko

ŁUKASZ KWIATEK

Nowe badania zakwestionowały wywodzący się od Darwina pogląd, zgodnie z którym dobór płciowy najsilniej działa na samców w tych populacjach, w których niewiele jest samic.

DOROSŁE SAMCE MIRUNGI PÓŁNOCNEJ, zwane też słoniami morskimi północnymi, mogą osiągać wagę przekraczającą 3500 kg. Samice są znacznie mniejsze – zwykle ważą 400–800 kg. Samce i samice należące do tego samego gatunku mogą różnić się rozmaitymi cechami – np. samce często są obdarzone jakimiś elementami ozdobnymi (pawie ogony) albo występują u nich określone zachowania godowe (pojedynki jeleni), ale gdy idzie o różnice w rozmiarach ciała, to – wśród ssaków – słonie morskie są rekordzistami. Dla porównania, u ludzi przeciętne różnice w rozmiarach ciała kobiet i mężczyzn sięgają ok. 15 proc., u niektórych zaś małp, takich jak goryle czy pawiany, mogą wynosić 50–100 proc.

Tego rodzaju różnice, fachowo zwane dymorfizmem płciowym, pojawiają się, gdy na obie płcie działają nieco inne presje selekcyjne. Mogą one być wywoływane czynnikami ekologicznymi, takimi jak drapieżniki czy pasożyty. Na przykład u bawołów afrykańskich samce nawet siedmiokrotnie częściej niż samice giną w paszczach lwów – ponieważ samice, choć są mniejsze i słabiej uzbrojone, w przeciwieństwie do samców trzymają się razem i z tego powodu stanowią dla drapieżników bardziej problematyczny łup.

Ale najczęściej dymorfizm płciowy wynika z odmiennych strategii reprodukcyjnych samców i samic oraz przyjmowa-



Rykowisko: samiec jelenia szlachetnego reklamuje się przed łaniami.

nych przez nie ról płciowych. Osobniki męskie w teorii mogą zapłodnić wiele partnerek w krótkim czasie, więc opłaca im się o nie rywalizować z innymi samcami (do czego przydają się chociażby większe od konkurentów rozmiary). U samic duża liczba partnerów nie przekłada się na większą liczbę dzieci – dlatego ważniejsza jest dla nich jakość tych samców, które zostaną ojcami ich dzieci. W konsekwencji to osobniki męskie najczęściej muszą się czymś zareklamować – zwycięskim pojedynkiem, uwodzicielskim tańcem czy śpiewem albo atrakcyjnym wyglądem. Czyli czymś, co albo będzie wskaźnikiem ich genetycznej jakości, albo zaspokoi pojawiające się z innych powodów czysto estetyczne preferencje samic.

Oczywiście, nie u wszystkich gatunków ewolucja poszła dokładnie tym torem. Niekiedy dymorfizm płciowy jest „odwrócony” – to samice są większe od samców, bo one biorą na siebie bardziej niebezpieczne czy wymagające zadania, takie jak polowanie, podczas gdy osobniki męskie wysiadują jaja. Takie zjawisko jest dość częste np. u sokołów. W przypadku zwierząt monogamicznych dymorfizm nie występuje lub jest minimalny, bo i samcom, i samicom bardziej opłaca się inwestować zasoby w wychowanie potomstwa niż w efektowne reklamy. Jeśli samice nie są skłonne do zdrady swoich stałych partnerów (albo nie mają ku temu zbyt wielu okazji), to nawet najbardziej seksownemu samcowi nie uda się spłodzić większej liczby dzieci niż przeciętniakowi.

Darwin, który jako pierwszy opisał to zjawisko dokładnie 150 lat temu i nadał mu nazwę doboru płciowego, był przekonany, że jego główną siłą napędową są za-

burzone proporcje płci w populacjach. Jeśli w danym gatunku z jakiegoś powodu w stadzie występuje znacznie więcej samców niż samic – rozumował Darwin – to samce będą musiały ostro pracować na to, by mieć szansę spłodzić potomstwo. Będą rywalizować bezpośrednio z innymi samcami – co doprowadzi do pojawienia się pojedynków, uzbrojenia, zwiększonych rozmiarów itd. – a także pośrednio, ze względu na preferencje estetyczne samic, wskutek czego wyewoluują u nich rozmaite ozdoby płciowe.

Hipoteza Darwina wydawała się przekonująca, ale opublikowana w maju tego roku w czasopiśmie „*Evolution*” praca Andrása Líkera z Uniwersytetu Panońskiego i jego współpracowników prowadzi do innych wniosków.

Badacze przeanalizowali dane dotyczące proporcji płciowych w populacjach oraz rozmiarów ciała u 462 gatunków gadów, ptaków i ssaków. Potwierdziły one Darwinowską intuicję, zgodnie z którą nierówne proporcje płciowe w populacjach wzmagają różnice w rozmiarach ciała samców i samic – ale zakwestionowały zaproponowane przez Darwina wyjaśnienie. Okazało się, że w populacjach złożonych z nierównej liczby samców i samic dobór płciowy działa najsilniej na rzadszą, a nie częstszą płć. Czyli im więcej w stadzie występuje samic niż samców, tym bardziej ci ostatni reklamują się i tym silniej rywalizują między sobą – co przejawia się m.in. zwiększonymi rozmiarami ciała.

Wygląda więc na to, że dobór płciowy działa wedle zasady „zwycięzca bierze wszystko”. Im większe potencjalne zyski (w postaci partnerów i dzieci), tym bardziej osobnikom opłaca się inwestować w siebie i walczyć o swój kawałek reprodukcyjnego tortu. ©P



OPOWIEŚCI SPOD STOŁU

GRZEGORZ KASDEPKE, PISARZ:

Książki przestały być elementem życia grzecznego dziecka. Są czytane głównie przez intelektualnych chuliganów, którzy po umoralniającą lekturę po prostu nie sięgną.

KATARZYNA KUBISIOWSKA:

Od dawna myślałeś o pisaniu książek dla dzieci?

GRZEGORZ KASDEPKE: No co ty! Kto chce w młodości być bajkopisarzem? Chciałem pójść śladami Jacka Londona, zostać zawodowcem i uprawiać literaturę awanturniczo-fantastyczno-przygodową! Gdy byłem czternastolatkiem, udało mi się zaprenumerować „Fantastykę”. Co oznaczała prenumerata „Fantastyki” w latach 80., wiedzą tylko ci, którzy wówczas żyli. Ależ to była radość dostawać co miesiąc numer z galerią znakomitej światowej grafiki, z przewrotną literaturą kierowaną nie tylko do młodzieży. „Fantastyka” wtedy była jednym z nielicznych literackich okien na świat, pismem, które ogrywało cenzurę jak chciało. Cenzorzy nie byli w stanie nadążyć za pomysłami fantastów.

GRZEGORZ KASDEPKE (ur. 1972) jest pisarzem. Opublikował ponad pięćdziesiąt książek dla dzieci, z których większość była bestsellerami (m.in. „Mam prawo!”, „Detektyw Pozytywka”, „Kuba i Buba”, „Tylko bez całowania!”, „A ja nie chcę być książniczką”, „Mity dla dzieci”, „Potworak i inne ko(s)miczne opowieści”). Laureat Nagrody Kallimacha za wybitne osiągnięcia w sferze edukacji. Nakładem Wydawnictwa Literatura ukazała się niedawno jego najnowsza książka – „Mruczando na trzy rodziny i jedną kamienicę”.

A Twoje pomysły?

Już jako szesnastolatek miałem łeb rozpalony literaturą. Znasz to uczucie? Nie możesz usiedzieć na miejscu, chodzisz w kółko po całym mieszkaniu tylko dlatego, że poruszył cię jakiś tekst! Napisałem bardzo dużo marnych – dziś to wiem – opowiadań, które wysłałem hurtem do redakcji „Fantastyki”. I co się dzieje? Kilka miesięcy później – jestem w drugiej klasie liceum – wchodzę rano do szkoły i widzę zamieszanie na korytarzu. Koledzy wskazują na mnie palcami, kartkując przy tym jakieś pismo. Ale wcale nie to, w którym chciałem się znaleźć! Bo to była „Mała Fantastyka” – eksperyment wydawniczy „dużej”. Adam Hollanek wymyślił, że może warto by było zrobić takie pismo dla dzieci i młodzieży. A Maciek Parowski, który opiekował się w obu pismach literaturą polską, wyczuł we mnie autora książek dla dzieci. Byłem zrozpaczony. Ale dostałem honorarium, poczułem więc, że ten niefortunny początek jest jednak zapowiedzią zawodowej kariery. Zwłaszcza że wydrukowane opowiadanie zrobiło wrażenie nie tylko na kolegach, ale i na koleżankach.

W sumie bardzo dobry początek.

Po maturze pojechałem do Warszawy, aby studiować dziennikarstwo. Wykalkulowałem, że w ten sposób zdobędę doświadczenie, że to będzie dobra przejściówka – trochę popiszę jako dziennikarz, a potem, po pięciu latach, zostanę profesjonalnym →

→ pisarzem. Ale doskwierał mi problem wielu młodych ludzi: chciałem pisać, a nie miałem o czym.

Nie miałeś tematów?

Może miałem, ale nie umiałem jeszcze tego dostrzec. Szukałem właściwej perspektywy.

Tej z lotu ptaka? Kiedy widać całość?

Mnie się przydała zabia perspektywa – bo rzeczywistość miło oglądać z podłogi. Najważniejszym uniwersytetem mojego życia było siedzenie pod stołem, gdy rodzice spotykali się ze znajomymi. Dzieci mają umiejętność okrywania się pelerynkami niewidkami. Dorosli przestają je zauważać, byle siedziały cicho. Siedzą więc i słuchają. Świat widziany z poziomu podłogi jest fascynujący – te nogi kończące się gdzieś nad obrusem, te dyskusje dochodzące znad blatu. Tylko że wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak ciąć, jak kadrować! Podświadomie uznałem, że należy postępować zgodnie z kultury-styczną zasadą: „najpierw masa, potem rzeźba”. Zassałem przez uszy masę opowieści, a dużo później, już jako osoba dorosła, zabrałem się za ich rzeźbienie. Wykorzystując także własne zabawne wspomnienia.

Które są szczególne dla Ciebie?

Pamiętam obrazek z przedszkola: jest zima, oczywiście stulecia, jak to na Podlasiu, panie zaganiają dzieci do spania – bo czas na koszmara małego dziecka, czyli na leżakowanie. Mamy spać na rozkaz, albowiem panie muszą mieć tę swoją godzinę na kawę i spokój. Dzisiaj bardziej je rozumiem, wtedy leżakowania nienawidziłem. Więc trwa zima stulecia i wy-

Uniwersytetem mojego życia było siedzenie pod stołem.

Dzieci mają umiejętność okrywania się pelerynkami niewidkami.

Dorośli przestają je zauważać, byleby siedziały cicho. Siedzą więc i słuchają.

chowawczynie w trosce o mnie – a trzeba wiedzieć, że byłem cherubinkiem przez nie uwielbianym – przestawiły gdzieś moje łóżeczko. Pod kaloryfer, abym nie zmarł. Tyle że nic mi o tym nie powiedziały. Idę więc tam, gdzie powinno stać moje łóżeczko, ale go nie ma, wyparowało. Wszystkie dzieci już leżą, a ja w po- płochu wędruję z kocykiem po sali.

Mały człowiek bez miejsca.

Druga sytuacja: w PRL-u ciągle czegoś nie było, nawet piasku w piaskownicy. Panie przedszkolanki rzucają nas jednak do tej piaskownicy, abyśmy się tam bawili, no bo dzięki temu znowu mają pół godziny na posiedzenie, na pogadanie o mężach, o tym, że udało się gdzieś kupić żarówkę. Przez to, że piasku właściwie brak, czujemy się bardziej jak w kwadratowej studni niż w piaskownicy. Chcemy więc z niej wyjść, ja i dwóch kolegów, ale nie możemy, bo wszędzie ściana i ściana. Krążymy w kółko, w pewnym momencie jeden zaczął ryczeć, drugi zaczyna ryczeć, trzeci oczywiście też ryczy i wszyscy jesteśmy zarzyczani. Nagle jednak, jak w fil-

mie o Guliwerze, pojawia się gdzieś wysoko nad nami twarz pani nauczycielki – która wyciąga do nas wielgachne ręce. Zapamiętałem ją jako gigantkę! Ta scena, a raczej dziwaczne odczucie perspektywy przypominało mi się, gdy zacząłem pisać dla mega syna.

A to Twoje dziennikarstwo?

Długo trwało?

Na pierwszym roku dziennikarskich studiów poszedłem do „Polityki” i ku szczerej zazdrości moich wykładowców zacząłem z nią współpracować. Byłem w dziale krajowym. Dość szybko jednak zrozumiałem, że to nie dla mnie, że mężczyźnie uganiać się za politykami, a zwłaszcza nieustanna potrzeba okiełznywania wyobraźni. Łatwość pisania to jedno, ale jeszcze konieczność trzymania się faktów... Kiedyś pisałem nieduży materiał o prawosławnym arcybiskupie Sawie, który, o ile pamiętam, okazał się tajnym współpracownikiem SB. Myślałem sobie, jak by to było wspaniale dodać do tej historii choć trochę pikanterii – kusiło mnie to straszliwie, ale nie byłem głupkiem, więc z żalem porzuciłem różne fantastyczne pomysły. A potem przyszła propozycja pracy w magazynie dla dzieci „Świerszczyk”.

I co?

Przyjąłem ją bez namysłu, choć wielu znajomych pukało się w czoło. „Chłopie, »Polityka«, a ty idziesz do »Świerszczyka«?!”. A ja cieszyłem się, że w końcu będę mógł uwolnić wyobraźnię od kagańca. Tyle że wcale nie miałem jakiejś szczególnej ochoty pisać dla dzieci. Przyjmowała mnie nowa i dobra naczelna, Dorota Oleksiak, która wyciągnęła „Świerszczyk” z peerelowskiego rozmamiania. Poprzednia redakcja nie miała pomysłu, jak tu konkurować z kolorowymi zagranicznymi pismami, które nagle pojawiły się na naszym rynku. Wcześniej „Świerszczyk” był prenumerowany, chyba obojętnie, przez prawie wszystkie szkoły, ukazywał się w kilkuset tysięcznym nakładzie i nikogo nie interesowało, czy jest czytany, czy też trafia, jeszcze nie rozcięty, do kosza. I w latach 90. Dorota Oleksiak zrobiła rewolucję. Szukała do pracy mężczyzn, bo z gazetą współpracowały niemal same kobiety. Pisały inaczej, niż Dorota oczekiwała.

Czyli jak?

Grzegorz Kasdepke „Kacperiada. Opowiadania dla łobuzów i nie tylko”, ilustracje Piotr Rycheł, Wydawnictwo Literatura, wydanie XVII, Łódź 2021



Słodko. Kwiatki i motylki – tak bym to określił. Dzisiejsze autorki umarłyby od takiej ilości cukru. Więc Dorota uznała, że musi przyjść facet.

Takie myślenie to też znak czasów...

Podczas pierwszej rozmowy szczerze przyznałem, że raczej nie interesuje mnie literatura dla dzieci. „To fantastycznie, zrobimy publicystykę dla dzieci!” – ucieszyła się Dorota. Pisaliśmy więc dla dzieci felietony m.in. o denominacji, o zmieniających się czasach, w sumie tworzyliśmy taką małą „Politykę”, tyle że z grafiką i literaturą dla dzieci. A potem po jakimś sporze Dorota rzuciła pracę – i niespodziewanie padła propozycja, abym to ja został naczelnym. Niemal w tym samym momencie moja dziewczyna powiedziała mi, że zostanę ojcem. Byłem przerażony. Ale powiedziałem wydawcy: „Tak”.

To przerażenie faktem ojcostwa mnie zastanawia.

Facet urodzony na początku lat 70., gdy dowiaduje się, że jego dziewczyna jest w ciąży, oświadcza się, po prostu tak należy, bo o tym czytał w książkach. Planowałeś czy nie planowałeś, czy to była wielka wpadka, czy nie była – kupujesz dwie obrączki i nagle mieszkasz na odległej Woli w jednym pokoju z babcią żony za ścianą i czujesz, że życie, które się tak fajnie układało, wymyka ci się właśnie z rąk.

I?

Rodzi się Kacper. Od tego momentu mijają dwa miesiące, jest wieczór, mama Kacpra już śpi, ja siedzę przy maszynie do pisania i coś tam wystukuję do „Świerszczyka”. W zamyśleniu zerkam w stronę łóżeczka. A Kacper leżąc na boku patrzył na mnie i nagle, gdy nasze spojrzenia się zetknęły, uśmiechnął się, uśmiechnął się do mnie. Do tej pory pamiętam uderzenie ciepła, które wywołał we mnie ten uśmiech. Podszedłem, wziąłem go na ręce i tak się zaczęło moje ojcostwo. Ten uśmiech był pierwszą prawdziwą nicią porozumienia z tą pięciokilową istotą, co godzinę sikającą w pieluchę. Od wtedy już – z moim synkiem.

Dla takich chwil się żyje.

Wtedy też poczułem, że jednak mogę przeskoczyć ze światów fantastycznych, które wypełniały moją pisaninę w czasach liceum, do mniej odległych, re-

alistycznych, na wyciągnięcie ręki. Że można pisać nawet o sobie. Z tego rdzenia wyrosła moja pierwsza książka: „Kacperiada...” – pisana z perspektywy ojca, który jest kompletnie zielony i dopiero uczy się ojcostwa. Pomysły na opowiadania rodziły się naturalnie – w drodze na spacer, podczas karmienia czy rozwieszania prania. Tu mi pomógł Bohumil Hrabal z tym jego zakochaniem się w życiu, w jego peryferiach, w tym, co wielu uznaloby za banalne: powszedniości, codzienności. I w umiejętności zauważenia szczegółu.

W „Kacperiadzie” bardzo lubię opowiadanie, w którym syn wraca od babci z prezentem wywołującym u rodzica potężny ból głowy. Samo życie.

Kiedy czytałem Kacprowi przed snem, nieraz bywało, że zasypiałem pierwszy – z nudów. A przecież czytający rodzic powinien być co najmniej poruszony literacką historią. Dlatego lubię wyzłosić się w literaturze wobec nas, dorosłych. Francuscy autorzy opanowali to do perfekcji – czego świetnym przykładem jest choćby seria o Mikołajku.

„Kacperiada” powstała głównie dlatego, że chciałem sprawić przyjemność mojemu synkowi. A tu proszę: okazało się, że świat książek dla dzieci to znaczące nagrody, ważne gremia, krytycy, literaturoznawcy, honoraria – a także walczący o obiecującego autora wydawcy! Miałem 29 lat. Porzuciłem pracę w „Świerszczyku”, zresztą nie tylko ją – zrezygnowałem i z innych zawodowych zajęć.

Jakich?

Choćby z bycia jednym z dziewięciu scenarzystów telenoweli „Klan”. Główny scenarzysta, tzw. wątkowiec, przysyłał nam co jakiś czas informacje typu: w twoim odcinku powinno być jedenaście scen, w tym dwie plenerowe, dzieje się mniej więcej to i to. Akcja całości była wymyślana na rok do przodu. Pisałem: „Ryśku, Ryśku” – ale to nie ja uśmierciłem postać graną przez Piotra Cyrwusa. Oczywiście jako scenarzysta byłem najmniej widoczną osobą, z ekipą spotkałem się chyba tylko raz na jakimś bankiecie – na który poszedłem głównie po to, aby się najęść. Jedną z naszych aktorek, pal licho nazwisko, przepychała się ze mną w walce o lososia. „A pan jest



Grzegorz Kasdepke „Kacperiada. Opowiadania dla łobuzów i nie tylko”, ilustracje Piotr Rychel, Wydawnictwo Literatura, wydanie XVII, Łódź 2021

MATERIAŁY PRASOWE

chyba nowy?” – zagaiła. „Pracuję tu dopiero od kilku miesięcy” – potwierdziłem. „A czym się pan zajmuje?”. „Jestem scenarzystą”. „Aha...” – odpowiedziała bez zainteresowania. Równie dobrze mogłem powiedzieć, że jestem szczurołapem, może nawet byłoby lepiej – zawsze to jakaś egzotyka. Postanowiłem więc pozwolić sobie na żarcik: „A pani?” – zapytałem. Znieruchomiała z widelcem nad rybą. „Ja? – odzyskała wreszcie głos. – Ja jestem gwiazdą”.

Na tej samej imprezie krążyła między nami pani fotograf, żeby nacykać fotek, ile się tylko da – potem te zdjęcia trafiały do kolorowych magazynów. Fotografowała gwiazdy, gwiazdki, no i, rzecz jasna, producentów. W pewnym momencie zrobiła zdjęcie aktorce, z którą właśnie gadałem. Usłyszałem, jak odwraca się potem do naszego producenta i pyta: „Kto to jest, ten facet przy Beatce?”. „To? – producent rzucił na mnie okiem. – Nikt”.

Kiedy podjąłem decyzję, że będę autorem książek dla dzieci, miałem wrażenie, że zaczynam wakacje.

Wakacje?

To, co robię, jest najzwyczajniej w świecie przyjemne. Niezmiennie od dwudziestu lat. Przy tym jestem sam dla siebie szefem, więc mogę sam siebie prosić o urlop, a że jestem łagodnym szefem, zawsze go sobie udzielam.

I jednocześnie nauczyłem się systematyczności, która powoduje, że jednak



Grzegorz Kasdepke
„Kacperiada. Opowiadania
dla łobuzów i nie tylko”,
ilustracje Piotr Rychel,
Wydawnictwo Literatura,
wydanie XVII, Łódź 2021

MATERIAŁY PRASOWE

taka straszna pora, około czwartej-piątej nad ranem, gdy szyszynka, uważana kiedyś za siedzibę duszy, przestaje pracować na pełnych obrotach. Produkuje mniej serotoniny – i nic nas wtedy nie strzeże przed najbardziej okrutnym i może nawet najbardziej prawdziwym widzeniem świata. Przychodzą nam do głowy czarne myśli: że umrzemy nie zabezpieczając bliskich, że i oni umrą albo zachorują, no i w ogóle że życie to galopada nieszczęść. Boję się chorób, które uderzają właśnie w mózg, zwłaszcza w obszary odpowiadające za umiejętność i chęć śmiania się. Bez uśmiechu jesteśmy bezbronni.

→ nie kładę się spać, dopóki nie napiszę kolejnego zdania.

I na tej czarnej ścianie w Twoim gabinecie zapisujesz pomysły?

Od dzieciństwa chciałem mazać po ścianach. Więc zrealizowałem swoje marzenie: w pracowni, którą mój syn nazywał pisalnią, jest jedna ściana pokryta farbą tablicową, po której można mazać kredą i potem zmazywać to, co się nagryzmoiliło – gąbeczką. Rozrysowuję tu plan nowych książek, a czasami przypominam sobie, co było w książkach poprzednich, które zamierzam kontynuować, zwłaszcza w przypadku cykli, takich jak seria o Kubie i Bubie czy o Detektywie Pozytywce.

Pomyliłeś się w którymś z cykli?

Zdarzyło się coś gorszego: po napisaniu czterech tomów przygód detektywa Pozytywki zorientowałem się, że nie wiem, jak mój bohater ma na imię – zapytały o nie dzieci podczas spotkania autorskiego. Potem ogłosiłem wraz z wydawnictwem internetowy plebiscyt; czytelnicy wybrali imię pasujące do geniusza detektywistyki – Eugeniusz.

Tablicę stojącą przy wejściu do Twojej kamienicy opisates w „Mruczandzie na trzy rodziny i jedną kamienicę”?

Podobne rysowałem już pięć razy, bo od dziesięciu lat organizuję Waleczne Sąsiedzkie Mistrzostwa przy okazji mistrzostw świata lub Europy w piłkę nożną. Dlaczego Waleczne? Bo walka toczy się na sasko-kępskiej uliczce Walecznych. Typujemy wyniki. Zasady są proste, zresztą muszą takie być – w naszych zawodach biorą udział dzieci, a także

dwa zwierzaki kamieniczne: pies Grubson i kot Benek.

Kot Benek w „Mruczandzie...” został przemianowany na Kota Dzbanka?

Powiedzmy, że to jego pseudonim artystyczny. Typuje wyniki spotkań stawiając łapkę na klawiaturze kalkulatora, podobnie jak kamieniczny pies Grubson. Czasami prognozy bywają absurdalne – np. 9:7. Ale i tak często udaje się im wytypować przynajmniej zwycięzcę meczu, a zatem zdobywają jeden punkt.

Ja to jeszcze jestem w stanie przeżyć, ale w kamienicy mamy prawdziwych znawców futbolu, którzy do ostatniej chwili przysyłają mi typowania wyników, sprawdzają skład, patrzą, którzy zawodnicy wyszli na murawę. A tu kot okazuje się lepszy!

Zupełnie mnie to nie dziwi.

Ta tablica jest wyrazem mojej wiary w to, że czasami jesteśmy bardziej *homo ludens* niż *homo sapiens*. Jak wielu humorystów, jestem podszyty smutkiem. Nieustannie szukam okazji do rozrywki, aby nie pozwolić, żeby do głosu doszło to, co ciągnie mnie w stronę zabagnionej chandry.

Skąd te bagna?

W rodzinie od strony mamy to dość naturalny krajobraz. Jakieś smuty, jakieś zale, jakieś pretensje do świata. Zauważyłem, że można się przed tym obronić.

Jak?

Pogoda ducha jest zadaniem, które człowiek powinien stawiać sobie każdego dnia. Jak już Bóg się zorientował, że spieprzył świat, to rzucił ludziom koło ratunkowe w postaci poczucia humoru. Jest

Order Uśmiechu, który odebrałeś dwa lata temu, ma być amuletem?

Amuletem? Raczej przypomnieniem o zaciągniętym kredycie. Mam przekonanie, że dostałem ten order za wcześniej – że jeszcze wiele lat będę musiał spłacać raty.

Uroczystość odbyła się podczas warszawskich Targów Książki, order wręczał mi Marek Michalak, ostatni dobry Rzecznik Praw Dziecka w Polsce. Trwało to wszystko dość długo, niektóre dzieci siedziały na podłodze i jeździły po niej tam i z powrotem odrobinę znudzone. A łapki szybko się brudzą. W pewnym momencie Marek zapytał: „Które z dzieci chciałoby teraz wycisnąć soczek z cytryny dla kandydata na Kawalera Orderu Uśmiechu?”. Bo częścią uroczystości jest to, że delikwent odznaczany orderem musi wypić świeżo wyciśnięty sok z cytryny. I zobaczyłem, że ręce podnoszą głównie te najbardziej znudzone dzieci, które od pół godziny szlifowały podłogę łapkami. Rozbawiony Marek Michalak wytypował najbrudniejsze łapki. Ratowałem się myślą, że cytryna ma właściwości bakterio-bójcze. Wypiłem do dna, uśmiechnąłem się najszczerzej, jak mogłem.

I jak sobie radzisz ze świadomością, że kształtujesz literackie gusta młodych ludzi?

Współczesny bajkopisarz pisze dla całych rodzin, a nie wyłącznie dla dzieci. Poznaje te cudowne inteligentne rodziny czytelników na spotkaniach autorskich w bibliotekach, domach kultury, podczas Targów Książki, na festiwalach literackich – na które my, autorzy książek dla dzieci, jesteśmy od dobrych już kilku lat zapraszani na równych prawach z autorami piszącymi dla dorosłych. Pewnie

i dlatego, żeby robić frekwencję – bo o naszej popularności niektórzy „dorośli” autorzy mogą tylko pomarzyć. Jedno jest pewne: książki trafiają do czytających domów – tam, gdzie są czytający rodzice, są i czytające dzieci. Że o dziadkach nie wspomnę – dziadkowie i babcie czytają szczególnie chętnie.

Autorski raj?

Zdarzają się perturbacje. Pamiętam chłopca, który na początku spotkania powiedział ponuro, że dostał pałę z „Detektywa Pozytywki” – i jak ja się teraz z tym czuję? Bo „Detektyw Pozytywka” jest obowiązkową lekturą w klasach I-III.

Kiedy Roman Giertych był ministrem edukacji, usiłował wyrzucić z listy lektur uzupełniających Twoją książkę „Mam prawo!”.

I chciał ją zastąpić którymś z dzieł Karola Wojtyły. Bronił mnie wtedy m.in. profesor Magdalena Środa. A dziś wszyscy widzimy w Giertychu dzielnego obrońcę wolnego świata.

W 2016 r., protestując przeciwko próbom upolitycznienia kultury, zrezygnowałem z przyjęcia brązowego medalu Gloria Artis z rąk ministra Glińskiego. Pisać dla dzieci przestało być zajęciem niewinnym, książki stają się orężem w ideologicznej walce. Czytam w mailach: „Już nie kupię pana książeczek!”. Co ciekawe, naburmuszają się w równym stopniu skrajni lewicowcy, jak skrajni prawicowcy. Jedni chcieliby wyłącznie przełamania tabu, drudzy – wyłącznie betonowania konserwatywnych wartości. Ale pomiędzy tymi biegunami jest spora grupa samodzielnie myślących ludzi, którzy nie zaciętrzewiają się, a co więcej – zachowują poczucie humoru. To moi czytelnicy. Nie piszę przecież książek, aby dzieci były grzeczne. Na szczęście w naszych czasach książki są czytane głównie przez intelektualnych chuliganów – którzy po umoralniającą lekturę po prostu nie sięgną. Mam zresztą wrażenie, że książki przestały być elementem życia tzw. grzecznego dziecka. Książki czytają dzisiaj przyszli buntownicy, wynalazcy, rewolucyoniści, niespokojne duchy – ludzie, którzy zmieniają świat na lepsze.

Skąd to wiesz?

Spotykam ich. Mają na razie po kilkanaście lat, ale już wiedzą, że trzeba działać – choćby dlatego, że dorośli spartolili im

Bywa ciężko. Pewien chłopiec na spotkaniu autorskim **powiedział ponuro, że dostał pałę z „Detektywa Pozytywki”**

– i jak ja się teraz z tym czuję? Bo „Detektyw” jest obowiązkową lekturą w klasach I-III.

Ziemie. Wśród organizatorów Strajków Klimatycznych byli moi wyrośnięci czytelnicy. Tak samo jak podczas protestów pod znakiem błyskawicy. Jestem z nich dumny, a jednocześnie zawstydzony, że dzieciaki muszą aż tak bardzo poprawiać po nas świat.

Co dzieci mówią na spotkaniach autorskich?

Ostatnio, że boją się ponownego zamknięcia szkół. I że covid robi krzywdę babci.

Czyli boją się tego, co dorośli.

Kilkanaście miesięcy temu dzieci bały się wojny z Rosją. Albo że tata za długo nie wraca z Holandii. Moi mali czytelnicy traktują mnie czasami tak, jak kiedyś traktowało się księdza: można o wszystko zapytać, można się zwierzyć, można się

poradzić. Ja nie rozgrzeszam, ale przynajmniej próbuję zrozumieć. Bywa zabawnie: dziecko coś tam usłyszało w telewizji, w domu, od nauczyciela, a potem pyta: „Czy pan już napisał książkę o żołnierzach przeklinających?”.

Padło pytanie, na które nie umiałeś odpowiedzieć?

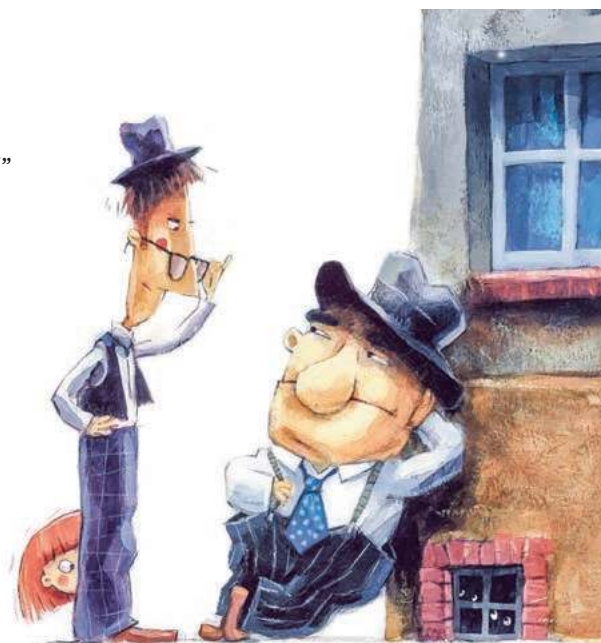
Pamiętam sześciolatkę, która zdobyła się na odwagę, podniosła rękę, a potem zadała na jednym oddechu aż trzy pytania: „Ile pan ma lat, ile pan napisał książek, czy istnieje Pan Bóg?”. I weź tu człowieku odpowiedź! Jeszcze tak, żeby nie zamieniać każdej odpowiedzi w żart. To pokusa – odpowiedzieć zabawnie, tak aby cała sala miała uciechę. Cała sala, poza dzieckiem, które zadało pytanie – ono czasami całym sobą czeka na odpowiedź. Chociaż czasami trudno nie wybuchnąć śmiechem. Zapisuję od lat najśmieszniejsze pytania od czytelników. „Co pan by wołał: żonę czy lamborghini?”, „Znał pan Andersena?”, „Czy to pan napisał Biblię? Nie? To dobrze, bo tam nie wszystko dobrze się kończy”, „Lubi pan podrywać dziewczyny? A jeżeli tak, to jak pan je podrywa w takich butach?”. Czy moje ulubione pytanie: „Był pan kiedyś przystojny?”.

No ale co powiedziałeś dziewczynce na temat Boga?

To, o czym rozmawialiśmy: że poczucie humoru jest niezłym dowodem na jego istnienie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Detektyw Pozytywka i detektyw Martwiak z tomu „Jeszcze większa książka detektywa Pozytywki” Grzegorza Kasdepkego, ilustracje Piotr Rychel, Nasza Księgarnia, Warszawa 2021





Operacja Straż Nocna

MAGDALENA ŁANUSZKA

Nie zachowały się pasy płótna odcięte z obrazu Rembrandta. Każda ich rekonstrukcja byłaby tylko współczesnym dodatkiem do zachowanego dzieła. Mamy jednak techniczne możliwości, aby w malarza wcieliła się dziś sztuczna inteligencja.

ZBIOROWY PORTRET AMSTERDAMSKIEJ kompanii strzelców pod dowództwem kapitana Fransa Bannincka Cocq'a, powszechnie znany pod tytułem „Straż nocna”, to jedno z najsłynniejszych dzieł Rembrandta Harmenszoon van Rijna, przechowywane w Rijksmuseum w Amsterdamie. To właśnie muzeum jest wiodącą na świecie instytucją, jeśli chodzi o digitalizację i udostępnianie zbiorów. Od 2019 r. trwa tam wielki projekt ba-

dawczo-konserwatorski pod kryptonimem „Operation Night Watch”. Wreszcie można zobaczyć wyniki.

Strzelcy z Amsterdamu

Od średniowiecza w miastach niderlandzkich funkcjonowały obywatelskie straże: mieszczanie tworzyli ochotnicze kompanie pod dowództwem najznamienitszych obywateli, dbając o ochronę poszczególnych dzielnic. Członkowie straży

musieli na własny koszt zadbać o ekwipunek; nie była to organizacja dla niezdolnych.

Obrona średniowiecznego Amsterdamu była oparta głównie na takich właśnie strażach obywatelskich, tworzących bractwa łuczników i kuszników, a później także muszkieterów. Składały się na nie kompanie, pierwotnie podzielone na dwanaście oddziałów po siedemnastu mężczyzn każdy. Kompanie te miały swoje obszary do ochrony oraz wyznaczone miejsca treningów. Organizowano coroczne zawody, kończące się wyborem „króla strzelców”; od XVI w. popularne także stało się zamawianie przez członków kompanii portretów zbiorowych. Już w drugiej połowie tego stulecia coraz częściej członkowie owych kompanii portretowani bywali przy bankietowym stole, co ilustruje przemianę straży obywatelskiej z organizacji militarnej w stowarzyszenie o charakterze bardziej społeczno-towarzyskim. Z drugiej strony wraz z roz-



AMSTERDAM RIJKSMEUSEUM / MATERIAŁY PRASOWE

Powyżej: „Straż nocna”, Rembrandt (1606–1669), Rijksmuseum, Amsterdam

Obok: kopia „Straży nocnej”, Gerrit Lundens (1622–1686), The National Gallery, Londyn.

Reprodukcje obrazów odzwierciedlają ich realne proporcje: oryginał jest znacznie większy i ma rozmiar 379,5 x 453,5 cm, kopia zaś 66,5 x 85,5 cm.

Na sąsiedniej stronie: ilustracja uzupełnień oryginału na podstawie kopii „Straży nocnej” pędzla Gerrita Lundensa



THE NATIONAL GALLERY PHOTOGRAPHIC DEPARTMENT / MATERIAŁY PRASOWE

wojem miasta obywatelska straż także się rozrosła, licząc w XVII w. około 10 tys. członków.

Posługujący się arkebuzami amsterdamscy *Kloveniers* w pierwszej połowie XVII w. przekształcili swoje strzelnice w okazałe zabudowania (*Kloveniersdoelen*), zawierające m.in. salę bankietową o powierzchni ponad 160 m kw. To właśnie tam zawisnąć miał obraz Rembrandta.

Od 31 sierpnia do 5 września 1638 r. w Amsterdamie gościła Maria Medycejska, wygnana z Francji wdowa po królu Henryku IV Burbonie. Teoretycznie nie należało jej się królewskie przyjęcie, ale amsterdamscy mieszczanie mieli ochotę podkreślić swoją niezależność, a może także nieco podrażnić kardynała Richelieu, który stał za decyzją króla Ludwika XIII, aby wygnać z kraju królową matkę. Maria Medycejska została zatem powitana w Amsterdamie z wielką pompą: na jej cześć wzniesiono kilka łuków triumfalnych, były także sceny z „żywymi ob-

razami”, procesja, orkiestra i rzecz jasna – bankiety. Członkowie miejskich kompanii brali udział w tych prestiżowych obchodach.

Nie ma zapisów poświadczających, że w czasie swej wizyty Maria Medycejska odwiedziła świeżo wybudowane *Kloveniersdoelen*, ale zaraz po jej wizycie została do reprezentacyjnej sali bankietowej zamówiona seria zbiorowych portretów – w tym dzieło Rembrandta. Jeden z nich, „Portret kompanii pod dowództwem kapitana Cornelisa Bickera” (Joachim von Sandrart, 1640, Rijksmuseum w Amsterdamie), ukazuje mężczyzn zgromadzonych wokół popiersia Marii Medycejskiej. Wydaje się także, że struktury architektoniczne w tle obrazu Rembrandta powtarzają formy dekoracji zbudowanych na przyjazd królowej. Nie wiemy dokładnie, kiedy Rembrandt otrzymał zamówienie na ten obraz; znajdującą się na nim data 1642 to zapewne moment ukończenia dzieła.

Straż nie nocna

Pozostałe zbiorowe portrety kolejnych kompanii namalowali Nicolaes Elia-zoon Pickenoy, Govert Flinck, Bartholomeus van der Helst oraz Jacob Adriaensz Backer. Obraz Rembrandta różni się jednak od pozostałych grupowych portretów: postacie wydają się być uchwyczone w ruchu, niektórzy bohaterowie nika w cieniu.

Często powtarza się, że taka kompozycja mogła nie być zgodna z oczekiwaniami portretowanych, ponieważ w zbiorowym portrecie każdy powinien być widoczny tak samo jak inni. To chyba jednak nie jest prawdą, lecz raczej efektem późniejszego budowania legendy Rembrandta jako artysty niedocenionego przez współczesnych. Nie ma żadnych dowodów, jakoby ktokolwiek był niezadowolony z tego obrazu – przeciwnie, Rembrandt otrzymał za niego znaczącą sumę 1600 guldenu. Owszem, każdy z portretowanych zapłacił za bycie uwiecznionym, ale sumy te nie były równe – ci, którzy zapłacili mniej, z założenia mieli mieć „gorsze” miejsce na obrazie; wiedzieli o tym i godzili się na to.

Być może bardziej niż niestandardowa kompozycja w przypadku tego typu obrazu kontrowersyjna mogła się wydawać technika Rembrandta – efekty światłocieniowe i malarskość o charakterze niemalże szkicowym nie prowadziły do powstania precyzyjnie iluzjonistycznych portretów. Sam Rembrandt zdawał sobie sprawę z tego, że jego obrazy dobrze wyglądają tylko w odpowiednim oświetleniu i oglądane z pewnej odległości. Podobno odwiedzających jego pracownię powstrzymywał przed patrzeniem z bliska twierdząc, że zapach farby może im zaszkodzić; doradzał także swoim klientom, aby jego obrazy wieszali w silnym świetle i z możliwością patrzenia na nie z większej odległości.

A jednak oryginalnie obrazy Rembrandta nie były aż tak ciemne, jak zwykło się później sądzić. To pociemniałe z czasem werniksy – oraz po prostu brud – sprawiły, że zbiorowy portret kompanii kapitana Fransa Bannincka Cocq został określony mianem „Straży nocnej”. Stało się to pod koniec XVIII w., a przez wiek XIX nazwa ta została utrwalona. Gdy w 1947 r. w czasie renowacji odcyszczono płótno i okazało się, że nie jest to jednak scena nocna, próbowano nawet wylansować nowy tytuł: „Straż dzienna”. ➔

→ To się nie przyjęło – i Rijksmuseum w Amsterdamie nie ucieka już od tej tradycyjnej nazwy. Dlatego dzisiaj mamy „Operation Night Watch”

Brakujące fragmenty dzieła

W ostatniej ćwierci XVII w. pogorszyła się sytuacja ekonomiczna Amsterdamu i przeminęły złote czasy miejskich kompanii. Reprezentacyjne budynki bractw wraz z ich bankietowymi salami zmieniły przeznaczenie, portrety zaś częściowo zostały sprzedane, a częściowo posłużyły do dekoracji nowo wybudowanego ratusza. I właśnie dlatego w 1715 r. obraz Rembrandta został przycięty – aby zmieścić się pomiędzy dwiema parami drzwi w jednej z ratuszowych sal.

Na szczęście kapitan Frans Banninck Cocq był tak zadowolony z tego obrazu, że zamówił kopie: akwarelowy rysunek do swojego prywatnego albumu oraz obraz tablicowy, dziś w kolekcji The National Gallery w Londynie. Jest to kopia znacząco pomniejszona (oryginał – obecnie, po przycięciu ze wszystkich stron – ma rozmiar 379,5 x 453,5 cm, podczas gdy kopia na desce ma 66,5 x 85,5 cm), a poza tym nieznaczne zniekształcenie postaci wskazuje na to, że w trakcie tworzenia kopii malarz (prawdopodobnie Gerrit Lundens) patrzył na oryginał pod znacznym kątem. Ale przynajmniej dzięki temu wiemy, co było na zaginionych dzisiaj, odciętych fragmentach płótna Rembrandta.

Co ciekawe, płótno nie zostało przycięte symetrycznie: najszerzy pas usunięty został przy lewej krawędzi, a dość szeroki fragment od góry. Z tego powodu zupełnie

zmieniła się kompozycja portretu – ukazani na pierwszym planie kapitan Frans Banninck Cocq i porucznik Willem van Ruytenburch obecnie są na środku, ale oryginalnie ich postacie umiejscowione były bliżej prawej krawędzi obrazu. Jako że zostali oni ukazani, gdy idą w kierunku lewego brzegu, oryginalna kompozycja nadawała im większej dynamiki – wrażenie ruchu zostało utracone.

Operacja w Rijksmuseum

Gdy w połowie XVIII w. Jan van Dyck wykonywał renowację kolejnych obrazów należących do miasta, analizując obraz Rembrandta zanotował wiele pochwał pod adresem płótna: że szkoda, iż zostało ono przycięte, że efekty światłocieniowe są znakomite, a farba jest miejscami tak grubo położona, że można by na niej zerzeć gałkę muszkatołową. To właśnie badaniu tej charakterystycznej techniki malarskiej Rembrandta poświęcono teraz dużo uwagi.

Skany 3D pozwoliły na zbadanie grubości warstw malarskich oraz tego, jak Rembrandt świadomie różnicował je w poszczególnych partiach obrazu, a dodatkowych informacji dostarczyły precyzyjne badania stereomikroskopowe. Optyczna tomografia koherencyjna została wykorzystana do zbadania spodnich warstw farby, wykonano także zdjęcia rentgenowskie oraz w podczerwieni. Z wykorzystaniem najnowszych metod przebadano skład chemiczny pigmentów. Dziś możliwości techniczne pozwalają na precyzyjne przeanalizowanie wszystkich warstw dzieła, od płótna po werniksy, bez naruszania jego fragmentów.



W rezultacie aktualnych badań zgromadzono ponad 51 terabajtów danych na temat „Straży”; następnym krokiem będzie kompleksowa konserwacja. Materiały stworzone w czasie „Operation Night Watch” – m.in. wysokiej rozdzielczości zdjęcia oraz wideorelacje z kolejnych prac – są udostępnione na stronie rijksmuseum.nl oraz w internetowych kanałach instytucji.

A wreszcie zrodził się pomysł, aby zrekonstruować brakujące fragmenty. Nie na stałe – ponieważ nie zachowały się oryginalne



Od lewej: Grupa Laokoona, ok. 200 r. p.n.e., Muzea Watykańskie, Rzym;

Charles Soulier, Grupa Laocoona, fotografia wykonana w 1855 r.

Nie po skosie

CZY REKONSTRUOWANIE

brakujących elementów dawnych dzieł sztuki z zachowaniem stylu oryginału to coś, w czym konserwatorzy wyspecjalizowali się dopiero w XIX wieku? Absolutnie nie. Niejaki Felice De Fredis 14 stycznia 1506 r. dokonał zaskakującego znaleziska w swojej winnicy, która znajdowała się w pobliżu ruin starożytnego Złotego Domu cesarza Nerona:

wykopał mianowicie marmurową rzeźbę. Giuliano da Sangallo i Michał Anioł Buonarroti rozpoznali dzieło jako przedstawienie mitologicznego Laokoona i jego synów, ginących w walce z nastanymi przez bogów węzami, opisane przez Pliniusza Starszego jako zdobiące pałac Tytusa Flawiusza. Autorami rzeźby, według Pliniusza, mieli być artyści z Rodos: Agesander, Polidoros i Athenodoros. Papież Juliusz II szybko kupił



THE NATIONAL GALLERY PHOTOGRAPHIC DEPARTMENT / MATERIAŁY PRASOWE

Ekspozycja obrazu „Straż nocna”, Rembrandta po rekonstrukcji, Rijksmuseum w Amsterdamzie, 23 czerwca 2021 r.

ginalne odcięte pasy płótna, więc każda rekonstrukcja jest współczesnym dodatkiem do dzieła, czego w dzisiejszych czasach z założenia się unika. Mamy jednak dzisiaj techniczne możliwości, aby komputer... wcielił się w malarza.

Rekonstrukcja brakujących fragmentów dzieł sztuki, utrzymana „w stylu” oryginału, to zadanie, z którym artyści konserwatorzy znakomicie sobie radzą. A jednak kuratorzy z Rijksmuseum uznali, że praca człowieka zawsze jest dziełem indywidualnym, autorskim.

Chcąc nie tyle „podrobić” Rembrandta, ile „odtworzyć” jego dzieło, postanowili wykorzystać sztuczną inteligencję. Komputer musiał się „nauczyć” stylu Rembrandta oraz dopasować do oryginału zachowaną kopię Lundensa. Nie wystarczyło wirtualne „nałożenie” na siebie obu obrazów przy uzgodnieniu skali; trzeba było jeszcze cyfrowo skorygować kąty ujęcia poszczególnych postaci. Gdy już obie wersje zostały „uzgodnione”, system otrzymał za zadanie przeanalizowanie stylu Rembrandta

na poszczególnych postaciach i dopasowanie do tego stylu obrazu Lundensa. Chodzi o kolorystykę, modelunek, światłocień, charakterystyczne pociągnięcia pędzla. Sztuczna inteligencja, „nauczona”, jak poprawić Lundensa, aby wyglądał „rembrandtowo”, mogła w rezultacie odtworzyć brakujące elementy z oryginalnego obrazu.

Zrekonstruowane fragmenty w odpowiedniej dla oryginału skali zostały wydrukowane i na specjalnych panelach doczepione dookoła płótna Rembrandta. Tymczasowo można je oglądać w Rijksmuseum – oraz w formie cyfrowej na stronie muzeum.

Ekspozycja oryginału wraz z panelami zawierającymi wydruki komputerowej rekonstrukcji od początku ogłaszana była jako tymczasowa, ale w komentarzach w mediach społecznościowych już widać, że większość odbiorców wołałaby, aby pozostała na stałe. Dzięki uzupełnieniu czytelny stał się oryginalny zamysł kompozycji dzieła, która była po prostu znacznie lepsza; zwiedzający są zresztą zachwyceni możliwością ujżenia obrazu w formie, w jakiej Rembrandt go zaplanował. Jednocześnie technika wykonania tej rekonstrukcji oraz czytelne rozgraniczenie pomiędzy oryginalnym płótnem a dodanymi wydrukami sprawiają, że nie mamy tutaj do czynienia z ingerencją w samo dzieło. Może zatem kuratorzy Rijksmuseum mogliby się rzeczywiście zdecydować na przełomową decyzję pozostawienia zrekonstruowanych fragmentów w ramach stałej ekspozycji tego słynnego obrazu?

© MAGDALENA ŁANUSZKA

rzeźbę i do dziś znajduje się ona w Muzeach Watykańskich. Szkopuł w tym, że rzeźba nie była zachowana w całości – postaciom brakowało po jednej ręce. Papież chciał, by to uzupełniono. Wykonano rekonstrukcję brakujących kończyn; w przypadku samego Laokoona zdecydowano się na ramię wyciągnięte w górę. Kompozycja rzeźby z tym uzupełnieniem była bardzo wyraźnie diagonalna, z osią wyznaczoną przez prawe ramię

oraz lewą nogę głównego bohatera. Jedynie Michał Anioł podobno protestował przeciwko takiej rekonstrukcji – nie dlatego, że uważał, iż dodanie brakujących fragmentów jest niewłaściwe, ale dlatego, że sądził, iż ramię Laokoona powinno być zgięte, z dłonią skierowaną w kierunku głowy. Prawie czterysta lat po odkryciu Grupy Laokoona wykopano także brakujące ramię głównej postaci. Okazało się, że Michał Anioł miał rację.

W 2005 r. amerykańska badaczka Lynn Catterson opublikowała nawet artykuł, w którym starała się wylansować hipotezę, że słynna rzeźba w rzeczywistości nie jest zabytkiem antycznym, lecz fałszerstwem wykonanym przez Michała Anioła. Ta hipoteza nie jest do przyjęcia, a wiedza Michała Anioła na temat tego, jak powinno być ułożone zaginione ramię, wynikała z jego znajomości sztuki późnoantycznej. Zdawał sobie sprawę z tego, że bardziej

prawdopodobne było, iż hellenistyczni rzeźbiarze wyrównali skos kompozycji, niż że go dodatkowo podkreślili. Współcześnie rzeźba w Muzeach Watykańskich jest do oglądania bez dodatków – nie tylko podmieniono owo problematyczne ramię na oryginalne, ale także usunięto pozostałe dorobione ręce. Dziś bowiem najczęściej uważa się, że zaginionych fragmentów dawnych dzieł uzupełniać nie należy. © MŁ



KEF / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Wieloryb z Lorino”

Cmentarzysko waleńi

ANITA PIOTROWSKA

W nadmorskiej wiosce Czukczów wszystko zdaje się przeżarte rdzą: metalowe beczki, wraki maszyn i fotografie nagrobkowe. Przede wszystkim jednak zardzewiał tutaj czas.

SĄ WYRAZY, KTÓRE WYGLĄDAJĄ PODOBNE, ale mają odmienny źródłosłów – np. „rdzenny” i „rdza”. Pierwszy smakuje domowo i kojarzy się z zakorzenieniem, podczas gdy drugi ma nieprzyjemny, metalicznie gorzki posmak. W filmie „Wieloryb z Lorino” Macieja Cuskego te słowa stapiają się w jeden obraz, który przedstawia świat rodowitych mieszkańców dzisiejszej Czukotki, dotknięty – metaforycznie i dosłownie – głęboką korozją.

Przed nami jeden z najlepszych polskich filmów dokumentalnych ubiegłego roku, nagradzany na wielu pandemicznych festiwalach, a ostatnio zdobywca Orłów w swojej kategorii. Dopiero

teraz trafia się okazja, by zobaczyć „Wieloryba...” na dużym ekranie, chociaż na razie będą mieli ją tylko mieszkańcy Krakowa.

A skoro przy słowach jesteśmy, to dla niewtajemniczonych samo Lorino musi brzmieć niczym nazwa włoskiego kurortu. I tak można sobie to miejsce wyobrazić, słuchając natchnionych wierszyków recytowanych na akademii przez miejscowe dziewczynki. Tymczasem Cuske i jego operator Piotr Bernas stawiają kamerę na zapomnianych krańcach świata, jakkolwiek określenie „koniec świata”, również w apokaliptycznym znaczeniu, pasowałoby tu bardziej.

Zamieszkała przez Czukczów nadmorska wioska wygląda na miejsce upadłe – cmentarzysko ludzi, idei, zwierząt, rzeczy. Wszystko zdaje się przeżarte rdzą: powszechnie używane metalowe beczki, wraki maszyn i fotografie nagrobkowe. „Zardzewiałe” tony słychać także na ścieżce dźwiękowej i skąpa roślinność tundry też ma rdzawy odcień. Przede wszystkim jednak zardzewiał tutaj czas.

W wiosce wita nas popiersie wodza Wielkiej Rewolucji i nawet wizyta w ubożuchnym sklepiku, gdzie większość mieszkańców musi kupować na kreskę, jako żywo przypomina podróż do niedawnej przeszłości. Po upadku ZSRR, a wraz z nim tutejszego przemysłu ciężkiego i kołchozów, mało kto może się pochwalić regularną wypłatą. Nic dziwnego, że otoczeni poradzieckim złomem starsi mieszkańcy z sentymentem wspominają miniony system.

Ale i dzieciom nie jest łatwo zapomnieć o komunistycznym garbie. W tu-tejszej podstawówce spoglądają na nas ze ścian portrety „ojców narodu”: od Lenina po Putina. Trudno byłoby dowiedzieć się w takiej szkole czegoś o przemocowej sowyetyzacji regionu, o eksploataowaniu jego zasobów i niszczeniu rdzennej czu-

kockiej tożsamości. I o tym, dlaczego mieszkańcy Lorino, by przeżyć w stricte biologicznym sensie, polują dzisiaj na tytułowego walenia. Obecnie temu gigantycznemu ssakowi o prehistorycznym rodowodzie grozi wymarcie, podobnie zresztą jak wielu rdzennym ludom Syberii.

Jeśli komuś owo zwierzęce porównanie wyda się ryzykowne (a nie jest to jedyna w filmie tego rodzaju paralela), wątpliwości natychmiast rozwieje filmowy prolog. Cuske sięga w nim bowiem do animistycznych wierzeń, przywołując językiem miejscowej staruszki mit o narodzinach człowieka. Otóż wedle czukockiego *genesis* wieloryby i ludzie żyli kiedyś ze sobą w harmonii, płodząc wspólne dzieci. Aż do momentu, kiedy ziemski brat podniósł rękę na brata morskigo.

Reżyser „Wieloryba z Lorino” pokazuje więc świat podwójnie osierocony czy raczej taki, w którym nastąpiło dwukrotne zerwanie ciągłości. Najpierw było mityczne wygnanie z raju, drugie zaś przyszło wraz z duchowym wydrążeniem, jakie dokonało się na Czukczach za czasów sowieckich. Kolejny etap wykorzenia odbywa się na naszych oczach, w rytm rosyjskiego disco, przy wtórce emitowanych z Moskwy telenowel. Już tylko wyprawa z harpunami na pełne morze i towarzyszące polowaniu zbiorowe rytuały dają poczucie wspólnoty, przynależności do miejsca i przywiązania do wymarłej tradycji. Już tylko martwa wystawka w lokalnym muzeum przypomina o tym, co było drzewiej.

Próżno jednak szukać u Cuskego wyraźnej wprost narracji postkolonialnej; nie znajdziemy tu także malowniczej etnografii ani proekologicznego przesłania. Reżyser, znany z takich tytułów, jak „Elektryczka” czy „Antykwariat”, i tym razem wybrał coraz radszą we współczesnym dokumencie metodę prawie niezapośredniczonej obserwacji. Skierował obiektyw tam, gdzie wzrok nie sięga, i przetrzymał to ujęcie bez odautorskich komentarzy. Oszczędna muzyka Michała Jacaszka brzmi chwilami niczym z wnętrza czasu – albo z brzucha wieloryba. Jednocześnie ten zdegradowany pejzaż ludzki nadal otoczony jest majestatycznym dzikim pięknem. I ciągle, na przekór wszystkiemu, toczy się w nim życie. Cierpliwie zamałowuje się

pordzewiałe beczki na mięso, w kółko naprawia się stare przedmioty, a dzieciaki potrafią dokazywać nawet na wysypisku śmieci czy wielorybich szkieletoch.

W jednej ze scen nauczyciel pyta uczniów, po co właściwie rodzi się człowiek. Jeden z chłopców odpowiada szczerze: „żeby jeść”. Chwilę potem widzimy zamknięte w klatkach zwierzęta futerkowe z przydomowej hodowli, rozpaczliwie walczące o choćby kęs strawy. Zamiast opiewać utraconą harmonię, Cuske woli filmować to, co z niej pozostało, czyli całą brudną i brutalną stronę życia, włącznie ze skrwawionym morzem, ćwiartowaniem wieloryba i zjadaniem go na surowo jeszcze na plaży. Ale dobry i uczciwy dokument ma to do siebie, że niezależnie, jak bardzo jest bezpośredni lub dosłowny, zawsze trzyma stronę swoich bohaterów. Daje im prawo, „żeby jedli”, nie zożydza ich głodu ani też, co istotne, nie próbuje go na siłę estetyzować.

Niedawno młody rosyjski reżyser Filip Jurjew w swoim fabularnym „Wielorybniku” opowiedział historię, której akcja równie dobrze mogłaby rozgrywać się w Lorino. Jej bohater, zwykły czukocki chłopak, postanawia przeprawić się przez pobliską Cieśninę Beringa, by spełnić swój amerykański sen. Oba filmy, czysty dokument i surrealistyczna fantazja, świetnie się dopełniają. Prócz miejsca akcji łączy je to, że patrzą na swoich bohaterów nieuprzedzonym okiem, choć jeden humorystycznie, drugi fatalistycznie. Albowiem u Cuskego, czyli w świecie prawdziwym, nie ma już miejsca na piękne marzenia. ©

WIELORYB Z LORINO – reż. Maciej Cuske. Prod. Polska 2019. Do obejrzenia w krakowskich kinach studyjnych w dniach 22–27 lipca w ramach comiesięcznych pokazów kina dokumentalnego z Krakowskiego Festiwalu Filmowego.



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ

1. Julian Antonisz



Przegląd, Niniateka, do 10 sierpnia
W tym roku skończyłby 80 lat. Choćby z tej okazji warto przypomnieć dzieło jednego z najciekawszych twórców polskiej animacji, mistrza techniki non-camerowej polegającej na rysowaniu klatek filmu bezpośrednio na taśmie. W programie znalazł się „Ostry film zaangażowany” czy „Jak działa jamniczek” oraz dziesięć części „Polskiej Kroniki Non-Camerowej” z lat 1981–1985.

2. Morderstwo w hotelu Hilton



Thriller, reż. Tarik Saleh, Dania/Francja/Niemcy/Szwecja 2017, Player i inne VOD
Współreżyser dokumentu „GITMO – Nowe prawa

wojny” o więzieniu w Guantanamo nie mógł nakręcić typowego kryminału. Kairski policjant próbuje rozwikłać zagadkę śmierci pewnej piosenkarki, ale tłem staje się sytuacja społeczno-polityczna w Egipcie zapowiadająca wybuch Arabskiej Wiosny. Nagroda dla najlepszego dramatu zagranicznego na festiwalu Sundance.

3. Amonit



Melodramat, reż. Francis Lee, Wielka Brytania 2020, Chili
Wiktoriańskie kostiumy i także obyczajowość,

surowy nadmorski pejzaż pełen prehistorycznych skamieniałości i niespodziewana namiętność, jaka wybucha między dwiema kobietami – dojrzałą paleontologką (Kate Winslet) i młodą mężatką (Saoirse Ronan). Reżyser „Pięknego kraju” wie, w jaki sposób pokazać na ekranie niewypowiedziane emocje.

4. Dzikusy



Miniserial, tw. Sabri Louatah, Rebecca Zlotowski, Francja 2019, odc. 1–6, Nc+ GO i inne VOD

Co by było, gdyby prezydentem Republiki Francuskiej został po raz pierwszy w historii kandydat o algierskich korzeniach? Już w pierwszym odcinku tej political fiction opartej na głośnym cyklu powieściowym autorstwa Louataha sytuacja zmienia się o 180 stopni, obnażając na przykładzie dwóch rodzin rasowe uprzedzenia i napięcia.

Lektor:

Amerykański sen



■ Ewa Winnicka
GREENPOINT. KRONIKI MAŁEJ POLSKI
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2021, ss. 408.

NAJPIERW DWA CYTATY.
Beata: „Kochałam nasz sklep. Klienci opowiadali nam całe swoje życie. Byliśmy tam potrzebni. Przychodzili alkoholicy, którzy nie chcieli już pić, ofiary przemocy domowej, dziadkowie ze zdjęciami wnuków, których w życiu nie widzieli”. Mieszko: „Miałś tam swój konfesjonał. Matka Boska Delikatesowa. Ludzie płakali nad sobą, zwierzali się z grzechów i patrzyli w oczy, czy im przebacysz. Potraktowałbym ten sklep miotaczem ognia. To było więzienie. Odsiedziałem w tym miejscu dwudziestopięćioletni wyrok”.
Beata i Mieszko przyjechali do Ameryki w 1983 r. Przez ćwierć wieku prowadzili sklep Beata Delicatessen przy 984 Manhattan Avenue na Greenpoincie. Dziś mieszkają na Florydzie, ich dzieci – David i Ashley, imię dla córki wybrali na złość rodzinie w kraju

– skończyły studia na dobrych amerykańskich uczelniach (Princeton, Florida Institute of Technology). Długa i nadzwyczaj wciągająca rozmowa z nimi tworzy nie przewodnią całości, komentarz do najnowszych dziejów Greenpointu trochę ironiczny, trochę emocjonalny, jak w tej zacytowanej wyżej wymianie zdań.
Ewa Winnicka postawiła sobie cel niełatwy – napisać rodzaj reporterskiej monografii tego kawałka nowojorskiego Brooklynu, który przez sto kilkadziesiąt lat dla wielu Polaków był przedsięwzięciem ziem obiecanej. A ci często nigdy tego przedsięwzięcia nie opuszczali. „Z tunelu metra przy Greenpoint Avenue wyszłam po raz pierwszy w sierpniu 2001 roku i była to fascynacja od pierwszego wejrzenia” – pisze autorka. Wielu odwiedzających odbierało pierwszy kontakt z Greenpointem jako translokację w czasie i prze-

strzeni – do Łomży, pod Rzeszów, a może do Kolu-szek? Winnicka jest innego zdania – niczego takiego w Polsce nie było. „Greenpoint – tłumaczy – był po prostu syropem z Polski. Polską zagęszczoną, ale słabo rozpuszczającą się w nowojorskim roztworze”. Teza śmiała, ale i trochę przerażająca, jeśli się jej książkę uważnie przeczyta. Więc tacy jesteście? Winnicka – wybitna reporterka, autorka m.in. „Londyńczyków”, „Angoli” i „Nowego Jorku zbuntowanego” – starannie układając swoją opowieść z materiałów historycznych, publikowanych wcześniej świadectw, a przede wszystkim z relacji przez siebie zebranych, powstrzymuje się od komentarza, a tym bardziej ocen. Stara się być blisko swoich bohaterów, nie czyści ich języka, co jest oczywiste w przypadku relacji chłopskich emigrantów sprzed stulecia, ale dotyczy także współczesności. Musimy więc nauczyć się, że sabież to mieszkanie z pokojami na wynajem (często bez okna) ułożonymi jeden za drugim jak wagony metra, a lakiernia (jakaż trafna nazwa!) to *liquor store*, czyli sklep z alkoholem. Musimy też przełknąć rasizm i antysemityzm pani Janiny, która do Stanów

Zjednoczonych przyjechała w 1980 r. (czarny na drzewo, Żyd do Izraela, a Portorykanin to Kakroc).
Dzieje polskich instytucji, rozdzielanych jak zwykle sporami i wojną podjazdową rozmaitych frakcji (cóż, tacy rzeczywiście jesteście), są nieco nużące, natomiast pojedyncze losy fascynują i poruszają ogromnym czasem dramatyzmem – jak w przypadku ludzi, o których opowiada pani Eryka, zajmująca się bezdomnymi. Dlaczego żyjąca na ulicy pani Weronika nigdy nie odezwała się do swoich bliskich w kraju, którzy przez lata jej szukali? Dlaczego ktoś sprowadza z Polski kolegę, o którym wie, że ten nie opuścił nigdy swojej wioski, i nawet nie odbiera go z lotniska? Czasem jest też trochę groteski – chłopak pani Joanny dopiero na Brooklynie objawia oblicze strasznego sknery i liczy plasterki sera w lodówce, a ona sama dzięki znajomości języka pomaga petentkom w biurze imigracyjnym, jeżdżąc tam jak do paszczy lwa – bo przebywała w Ameryce nielegalnie. Podziały polityczne z kraju przenoszą się oczywiście na Greenpoint, a równocześnie dzielnica nieodwracalnie zmienia charakter. Dzięki tej książce zatrzymana została w czasie. © P

17 lipca 2021 r. zmarł w Krakowie

Ś.†P.

Stanisław Rodziński

nasz autor, malarz i pisarz, były rektor Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

Rodzinie i bliskim zmarłego składamy wyrazy współczucia

„TYGODNIK POWSZECHNY”

PAWEŁ

Bravo:

Regeneracje



„WYJŚCIE Z UNII EUROPEJSKIEJ DAJE NASZEMU KRAJOWI ZNAKOMITĄ OKAZJĘ, BY POKAZAĆ ŚWIATU WŁAŚCIWĄ DROGĘ”. Nie, to nie brudnopis przemówienia premiera na defiladę 15 sierpnia, znaleziony wśród e-maili druha Dworczyka. Nie mam też

dostępu do serwerów usługi Pegasus, którą minister Kamiński monitoruje biznesy i romanse kolegów z partii i stronnictw sojuszników. To zresztą ciekawy znak czasów: gdy widzisz dwóch mężczyzn snujących się po parku bez psów na smyczy czy dzieciaków na rowerkach, to od razu wiesz, że spiskują, bo po cóż by innego mieliby opuszczać wygodne pokoje komunikatorów?

Ten cytat nie pochodzi z Polski – w naszym kraju nic nie dzieje się do końca, wszystko umiemy utopić w zalewie godnościowego pustostwa (osoby z przedwojenną maturą albo powojennym dyplomem mogą tu użyć słowa: grandilokwencja). Cytowałem wystąpienie brytyjskiego ministra rolnictwa, który zapowiadał postbrexitowy program reorganizacji systemu subwencji dla rolnictwa. Występował na dorocznym wielkim zlocie alternatywnych rolników w hrabstwie Hertfordshire, zwanym z racji buntowniczej aury „rolniczym Glastonbury”. „Będziemy wspierać rolnictwo regeneratywne”, obiecał minister – i za tymi słowami poszedł konkretnie (wiem, że lubicie czytać cyferki): 70 funtów dopłaty do hektara upraw, które na pierwszym miejscu stawiają dobrostan gleby.

Albowiem to gleba jest w centrum najnowszego trendu proekologicznej produkcji żywności. Zanotujcie: „regeneratywne”; wkrótce będzie pełno tego słowa na waszym ulubionym ekostraganie. „Zrównoważone” rolnictwo to za mało, to zgniły kompromis – to tak, jakby wam wystarczyło osiągnąć jako taką równowagę w związku zamiast prawdziwego szczęścia, przekonują apostołowie regeneracji. Nie jestem pewien, czy to trafna analogia, bo trwające w stanie zrównoważonej nudy małżeństwo wystarcza, aby wyhodować zdolne do dalszego rozwoju potomstwo, ale w przypadku upraw i hodowli aktywiści mają rację: bez zdrowej i zdolnej do regeneracji gleby nie zdołamy się wkrótce wyżywić – choćbyśmy hodowali coraz bardziej wydajne odmiany i mutanty.

Przed wszystkim trzeba zaprzestać głębokiej orki (jeden z polskich serwisów w sieci poświęconych tej nowej modzie nazywa się „Bez pługa”), dalej płodozmian i wypas zwierząt na polach, którym daje się „odpoczynek”. A także odejście od chemii, by przywrócić habitat ogromnej liczbie grzybów i mikroorganizmów, które tworzą zdrową glebę. Jeśli cho-

dzi o ciało człowieka, wreszcie doceniliśmy naskórek w jego roli zapewnienia organizmowi korzystnej wymiany z otoczeniem. Trzeba teraz zrobić to samo z matką Ziemią, uwolnić ją od naszych makijaży. Tym bardziej że żywa i zdrowa gleba magazynuje w sobie kolosalną ilość dwutlenku węgla (a intensywne jej niszczenie go uwalnia). Dlatego nawet mówi się o tym rolnictwie, że jest *carbon negative*, czyli ma ujemny bilans węglowy.

Zważywszy, że bilans węglowy i wszystko, co obiecuje jego obniżkę, jest teraz najlepszą podkładką do każdej decyzji politycznej i wytrychem do każdego budżetu, rolnictwo regeneratywne wyjdzie z niszy sympatycznych dostawców rzadkich odmian dyni i korzonków obsługujących wielkomiejskie stragany i parę „świadomych” restauracji. Problem tylko w tym, że ludzie jak dotąd przodujący w umiłowaniu gleby uprawiają małe gospodarstwa i mają – dzięki współpracy z odbiorcami z górnej półki – na tyle wysokie marże, że pozwala im to przetrwać np. rok ze złą pogodą. Rok przymrozków w okresie kwitnienia, suszy, kiedy plon dojrzewa, i gradobicia tuż przed zbiorami. Których to zjawisk, jak czytamy wszędzie dookoła, będzie jeszcze więcej.

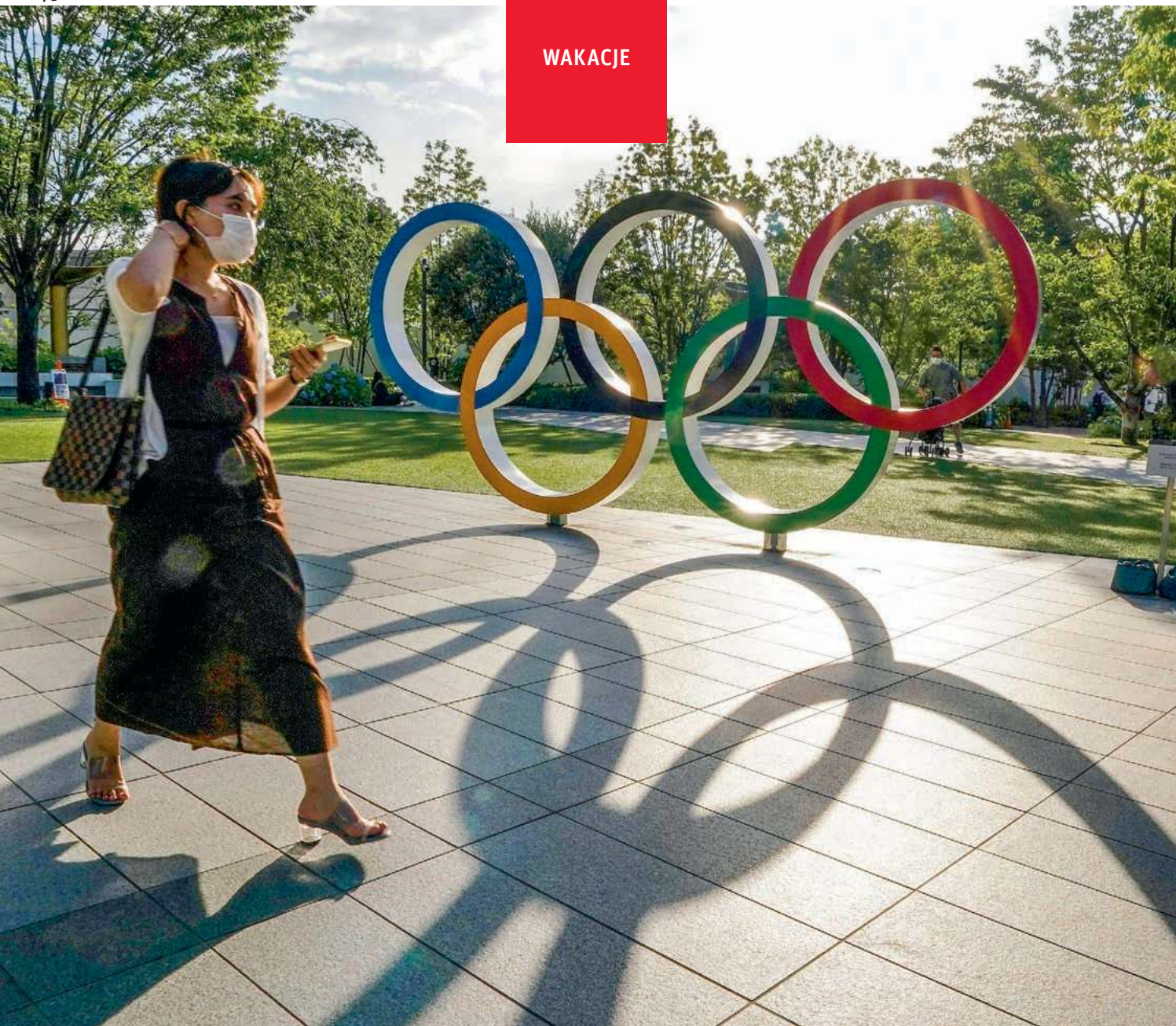
Nie wystarczy cofnąć zegar i technikę, podzielić na setki małych poletek agrobiznesowe molochy, siać stare odmiany, rozrzucać obornik, a przy tym jeść mniej, smażyć chipsy z obierek i chodzić piechotą. Tak jak katastrofa spadająca na nasze głowy jest wielowymiarowym zaburzeniem systemu, którego wcale do końca nie rozumiemy, tak też nasze reakcje nie muszą być całkiem spójne, żeby były sensowne. Niektóre budzą uśmiech politowania, kiedy czytamy, jak to pewien regeneratywny entuzjasta zatrudnił w gospodarstwie konie pociągowe, by nie tankować diesla. Inne budzą niepokój, kiedy myślimy o barykadach, które mogą stanąć, gdy milionom ludzi spróbuje się podwoić rachunki za zimowy opał. Między fałszywą pewnością, że coś na pewno zadziała, a biernością tych, dla których i tak już jest za późno na cokolwiek, ciągnie się obszar nie dość spójnego życia, które próbujemy co dzień, przy śniadaniu, jakoś na swój sposób regenerować. ©P



ADOBE STOCK

*Kiedy upały trwają dłużej niż tydzień, wewnętrzny lasuch we mnie gaśnie, a jest to jeden z moich ulubionych aspektów własnej osoby. Na nic karmienie go sałatką owocową, choćby nawet z dobrym alkoholem, czy pojeńnię lemoniadą – jemu trzeba konkre-
tów. Próbuje więc lżejszych wariantów ulubionych deserów. Np. taki*

przekładaniec inspirowany tiramisu – tyle że zamiast tłustego mascarpone bierzemy 500 g chudziutkiej ricotty. Mieszamy ją delikatnie widelcem z 50 g cukru pudru, odrobiną tartej skórki cytrynowej i dodajemy stopniowo 250 g jogurtu greckiego, aż powstanie lekki krem. Miksujemy 1/2 kg truskawek. Moczymy w tym przecierze biszkoptów, kładziemy je warstwą na dnie naczynia, na to dajemy krem, po czym trochę musu truskawkowego i plasterki truskawek, potem znów moczone biszkopty, krem i na wierzch owoce. I obowiązkowo parę godzin w lodówce. Można truskawki zamienić na maliny albo na przemian dać jedne i drugie.



Park przy stadionie, gdzie odbędzie się uroczystość otwarcia Igrzysk Olimpijskich. Tokio, czerwiec 2021 r.

IGRZYSKA PRAWDZIWYCH WARTOŚCI

Odłóżmy na bok gładkie słowa.
Kroi się, dosłownie i w przenośni, najbardziej sterylna olimpiada w historii.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

NA ULICACH JAPOŃSKIEJ STOLICY PRÓŻNO DZIŚ SZUKAĆ oznak ekscytacji letnią olimpiadą, która zaczyna się w piątek 23 lipca. Widoczne gdzieś plakaty „Tokyo 2020” wiszą jeszcze od zeszłego roku.

Bardziej niż święto sportu mieszkańców Tokio zaprzęta liczba zakażeń koronawirusem – rosnąca znów od połowy czerwca, a w połowie lipca wynosząca ok. 2,5 tys. nowych infekcji dziennie w skali kraju, z tendencją stale rosnącą – oraz obawa, że przyjazd tysięcy gości z zagranicy rozbucha pandemię. Sondaż z maja wskazywał, że aż 80 proc. obywateli chciałoby odwołania bądź kolejnego przełożenia olimpiady, która pierwotnie miała odbyć się rok temu. Sceptycyzmu nie kryją też gremia medyczne i biznesowe.

Trudno się dziwić Japończykom, że mają poczucie, iż impreza jest im narzucana – i to z powodów dalekich od tych, o których mówią olimpijskie slogany.

Wiara w nową energię

Całkiem inna atmosfera panowała w 2013 r., gdy miastu przyznano organizację igrzysk. Japońscy dziennikarze relacjonujący werdykt Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego mieli łzy w oczach. Była to pierwsza od długiego czasu dobra informacja dla kraju i okazja do wyrażenia zbiorowej radości. Japończycy wciąż lizali rany po trzęsieniu ziemi, tsunami i katastrofie w elektrowni jądrowej w Fukushima z marca 2011 r. Jednak nie tylko o to chodziło – już dużo wcześniej Japonia stała się dla świata synonimem stagnacji oraz tracącego wigor, szybko starzejącego się społeczeństwa.

Olimpiada miała to zmienić. Władze, na czele z ówczesnym nacjonalistycznym premierem Shinzō Abem, twierdziły, że Japończycy dostali szansę, by zjednoczyć się we wspólnym celu, że igrzyska dadzą im nową energię i w efekcie otworzą nowy rozdział historii kraju. Podobnie jak pierwsza tokijska olimpiada z 1964 r., która pokazała światu inną Japonię: wyleczoną z militarystyki, demokratyczną i nowoczesną.

Przygotowania do imprezy przebiegały planowo, choć nie bez zgrzytów. Niektóre z nich zawstydzali organizatorów. I tak, logo igrzysk zmieniono, gdy pewien belgijski artysta postawił zarzut plagiatu. Podejrzanie przekupstwa, w celu uzyskania decyzji MKOl o organizacji igrzysk w Tokio, zmusiło do dymisji Tsunekazu Takedę, szefa Japońskiego Komitetu Olimpijskiego (JOC). Dyrektor kreatywny imprezy, odpowiedzialny za ceremonię otwarcia i zamknięcia, zrezygnował, gdy ujawniono jego prześmiewcze maile na temat tuzi jednej z celebrytek. Porzucono plan budowy stadionu olimpijskiego, gdy jego koszty okazały się mocno niedoszacowane. A już w tym roku samobójstwo popełnił jeden z wyższych oficjeli JOC; okoliczności są wciąż wyjaśniane.

Najdroższa olimpiada w dziejach

Największym skandalem okazała się jednak wypowiedź Yoshiro Moriego, szefa komitetu organizacyjnego igrzysk. Ten 83-letni były premier stwierdził, że nie zatrudnia kobiet na kierowniczych stanowiskach, bo są zbyt gadatliwe i przekrzykują się nawzajem, co utrudnia sprawne podejmowanie decyzji. W świecie japońskiej polityki, zdominowanym przez sędziwych mężczyzn, takie wypowiedzi nie są rzadkością. Przykładowo gubernator Osaki zaleca, by podczas pandemii to mężczyźni robili zakupy, kobiety bowiem zbyt długo kręca

się między regałami, niepotrzebnie zagęszczając liczbę osób na powierzchni danego sklepu.

W podobnych sytuacjach przeprosiny i głęboki ukłon kończą zwykle sprawę. Jednak wypowiedź Moriego podchwyciły światowe media, zawstydzony podał się więc do dymisji. Ratując wizerunek, Japończycy wyznaczyli na jego miejsce kobietę – była olimpijkę Seiko Hashimoto.

Pomimo tych gaf kolejne obiekty sportowe oddawano bez opóźnień – w stolicy powstało ich łącznie dziewięć, za łączną kwotę 3,5 mld dolarów. Tuż przy Zatoce Tokijskiej, na czterdziestu hektarach osuszonego gruntu, wyrosła też wioska olimpijska, która w przyszłości stanie się kompleksem apartamentów.

Wątpliwości budzić mogły jedynie koszty całej olimpiady. Oficjalnie wynoszą one 15 mld dolarów, ale nieoficjalnie drugie tyle. Szacunki uniwersytetu oksfordzkiego wskazują, że będą to najdroższe igrzyska w historii.

Tak czy inaczej, od końca 2019 r. dał się wyczuć nastrój wyczekiwanego na wielkie sportowe święto, podsycany przez media. Bilety sprzedawały się dobrze, z zagranicy przyjechać miał milion kibiców. Trwało już odliczanie dni do startu olimpijskiej sztafety, której początek wyznaczono w Fukushima. I wtedy świat opanowała pandemia, stawiając misternie zaplanowaną imprezę pod znakiem zapytania.

Bez twardego lockdownu

Jeszcze do końca 2020 r. Japonia, mająca 126 mln mieszkańców, mogła uchodzić za prymusa w walce z koronawirusem. Liczba wykrywanych zakażeń i śmiertelność utrzymywały się tutaj na dużo niższym poziomie niż w Europie czy USA. Podobnie jak na całym Dalekim Wschodzie, wskazywano na posłuszeństwo Japończyków wobec zaleceń władz i na pamięć o poprzedniej epidemii SARS. Również japoński obyczaj miał stanowić naturalną barierę przed wirusem: zamiast uścisku ręki i pocałunków, na powitanie obowiązuje tu ukłon, a maseczki i środki dezynfekujące były powszechnie używane na długo przed pandemią.

Kraj ani razu nie musiał być więc objęty twardym lockdownem. Wprowadzany kilkakrotnie w stolicy i innych prefekturach stan nadzwyczajny sprowadza się zasadniczo do zaleceń ze strony władz. Gubernator Tokio, Yuriko Koike, prosi wtedy, by zamykać restauracje o wyznaczonej godzinie, by nosić maseczki nawet w domu, gdy wśród członków rodziny są osoby starsze, a także by korporacje zwiększały udział pracy zdalnej.

Najbardziej konkretne wskazania, obarczone karą administracyjną, dotyczą godzin serwowania alkoholu. Zapewne dlatego, że tylko po jego spożyciu Japończycy skłonni są do spontanicznych, a więc niebezpiecznych podczas pandemii zachowań. Nawet jednak przy tych obostrzeniach w bocznych uliczkach Tokio znaleźć można otwarte do późna bary, które obsługują stałych klientów.

Dane mało wiarygodne

Obrana przez Japonię strategia walki z covidem kryje jednak w sobie znak zapytania. Od początku wykonuje się tu bardzo mało testów na obecność koronawirusa, średnio dziesięciokrotnie mniej niż w Europie. Nigdy do nich nie zachęcano, a na badanie, zwłaszcza w pierwszym okresie pandemii,

→ można było się dostać tylko przy silnych objawach infekcji. Wiele osób, które przeszły chorobę, nie jest więc najpewniej ujętych w statystykach.

Uzasadnienia dla takiego postępowania władz szuka się w strukturze japońskiego systemu opieki zdrowotnej. Zdecydowaną większość stanowią tu kliniki prywatne, nastawione na standardowe i zyskowe procedury. Leczenie covidu się do nich nie zalicza, chorzy wymagają zatem opieki w szpitalach państwowych, których brakuje.

Przyczyna niskiej liczby testów może tkwić też gdzie indziej. Jasne jest, że przy szalejącej w kraju pandemii maleją szanse na przeprowadzenie igrzysk. Da się temu zaradzić metodą, do której po polsku pasuje powiedzenie: „Stłucz termometr, a nie będziesz miał gorączki”.

Teoria spiskowa? Być może. Jak jednak wytłumaczyć, że początkowo niska liczba wykrywanych zakażeń zaczęła rosnąć nagle z końcem marca 2020 r., tuż po decyzji o przełożeniu igrzysk? Ambasada Niemiec w Tokio zdobyła się wtedy na bezprecedensową krytykę japońskich władz, pisząc o „braku wiarygodności oficjalnych danych”.

Do nowego terminu igrzysk było wtedy wciąż szesnaście miesięcy, a na rynku miała pojawić się szczepionka. Jeszcze w styczniu 2021 r. premier Yoshihide Suga zapowiadał, że olimpiada stanie się „symbolem zwycięstwa ludzkości nad koronawirusem”.

Dwa miesiące po tym wystąpieniu rząd Japonii uniemożliwił wjazd wszystkim zagranicznym kibicom, a na piętnaście dni przed rozpoczęciem igrzysk wprowadził kolejny stan nadzwyczajny i zakazał obecności widzów podczas większości zawodów.

W poczuciu zagrożenia

Nie ma wątpliwości: na ostatniej prostej przed olimpiadą Japonia z prymusa stała się maruderem w zwalczaniu pandemii. Co zawiniło?

Przed wszystkim kiepski początek programu szczepień. Z powodów proceduralnych ruszył on dwa miesiące później niż w krajach Europy. Najpierw zaczęto szczepić personel medyczny, a od kwietnia seniorów powyżej 65. roku życia. Okazało się wtedy, że system rejestracji jest niewydolny, strony internetowe i linie telefoniczne szybko ulegały przeciążeniu.

W rezultacie jeszcze na początku maja Japonia szczepiła swoich obywateli wolniej niż wielu jej biedniejszych azjatyckich sąsiadów. Zakładany i obiecywany przez rząd cel, aby podawać milion szczepionek dziennie, uzyskano dopiero pod koniec czerwca, gdy do pomocy przystąpiło wojsko, a do całej operacji dołączyły korporacje i uniwersytety.

Nawet takie tempo umożliwiło wyszczepienie do dnia otwarcia olimpiady zaledwie ok. 20 proc. populacji. Tymczasem, pomijając kibiców, do Japonii zjedzie blisko 80 tys. ludzi z każdego zakątka świata, a czas igrzysk i tak wiąże się ze wzmożonym przemieszczaniem się ludności po kraju, choćby wolontariuszy.

Przeciętny Japończyk ma więc prawo czuć się zagrożony dalszym rozwojem pandemii, a potwierdzenie swoich obaw znajduje wśród autorytetów. „Nie jest rzeczą normalną, by organizować igrzyska w takich okolicznościach” – mówi Shi-geru Omi, główny doradca medyczny rządu. Dużą falę zacho-

rowań przewiduje Haruo Ozaki, szef Tokijskiego Towarzystwa Medycznego.

Sam cesarz wyraził zaniepokojenie bezpieczeństwem obywateli (głosem jednego ze swych dworzan), a Hiroshi Mikitani, szef wielkiej firmy Rakuten (zajmującej się handlem elektronicznym), nazwał organizację igrzysk podczas pandemii „misją samobójczą”.

Między pieniędzmi i prestiżem

Skokowy wzrost zachorowań na covid, jeśli do niego dojdzie, może sprawić, że służba zdrowia znajdzie się na granicy wydolności. Precedens już jest: gdy wiosną w Osace było kilkaset nowych przypadków dziennie, zabrakło miejsc w szpitalach i nawet chorzy z ciężkimi objawami byli kierowani do domów lub hoteli; część z nich tam zmarła.

Co stoi więc na przeszkodzie, by definitywnie odwołać igrzyska lub przełożyć je ponownie?

Nie kwapi się do tego rząd, który poniósł już znaczne wydatki budżetowe i jak najwięcej z nich chciałby odzyskać. Ważą się także losy premiera Sugi. Jesienią czekają go wybory, potrzebuje sukcesu. Będzie nim na pewno bezpieczne przeprowadzenie igrzysk w czasach pandemii. Ale istotną rolę odgrywa również międzynarodowy prestiż kraju. Pół roku po igrzyskach tokijskich odbywają się kolejne, w Pekinie. Gdyby po odwołaniu letniej olimpiady udało się Chińczykom sprawnie przeprowadzić zimową, byłby to cios dla dumy Japończyków. Poprzedni premier Abe mówi dziś, że tylko ktoś o antyjapońskich poglądach może popierać pomysły rezygnacji z imprezy.

Japonia ma też jednak wiele – być może najwięcej – do stracenia, gdyby podczas igrzysk epidemia wymknęła się spod kontroli. Wydatki poniesione na organizację olimpiady są znaczne, ale stanowią tylko ułamek japońskiego PKB. Gospodarka ucierpi dużo bardziej, jeśli epidemiczna wielka fala zaszkodzi koniunkturze. Podobnie będzie zresztą z wizerunkiem kraju, tak ważnym dla Japończyków, gdy koronawirus przyćmi sportową rywalizację.

Bardzo konkretne interesy

Podobnych dylematów nie ma Międzynarodowy Komitet Olimpijski, który jest właścicielem igrzysk – to on najsilniej agituje za ich przeprowadzeniem w terminie.

„Zostaliśmy przyparci do ściany i nie możemy się już wycofać. Jesteśmy na przegranej pozycji, czy igrzyska się odbędą, czy nie” – mówi Kaori Yamaguchi, członkini Japońskiego Komitetu Olimpijskiego. Okazuje się, że tylko MKOl, który zawiera kontrakt z miastem goszczącym olimpiadę, jest władny ją odwołać. Może to zrobić na wniosek władz Tokio – z powodu zagrożenia zdrowia i życia uczestników – ale wtedy Japończycy zostaną obciążeni kosztami.

Nie to jest jednak najistotniejsze. Trzy czwarte wpływów MKOl, czyli ok. 4 mld dolarów, pochodzi ze sprzedaży praw do transmisji igrzysk. MKOl robi więc wszystko, by się odbyły – podobnie jak wielkie stacje telewizyjne, a zwłaszcza NBCUniversal, która obsługuje 40 proc. relacji. Jej szef Jeff Shell liczy na rekordowe zyski.

Skądinąd fakt, że igrzyska odbywają się, gdy w stolicy Japonii panują akurat mordercze temperatury i wysoka wilgotność powietrza, to również wyjście naprzeciw żądaniom kon-

cernów medialnych – jesienią NBCUniversal nie ma czasu na olimpiadę, bo musi relacjonować u siebie futbol amerykański i baseball.

Za odwołaniami do szczytnych idei barona de Coubertina kryją się więc tutaj bardzo konkretne interesy.

Niby wszyscy o tym wiedzą. Ale dopiero w tych rzadkich momentach, gdy ważą się losy igrzysk, staje się jasne, kto pociąga za sznurki. Japończycy nieraz zderzali się ostatnio z arogancją wysokich przedstawicieli MKOl. Wiceszef tej organizacji John Coates zapowiedział, że igrzyska odbędą się nawet przy sprzeciwie japońskich medyków i nawet wtedy, gdy Tokio i inne miasta wprowadzą stan nadzwyczajny. Inny weteran MKOl Dick Pound stwierdził, że „tylko armagedon” może powstrzymać imprezę, i że władzy takiej nie ma nawet premier Suga. „Oni traktują nas jak kolonię” – komentowała miejscowa prasa.

Japończykom niekoniecznie przypadły też do gustu protekcyjne wypowiedzi, że są dzielnym narodem, który przetrwał bombę atomową, trzęsienia ziemi, tsunami i Fukushima, poradzi więc sobie również z igrzyskami podczas pandemii. „MKOl zdaje się sądzić, że opinia publiczna w Japonii jest bez znaczenia” – komentowała to Kaori Yamaguchi.

Dobra mina do złej gry

Od momentu zniesienia stanu nadzwyczajnego, co stało się 20 czerwca, w Tokio liczba nowych przypadków koronawirusa podwoiła się – do blisko tysiąca dziennie. W poniedziałek 12 lipca wprowadzono wobec tego kolejny stan nadzwyczajny, który potrwa do 22 sierpnia. Kryteriów „armagedonu” to zapewne nie wyczerpuje, a zatem igrzyska rozpoczną się planowo. Podczas ceremonii otwarcia zabraknie zwykłych tokijczyków, za to jedną z liczniejszych grup będą stanowić działacze MKOl.

Japońska strona robi dobrą minę do złej gry. Szefowa komitetu organizacyjnego Seiko Hashimoto mówi, że okrojone z widzów i blichtru igrzyska oznaczają powrót do ich „prawdziwych wartości”. Drakońskie środki bezpieczeństwa określa zaś jako przejaw japońskiej gościnności i troski jednych o drugich. Ale odłóżmy na bok gładkie słowa. Kroci się, dosłownie i w przenośni, najbardziej sterylna olimpiada w historii.

Po wylądowaniu w Japonii sportowcy mają poruszać się wyznaczonymi „korytarzami”, bez kontaktu z miejscowym społeczeństwem. Nie będzie rozdawania autografów, spontanicznych uścisków dłoni z fanami ani wycieczek krajoznawczych. Mieszkańcy wioski olimpijskiej muszą codziennie poddawać się testom, a wykrycie wirusa u choćby jednego członka zespołu oznacza kwarantannę dla wszystkich.

Poza zawodami i spożywaniem posiłków sportowcy są zobligowani do noszenia maseczek. Liczbę miejsc w stołówkach zmniejszono o jedną trzecią, a te, które są, oddzielono pleksiogłosem. Z chwilą ukończenia konsumpcji należy szybko opuścić pomieszczenie. Zgodzono się wprowadzić na konsumpcję alkoholu, ale tylko we własnych pokojach.



„Olimpiada zabija nas wszystkich”: protest podczas ceremonii przyjęcia sztafety olimpijskiej na stadionie w Tokio, 9 lipca 2021 r. W związku z rozwojem epidemii władze nie pozwoliły sztafecie biec ulicami, aby uniknąć zgromadzeń.

Zgodnie z tradycją olimpijską (wprowadzoną od 1988 r., od igrzysk w Korei) dostępne będą prezerwatywy, organizatorzy zastrzegają jednak, że nie jest to zachęta do intymnych kontaktów, lecz suvenir, który należy zabrać ze sobą do domu. Sportowcy, którzy bez szwanku ukończą występy, mają potem 48 godzin na spakowanie się i wylot z Japonii.

Niewinność już nie wróci

Czy takie ograniczenia uchronią gości i Japończyków przed gwałtownym wzrostem zachorowań? Jak dotąd po przylocie wykryto infekcję u dwóch Ugandyczyków i Serba; wszyscy mieli być wcześniej zaszczepieni, co skądinąd nie jest obojętne.

Liczące po kilkadziesiąt stron broszury z wytycznymi dotyczącymi poprawnego zachowania się przygotowano także dla ekip towarzyszących imprezie. Jest wśród nich korpus prasowy zagranicznych dziennikarzy, razem 6 tys. osób. Przez dwa tygodnie po przylocie mogą oni poruszać się tylko wraz z urządzeniem GPS śledzącym każdy ich krok. Mają nocować w wyznaczonych miejscach, unikać używania komunikacji publicznej i częściej wyłącznie na wskazane wcześniej zawody. Amerykańskie media we wspólnym liście do organizatorów wyraziły zaniepokojenie sposobem wykorzystania osobistych danych dziennikarzy, apelując też, by podjęte środki nie przekraczały zasad „zdrowego rozsądku”.

Tuż przed wprowadzeniem w lipcu kolejnego stanu nadzwyczajnego część sondaży wskazywała rosnący – do ok. 50 proc. – odsetek zwolenników terminowego rozpoczęcia igrzysk. Albo zadziałało tempo szczepień, albo ludzie chcą mieć już za sobą imprezę, której odwołać się nie da. Możliwe jest też, że rzutem na taśmę wyrzესali z siebie nieco entuzjazmu dla sportowego święta. Oby dotarł on jakoś do sportowców.

Niewinna fascynacja ideą olimpijską, która łączyła wcześniej wielu Japończyków, raczej już jednak nie wróci.

© PIOTR BERNARDYN

Tekst ukończono 12 lipca.

STANISŁAW

Mancewicz:

Ciepło, więc duszno



CHCIAŁOBY SIĘ DZIŚ RZEC TYLE, ŻE IM JEST cieplej, tym gorzej. Ktoś powie, że najgorszą konsekwencją ocieplenia jest susza. Albo ulew i podmycia. Albo wichry bądź trąby. Ktoś inny, że poważniejszym problemem są stada szakali. Powiada się, że

stada szakali przekroczyły grzbiet Karpat i idą ku Warszawie. Że idą tam, by obmyć łapy swe w czystym nurcie Wisły. Ludzi, którzy w obserwacjach ssaków nie widzą niczego pożytecznego, przejmują informację, że nad jeziorami mazurskimi krążą pelikany. Rzec trzeba, że w polszczyźnie – jeśli idzie o awifaunę – jakakolwiek obecność pelikana w sensie symbolicznym nie została ujęta ani przewidziana. Są orły, wrony, są kruki i bywają sępy. Jest więc w tej nowości jakiś nowy złowieszczy znak, bo trzeba pamiętać, że symboliczne znaki w Polsce są wyłącznie złowieszcze.

Idźmy dalej. Ktoś zaangażowany politycznie, po stronie naszej intelektualnie niezwykle prawicy, otarłszy pot z myślącego czoła, powie, że ciepło kojarzy mu się nie z porą roku, nie ze strefą klimatyczną, lecz wyłącznie z p. Tuskiem, czyli jednoznacznie i źle. Jego – Tuska – sławna „ciepła woda w kranie” – to trzeba przypominać – była hasłem wywołującym w Polsce ogromne emocje. Głównie negatywne. Tylko tu hasło mające w rozpadającym się świecie obiecywać małą stabilizację mogło wywoływać niechęć i lekceważenie albo raczej straszliwy lęk. To było wtedy i osobliwe, i oryginalne w skali planety. Dziś jest jeszcze osobliwiej i jeszcze oryginalniej. Popatrzmy: człowiek odkręca kran, czeka, wkłada palec pod strumień i jego wizja powszechnego spisku elit, poczu-

cie odliberalnej krzywdy i przestachu wobec ideologii lewicowych same się utwardzają. Oto woda owa, o zgrozo, jest ciepła, mimo obietnic p. Kaczyńskiego.

Woda – powtórzmy wyraźnie i głośno – leje się z kranu ciepła, mimo że czerwony kurek jest zakręcony na siłę, a niebieski na siłę odkręcony. Dzieje się tak mimo tego, że większość narodu zdecydowała, iż chce się kąpać i prać tylko w wodzie zimnej, że naród grzewczych wygnał, a podgrzewacze wyrzucił na złom. Polityczne efekty upałów mogą być zatem i takie, że ogół uzna, iż oto Gospodarz nie zrealizował obietnic wyborczych. Z drugiej strony – owszem, to uwaga wymyślona nieco na siłę – p. Tusk, który wrócił tu akurat na białym, pardon, jak śnieg koniu, może znów obiecać ciepłą wodę, tym razem bez wydatkowania energii. Co więcej, tej wody nie da się już w żaden sposób oziębnić, nawet siłą woli mas bądź modlitwą jedynego prawdziwego katolika na północ od Rzymu, czyli p. Czarnka, podpory ideowej i intelektualnej takich zagubionych, jak np. p. Gowin.

A więc, powtórzmy tezę z samego początku naszych znakomitych rozważań, im cieplej, tym gorzej. Los przekopu Mierzei Wiślanej – popatrzmy – wydaje się przesadzony. Będzie to niebawem pocieszny rów na dnie peryferyjnego i płytkiego morza, a nie ambitna geopolitycznie inwestycja. Powiada się dziś pośród inwestorów w nieruchomości, że wkładanie forsy w cokolwiek mogącego się znaleźć poniżej poziomu wody, to proszenie się o kłopoty. Że możliwość obserwowania zupełnie nieatrakcyjnego zarówno wizualnie, jak i audiofonicznie tarła fląder, nawet jak na znane, estradowe możliwości PiS-u, to jednak jest za mało. Że srodze i ściśle biletowane tarło fląder, bądź to atak szprotki na korwetę „Gawron”, nie zwróci wydatków w zatopiony przekop, że to się nie opłaci, ani politycznie, ani ekonomicznie, ani wizerunkowo, ani estradowo.

Jak widać, będziemy teraz powoli zmierzać do finiszu. Otóż uwaga, że im cieplej, tym gorzej, wymaga jednak uzupełnienia. Chcemy powiedzieć, że im cieplej, tym też głupiej. Zgłupienie jest niewątpliwie jedną z najpoważniejszych konsekwencji ocieplenia klimatu, a od nadmiaru ciepła i głupoty robi się duszno.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ

PROPOZYCJE HASEŁ DO SKANDONANIA DLA PRZEDSTAWICIELI RZĄDU:



Zostań

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

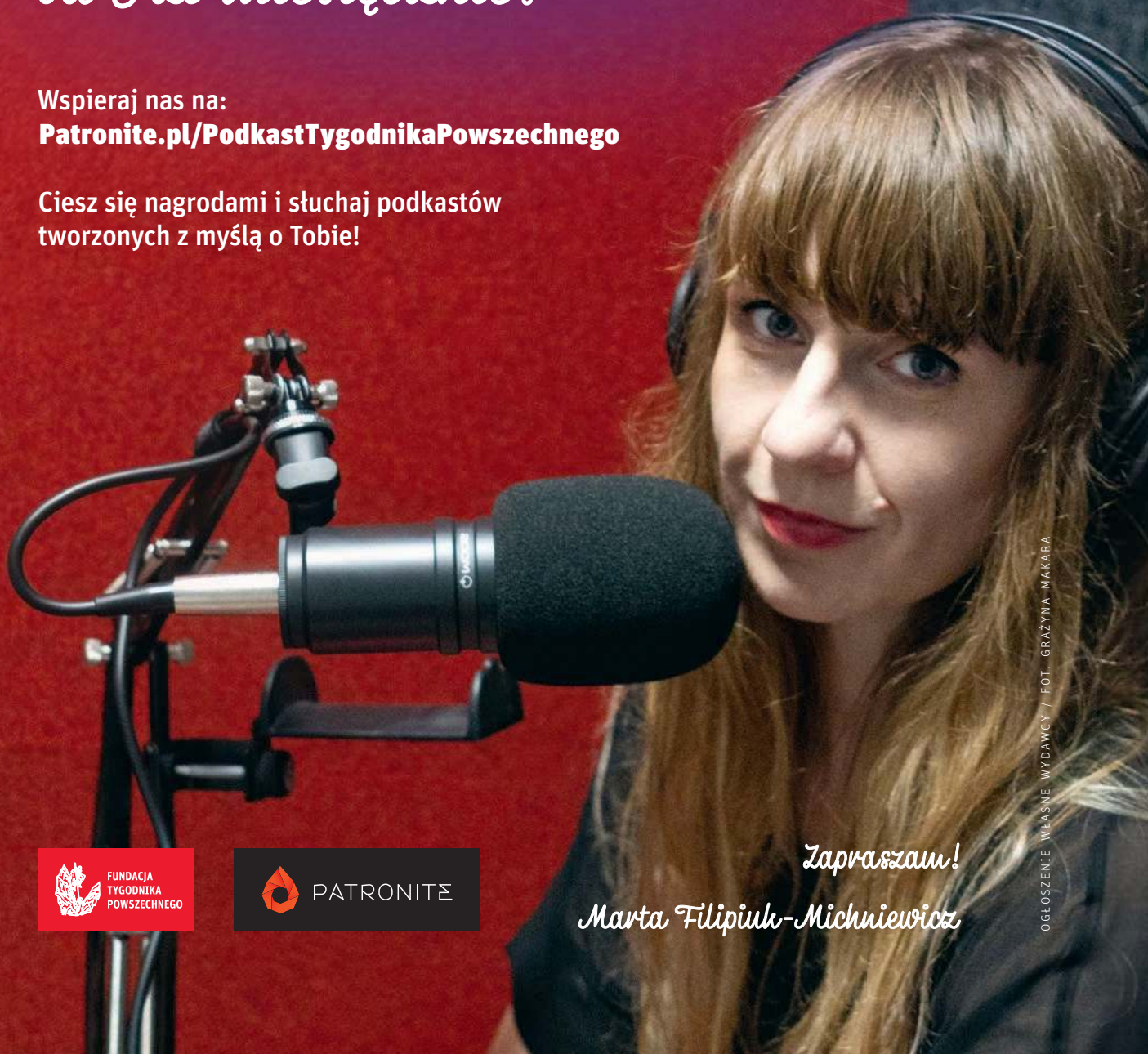
PATRONKĄ PODKASTU POWSZECHNEGO

od 5 zł miesięcznie!

Wspieraj nas na:

Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

Ciesz się nagrodami i słuchaj podcastów
tworzonych z myślą o Tobie!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

Zapraszam!

Marta Filipiuk-Michniewicz

ODETCHNIJ NA ŁĄCE LEŚMIANA

Weź udział w cyklu wydarzeń
kulturalno-rekreacyjnych online i offline

W PROGRAMIE KONCERT ZESPOŁU TĘSKNO

26 czerwca – 31 sierpnia 2021

polin.pl

Projekt jest finansowany przez Kładnię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Partner medialny

Iceband
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu



Radio
Polska
Telewizja
Polska

TYGODNIK
POWSZECHNY

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

POLIN

**Muzeum
Historii
Żydów
Polskich**

